



Stefanie Zweig

DOM

PRZY ALEI

ROTHSCHILDÓW

Wirtuozerska powieść, w której idylla zderza się
z tragiczną historią pierwszych lat XX wieku

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Stefanie Zweig

D O M
PRZY ALEI
ROTHSCHILDÓW

Przełożyła Anna Kierejewska

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1 – Cel osiągnięty

2 – Wiosenne przebudzenie

3 – Niedziela w światowej sławy uzdrowisku

4 – Niemieckie balkony

5 – Byle bez łez

6 – Łzawiące serca

7 – Decyzja

8 – Każdy wedle swych sił

9 – Sen ulatuje

Przypisy

Tytuł oryginału: DAS HAUS IN DER ROTHSCILDALLEE

Przekład: ANNA KIEREJEWSKA

Redaktor prowadzący: ADAM PLUSZKA

Redakcja: ANNA MIRKOWSKA

Korekta: MARIOLA HAJNUS, JAN JAROSZUK

Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne, łamanie: TO/STUDIO

Zdjęcie na okładce: © Stephen Mulcahey / Arcangel Images

© Library of Congress, Goethe's Place and Goethe-Gutenberg Monument,

Frankfort on Main (i.e. Frankfurt am Main), Germany

www.loc.gov/item/2002713667/

Copyright © 2007 by LangenMüller at F.A.

Herbig Verlagsbuchhandlung GmbH, München (www.herbig.net)

All rights reserved.

Copyright © for the translation by Anna Kierejewska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2015

Przekład powstał dzięki wsparciu finansowemu Goethe-Institut

ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Federalnej Niemiec.



Warszawa 2015

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-64700-75-0

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Wnukowi mojego brata,
Maxowi Zweigowi, urodzonemu w dniu, w którym napisałam ostatni
wiersz tej książki, i jego wspaniałym rodzicom, Walterowi i Karin.

Tylko ten, kto ufa pokoleniu,
które przychodzi po nim, pojął,
co oznacza życie.

CEL OSIĄGNIĘTY

Frankfurt, 27 stycznia 1900

Jak zawsze od dwunastu lat dwudziestego siódmego stycznia nad Berlinem jaśniało słońce. W dniu urodzin cesarza Wilhelma II słońce i mieszkańcy stolicy Rzeszy szli w zawody, kto promienieć będzie większym blaskiem. Ci drudzy śmiało przechadzali się wspaniałymi alejami i każdy z nich wiedział, że „cesarska pogoda” jest specjalnością ich miasta.

Zdecydowanie mniej wierne cesarzowi okazały się styczniowe wiatry, które ciągnęły w kierunku Frankfurtu z Taunusu^[1]. W niegdysiejszym wolnym mieście Rzeszy ludzie mieli zbyt wiele obywatelskiej dumy i sceptycyzmu, by zawierzyć nowomodnym monarchistycznym mitom. Cesarskie urodziny były w odczuciu frankfurczyków dniem, który nie różnił się od pozostałych trzydziestu dni miesiąca. Z niezadowoleniem nazywali styczeń bezwzględnym dzikusiem. Za złą opinię ów zuchwały koleżka odpłacił tą samą monetą. Często nawet jego złą sławę przyćmiewały załamania pogody prowadzące do tragedii.

Dwudziesty siódmy stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku w pięknym mieście nad Menem był jednak jaskrawym dowodem na to, że w meteorologii zdawanie się na uogólnienia jest jeszcze trudniejsze niż w innych, bardziej przewidywalnych obszarach. Tamtej ostatniej styczniowej soboty we Frankfurcie było ciepło i słonecznie, a czubki wież kościelnych błyszcząły niczym poślacane kopuły z księgi baśni. „Pogoda sprzyja marcowaniu” – zauważali wesoło spacerowicze przechadzający się brzegiem rzeki. Tego potocznego określenia używano wiosną, znakomicie odzwierciedlało ono jednak radość życia, którą w dniu czterdziestych pierwszych urodzin Jego Wysokości cesarza Wilhelma II odczuwali ludzie – od gospód w dzielnicy Sachsenhausen słynących z wina jabłkowego aż po pola na wzgórzu Lohrberg. Niebo nad frankfurczykami, znanymi z tego, że wierzyli jedynie w rzeczy, które mogli zobaczyć lub których mogli dotknąć albo spróbować, od tygodni nie było tak przejrzyste i błękitne jak dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku.

Tak nieczęsta łaskawość pogody rozświetlała najciemniejszą izbę czeladną. Słońce dosięgało wilgotnych murów w wąskich uliczkach i z niezwykłą mocą padało na pałace oraz przestronne place, których było w mieście coraz więcej. W świetle nadziei jasno połyskiwały pióra na ogonach kurków. Stare wieże miejskie wyglądały tak, jakby w nocy zostały wyczyszczone. Przy ulicy Zeil oraz Kaiserstrasse wścibskie wróble na dachu ćwierkały, że niebawem nadejdzie wiosna. Wypucowane dorożki ciągnięte były przez dopiero co wyszczotkowane konie.

Na koniec ostatniego tygodnia stycznia tego nowego jeszcze stulecia barwny tłum we Frankfurcie wiwatował na cześć świata jakby ten dopiero co powstał. Nawet ponuracy uśmiechali się, gdy uchylali

kapelusza, przesyłając znajomym pozdrowienie. Starsze panie poluźniały szale, pożądliwie wystawiały twarze ku słońcu i wspominały czasy, w których jeszcze i do nich przyływały wiosenne marzenia.

Młoda kwiaciarka w spódnicy w kratę i ciasno zasznurowanym gorsecie sprzedawała na placu przed katedrą wiosenne kwiaty z cieplarni. Jakiś młody mężczyzna kupił czerwoną różę na długiej łodydze. Sprzedawczyni dygnęła, różany kawaler zarumienił się i w pośpiechu poszedł dalej. W witrynie jednej z lubianych cukierni, pomiędzy brzegiem Menu a Römerbergiem^[2], na wysokim torcie błyszcząły czerwone kandyzowane wiśnie i liście z trawiastzielonego marcepanu. Na niskim murku naprzeciwko kawiarni siedziały dwa koty. Myły sobie wąsy i spod przymkniętych powiek przyglądały się spacerowiczom. Młode psy ganiały własne ogony, starsze kuśtykały w takim samym tempie jak ich sędziwi właściciele. Z jednego z podwórzy dobiegały radosne dźwięki katarynki i wznosiły się ku wierzchołkom drzew rosnących nad rzeką.

To, że cesarskie święto przypadało w sobotę, cieszyło również zatwardziałych republikanów. Sobota była przecież z reguły dniem pracy i obowiązków, podobnie jak każdy inny dzień. Nawet gospodynie zatrudniające służbę przed niedzielą miały na głowie tyle przygotowań, że nastawał wieczór, zanim znajdowały chwilę, żeby odsapnąć. Dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku przykładowej strażniczce domowego ogniska dość było wyjrzeć przez okno, aby stała się marnotrawiącą czas marzycielką.

– Już czuję zapach wiosny – radowała się Betsy Sternberg, kiedy stojąc w nowej kuchni o dziewiątej rano, wkładała do nowiutkiego pieca pierwsze z dwóch niedzielnych ciast. Był to wyjątkowo wykwinny migdałowiec z sułtankami, przyozdobiony kandyzowanymi fiołkami, według przepisu jej ciotecznej babki Julchen. Uczynna ciotka Julchen zwykła na specjalne okazje przysyłać delicje – pierwsze ciasto upieczone w nowej kuchni było właśnie taką sposobnością.

Małżonek Betsy uważał trzeźwość za siostrę mądrości. Dlatego też natychmiast stłumił w żonie przedwczesne odurzenie wiosną.

– Wydaje mi się – powiedział – że czujesz raczej zapach sułtanek namoczonych w moim dobrym rumie, droga Betsy. Od rumu bowiem kręci w nosie. Nie nauczyłaś się tego w swoim domu? Chodź, zapomnij na chwilę o cieście. Twój mąż ma zamiar poddać się żywiołowi.

– Byle nie złowrogiemu^[3] – zaśmiała się jego żona. Otrzymała staranne wychowanie i była obeznana w literaturze klasycznej. Cytowała Schillera, kiedy tylko nadarzała się sposobność.

Johann Isidor Sternberg, prawie czterdziestoletni przedsiębiorca z niemałą fortuną, poważany i ambitny, od czterech tygodni posiadacz domu, ojciec jednego syna, założył ciężki czarny płaszcz z szarym futrzanym kołnierzem i zdjął z wieszaka kapelusz, który Betsy dzień wcześniej odświeżyła parą. Nie chodził do synagogi regularnie co sobotę, podczas szabasu, który zbiegał się w czasie z urodzinami cesarza, miał jednak potrzebę pomodlić się za pomyślność tegoż oraz narodu niemieckiego.

– Dzień wyjątkowy – powiedział, szykując się do wyjścia z domu – absolutnie wyjątkowy. – Johann Isidor pogładził żonę po włosach i dodał, żeby dbała o siebie.

– Odpowiadasz teraz za dwoje – przypomniał.

Policzki Betsy zarumieniły się. Czy jej mąż wiedział, jak bardzo podniecało ją, kiedy czynił aluzje na temat cielesności? Myślała o tym, czule na niego spoglądając. Lewą ręką dotknęła swego brzucha, usta układały się w słowo, którego nigdy nie odważyłaby się wypowiedzieć w jego obecności.

Johann Isidor, który od dawna nie zajmował się jedynie detalicznym i hurtowym handlem suknem, nie tylko w oczach swojej kochającej małżonki był człowiekiem wyjątkowym. Pod wieloma względami wyprzedzał swoje czasy. Był tolerancyjny, żądny wiedzy, sprawiedliwy w osądach, rozważny w działaniu i zawsze wypowiadał się w sposób odpowiedni do sytuacji, również gdy rozmawiał z podwładnymi czy dziećmi. Nawet w towarzystwie gości nie krępował się pokazywać, że żona i syn znaczą dla niego więcej niż sława i honor. „Młody pan Sternberg”, jak nadal mówiono o nim w wielu miejscach, okazywał hojność, kiedy nadarzała się okazja. Rozrzutny nie był nigdy. Już jako chłopiec prowadził dokładną ewidencję księgową szklanych kulek.

Z okazji przeprowadzki w aleję Rothschildów Johann Isidor podarował swojej Betsy błękitne lniane makatki wyszyte drobnym ścięciem krzyżykowym. Zdobiał je napis: „Nie uskarżaj się na poranek, znój i pracę niosący – wspaniale bowiem jest dbać o ludzi, których się kocha”. Prezent kazał opakować w delikatny jedwabny papier i wręczył Betsy ze słowami: „Na pamiątkę naszego pierwszego wspólnego śniadania przy alei Rothschildów”.

– Ach, jak ten papier szeleści – zauważyła.

Myśl, że młoda żona potrafi wyraźnie ucieszyć się z tak skromnego podarunku, radowała jej męża jeszcze wtedy, gdy od strony ulicy zamykał za sobą czarną bramę z kutego żelaza. Harmonia tej krótkiej scenki wypełniała jego serce ufnością. Skromna małżonka była darem niebios, gwarantem męskiego szczęścia, podporą i pociechą w ponure dni. Nadchodzące lata jawiły się Johannowi Isidorowi jako pełne słonecznego blasku. Tak jak dzień, który właśnie się rozpoczął.

– Dziękuję – wymamrotał.

Obejrzał się dookoła zakłopotany. Wieki minęły, odkąd ostatnio składał Bogu dziękczynienie na ulicy.

Choć pieśń o radosnym wędrowcu doprawdy nie była odpowiednia dla poważnego obywatela, który miał zamiar pójść do synagogi i prosić o niebiańskie błogosławieństwo dla niemieckiego cesarza, to tenże obywatel wciąż nucił pod nosem jej melodię i sam sobie wydawał się uczniakiem, któremu zadowolony nauczyciel powierzył szczególne zadanie. W bezgranicznie dobrym nastroju, który zupełnie nie współgrał z jego usposobieniem, wyobrażał sobie, jak bardzo jego droga Betsy poruszona będzie wieczorem, kiedy podczas kolacji obok swojego talerza znajdzie paczuszkę przewiazaną wiśniową jedwabną wstążką. Na pamiątkę przeprowadzki do własnego domu Johann Isidor kupił w sklepie z antykami J&S Goldschmidt przy Kaiserstrasse złotą broszę z pięcioma granatami. Całkiem okazałą. „Oraz bardzo reprezentacyjną” – potwierdził młodszy z Goldschmidtów.

Betsy również się rozmarzyła. Uśmiechając się, wyobrażała sobie ze szczegółami, że jej mąż dla uczczenia przeprowadzki do nowego mieszkania nie podarował jej praktycznej makatki, ale ciemnozielony kapelusik z kremowym strusim piórem, który już od dwóch tygodni podziwiała w nowo otwartym sklepie z nakryciami głowy przy Kaiserstrasse. Przywołała się do porządku – tego rodzaju próżność przystoi w najlepszym razie młodej dziewczynie, która nie poznała jeszcze, co to powaga życia i wyrzeczenia. Z większą niż zazwyczaj energią skruszona marzycielka otworzyła okno. Głęboko wdychała ostre zimowe powietrze i z tęsknotą spoglądała w stronę drzew pośrodku szerokiej alei. Naraz zapragnęła biegać, skakać i śpiewać, tak jak kiedyś w domu u ojca, gdy w ogrodzie kwitła jabłoń, a krzepka kucharka Auguste ubijała w kuchni śmietanę do ciasta. „Nie chcę być dorosła” – powiedziała zasapana dziewczynka z kręconymi włosami. „A więc chcesz umrzeć jako dziecko?” – zapytał ojciec.

Jego córka nadal nie była pewna, czy srogo na nią spojrzął, czy się uśmiechnął.

– Ach – westchnęła pani Betsy. Obiema rękami przesuwiała po zaokrąglonym brzuchu. Czekwała na moment rozwiązania. Wspomnienia bladły. Postanowiła, że w porze obiadowej pozwoli sobie na kwadrans na powietrzu. Doktor Wolf, który znany był z równie postępowych, jak niekonwencjonalnych metod leczenia, zalecał codzienne spacerowanie.

– Pozdrów ode mnie wszystkich – zawołała za mężem, on jednak już jej nie słyszał. Jeśli tylko nie musiał mieć na względzie żony i dziecka, jego kroki stawały się długie i zdecydowane.

Konary drzew wciąż jeszcze uginały się pod ciężarem śniegu, który tydzień wcześniej spadł w ciągu jednej tylko nocy. Tym większą przyjemność sprawiało w tamtym momencie obserwowanie płatków śniegu na zamrożonej ziemi. Z każdym krokiem Johann Isidor rozkoszował się tą nagłą przemianą zimowej krainy w świat wiary i nadziei na przyszłość. Jeszcze w miniony poniedziałek życie wypełniały burze, mgły i lód. Wydelikaczone kobiety z wyższych sfer musiały całymi dniami chronić skórę. Młode dziewczęta, które pomimo wszelkich przestróg odważyły się wyjść na ulicę, leżały ze zwichniętymi kostkami na szeszlonych i robiły sobie zimne okłady. W niejednym wytwornym mieszkaniu pachniało octem i nudą. Zamarzający deszcz w ciągu pięciu minut sparaliżował życie w całym mieście, a mężczyźni rozmawiali o nim jeszcze na trzeci dzień.

Dochodziło do przerażających karamboli. Do wyjątkowo tragicznego zajścia doszło przy placu Eschenheimer Tor. Dwa konie zaprzęzione do ciężkiej dorożki, która przewróciła się na oblodzonej drodze jak blaszanka, trzeba było dobić. U trzech pasażerek skończyło się na przerażeniu, wypadek miał dotkliwe skutki jedynie dla podróżnego z Bad Homburga, który już podczas oblężenia Paryża stracił lewą nogę. Mężczyzna z ciężkimi obrażeniami musiał zostać odwieziony do szpitala.

W końcu zima choć na krótko zelżała. Dzień urodzin cesarza już o dziesiątej rano przepełniony był radością życia. Wyfiokowane bony, zajęte rozmową niczym gadatliwe służące, pchały dziecięce wózki przez zaśnieżone parki i skwery. Nawet w eleganckiej dzielnicy Westend dobrze ułożeni chłopcy bawili się w tamten wolny od szkoły dzień swawolnie, jak huncwoty, które nie muszą się w domu przed nikim tłumaczyć. Ubrani w drogie marynarskie czapki grali w piłkę, dzwonili do obcych drzwi i z wraskiem uciekali, zanim oderwani od swoich zajęć mieszkańcy zdążyli ukarać ten występki. Dziewczynki w aksamitnych płaszczach i czepkach dobranych pod kolor, w towarzystwie wciąż upominających je matek, zachowywały się równie niesfornie jak chłopcy. Biegały tak, że aż fruwały im warkocze; piszcząc, uderzały o drewniane obręcze i z męską krzepą podcinały bacikami kolorowe baki z drewna.

Na kolei panował wzmożony ruch. Przystojne młode damy z wdziękiem kręciły piruety. Czarne, sięgające kostek botki, które miały na nogach, i kolorowe szale ich towarzyszy błyszczały w słońcu, tak jak czerwone dachy pospiesznie ustawionych kramów, w których wprawne sprzedawczynie oferowały grzane wino i pieczone kasztany. Znów pachniało Bożym Narodzeniem, a pewnego znanego w całym mieście starego kawalera widziano, jak wtykał po groszu dwójce lichu ubranych dzieci.

Słońce sprawiało, że radośni byli i biedni, i bogaci. Pewien pomysłowy dziesięciolatek sam przygotował ślizgawkę – wylał na chodnik duży dzbanek wody.

– Prusacy nadchodzą – zawołał rezolutny szprync. Nie wiedział, co oznacza to zdanie. Dziadek, który zetknął się z Prusakami we Frankfurcie, zwykł w ten sposób przestrzegać wnuka.

– Gwizdź na Prusaków – skontrował jego przyjaciel. Nie miał dziadka ani ojca. Miał jedynie matkę

oraz, co dało się wyczytać z jego twarzy, odwagę, której potrzeba osobom poszkodowanym, by nie spuszczały głowy przy każdej zniewadze.

Również przy alei Rothschildów panowała krzątanina i budziło się życie. Czerwona piłka w żółte kropki wyleciała na ulicę. Dorożkarz musiał zahamować i zaklął tak głośno, że jego wrzask słychać było nawet na Burgstrasse. Z dala od dudniącego zgiełku stał Otto Wilhelm Samuel Sternberg. Czarnowłose chłopiec o silnych nogach i z lokami, które jego matka uważała za czarujące, a ojciec w głębi duszy za nieco zniewieściałe, tkwił przy oknie w salonie, w którym nowe meble z ciemnozielonego weluru osłonięte były jeszcze białym sukniem. Na kosztownym perskim dywanie ze starannie rozczesanymi frędzlami nie leżał ani jeden paproch. Wykonana z dbałością o najmniejszy detal reprodukcja *Wyspy umarłych* Böcklina, chluba starego mieszkania, zawisała na ścianie w cudownej złotej ramie, której mały Otto dotykał zawsze, kiedy nikt go nie widział ani nie groził mu aresztem w piwnicznym składziku na węgiel. Bordowe aksamitne zasłony idealnie układały się przy wysokich oknach w salonie. Pani domu poleciła obszyć ich brzegi złotą lamówką, w materiale tkwiły jeszcze igły przytrzymujące zakładki. Szyby biblioteczki lśniły tak, że Otto widział w nich swoje odbicie. Właśnie tego malec nie chciał. Odczuwał zagubienie i smutek, pomimo że nikt go za nic nie skarcił. Miał wrażenie, jakby kazano mu wstać od stołu i bez deseru odesłano do dziecięcego pokoju.

Czterolatek nic nie wiedział o urodzinach cesarza. Nie wiwatował na cześć słońca na niebie ani śniegu na drzewach. W mieszkaniu, w którym jeszcze czuć było klajster do tapet, a w którym już unosił się zapach pasty do podłóg, popłynęły łzy. Dziecięce przygnębienie ciążyło mu na sercu. Czy wiedział, że jego życie nigdy nie będzie już tak beztrudne jak w poprzednim mieszkaniu? Otto przytknął czoło do świeżo wyglansowanego okna. Po drugiej stronie ulicy, pod drzewami, bawiło się czterech chłopców. Smyk westchnął tak, jakby o życiu wiedział wszystko. Chłopczekowie, wszyscy w szarych włóczkowych czapkach, szamotali się, walcząc o piłkę, która chwilę wcześniej wypadła spod kół dorożki.

– Ty głupku! – Otto usłyszał krzyk najwyższego z całej czwórki.

– Sam jesteś głupek – zaprotestowało trzech pozostałych.

Najmłodszy członek rodziny Sternbergów zasłonił sobie prawą ręką lewe ucho i westchnął jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Gdyby jego matka nie była zajęta kandyzowanymi fiołkami, które musiała ułożyć na cieście migdałowym, pospieszyłaby, żeby sprawdzić, co się dzieje z synem.

Wszyscy w kwartecie radośnie poszturchujących się chłopców mieli na sobie krótkie szare spodni, każde z nich załatane resztkami kolorowego materiału z damskich sukienek. Wełniane pończochy – noszone w komplecie z perkalową koszulką – chroniły chuderlawe dziecięce nogi przed zimą. Dwóch chłopców, czego niewiele później Otto miał się dowiedzieć pomimo zakazów matki, było synami gospodarza domu naprzeciwko. Dwaj pozostali, synowie furmana, mieszkali na sąsiedniej Egenolffstrasse.

– Ja też chcę – krzyknął z naciskiem pierworodny syn Johanna Isidora Sternberga. Tupnął lewą nogą i obiema rękami zabębnił w szybę. Ledwie przy śniadaniu zabroniono mu samemu otwierać okna i drzwi w nowym mieszkaniu. Otto jeszcze nie pojął, że już po wsze czasy nie będzie mógł wybiegać na ulicę i bawić się z rówieśnikami. Od tamtego momentu to jego matka miała decydować, kto znajduje się na tym samym szczeblu społecznym co jej syn i z kim wolno mu p r z e s t a w a ć. Równie mało świadomy mógł być tego, dlaczego świat z jeszcze głębszym szacunkiem niż wcześniej kłania się jego ambitnemu, pod

każdym względem cenionemu ojcu.

Tuż po podpisaniu umowy kupna ziemi przy alei Rothschildów 9 rozpoczęto budowę czteropiętrowej czynszówki. Projektował ją znany w mieście architekt Waldemar Josef Busch, o którym mówiono, że nawet z psiej budy uczyniłby wytworne mieszkanie. Dzięki pracy nad posesją Sternbergów młody inżynier budowlany w pełni potwierdził swoją dobrą reputację. Zleceniodawca dał mu wszakże wolną rękę i nie skąpił talarów ani wyrozumiałości. Jego dom był od tamtej pory najlepszym świadectwem pierwszorzędnego rzemiosła i powodem do mieszczańskiej dumy. Miał kremowe ściany, co uważano za dosyć śmiałe, ale zgodne z duchem czasu, i kunsztowne, zwracające uwagę wysokie okna z ramami pomalowanymi na kolor ochry, piękne szerokie gzymsy, przestronne balkony i dość pompatyczne drzwi z ciemnego drewna i żółtego jak słońce szkła. Te ostatnie były charakterystyczne raczej dla Westendu niż nadal jeszcze powściągliwego Nordendu, ale właśnie w kwestii drzwi nie było z inżynierem Buschem dyskusji.

– Im większy blask, tym większe poważanie – zwykł mawiać, kiedy zleceniodawca podawał w wątpliwość, czy mądre jest afiszowanie się z dobrobytem.

Mieszkania w domach, które budował, leżały Waldemarowi Josefowi Buschowi na sercu równie mocno, jak elewacja zewnętrzna, mury i obramienia okien. Ambitny młodzieniec zajmował się nawet przydomowymi ogródkami, pralniami i piwnicami. Pokoje i jadalnie, które planował, były prawdziwymi salonami. Sypialnie sprawiały wrażenie wytwornych, również pokoje dla dzieci świadczyły o oszałamiającej samoświadomości czasów grynderskich^[4]. W mieszkaniu przy alei Rothschildów 9 położono najlepszy parkiet dostępny w sprzedaży; sztukateria na sufitach z rokokowym wzorem była uciechą dla oka, drogie tapety z jedwabiu miały przetrwać stulecia i każdy kierunek w modzie. Wnękę na piec w salonie Sternbergów Busch proponował wyłożyć słynnymi kaflami z holenderskiego miasta Delft.

– Nie jestem Rothschildem – odważył się w końcu zaproponować Johann Isidor.

– Tenże – poinformował go Waldemar Zuchwały – zaopatruje się w piece kaflowe u dworskiego dostawcy królowej Wiktorii.

Ambitny młody inżynier pozwalał sobie na kolejne ekstrawagancje. Był stanowczym przeciwnikiem cynkowych wanien stojących za kotarą w sypialni, projektował więc łazienki, w których mieściły się zarówno wanna, jak i umywalka. Na toaletę przewidział oddzielne niewielkie pomieszczenie z mniejszą umywalką. Nawet w dzielnicy Westend rozdzielanie łazienki i toalety nie było w powszechnym zwyczaju. Na każdym piętrze w korytarzu urządzono malutki schowek, spiżarnie były prawie tak duże jak kuchnie, do których przylegały. W mansardach dla służby udało się nawet zamontować małe piece. Ponadto przewidziano tam miejsca na łóżko, szafę i umywalkę.

– Nigdy nie wiadomo – przepowiadał Waldemar Josef Busch – co przyniesie przyszłość. Może nadejdą czasy, w których zamiast służby w mansardach zamieszkają płacący za nie najemcy.

Podwórze przed domem, oświetlane przez jedną uliczną latarnię gazową, było tak szerokie, że troje dorosłych mogło swobodnie przechodzić jedno obok drugiego. Brzydkie żelazne pręty służące do trzepania pościeli i dywanów, szpecące co poniektóre domy, ustawiono w rogu tylnego dziedzińca. Rosła tam ogromna wiśnia, z którą pan domu nie chciał się rozstać.

– W domu, gdzie słychać ptaki – powiedział – pozostaje szczęście.

W podwórzu znajdowały się też bielarnia, bezpośrednie wejście do wielkiej pralni oraz miejsce na

piaskownicę i basenik dla Ottona oraz jego planowanego rodzeństwa. W ogrodzie przed domem wiosną zamierzano posadzić bez oraz założyć klomb z różami.

– Mogę już wyjść na dwór? – zawołał znudzony chłopczyk. Ponieważ nie orientował się jeszcze w nowym otoczeniu, bezskutecznie marudził pod sypialnią rodziców.

– Nie, dopóki Josepha nie będzie miała czasu ci towarzyszyć – zaordynowała matka. Krótko zastukotała w formę do ciasta. – Ty w ogóle nie masz rozeznania w okolicy, chłopcze. Tego by mi jeszcze brakowało, żebyś się zgubił od razu pierwszego dnia.

– Josepha – zaprotestował mały buntownik, pociągając nosem – też nie ma rozeznania w okolicy. A mnie – dodał w przypływie krnąbrności, o której wyplenieniu ojciec wspominał przynajmniej raz dziennie – Josepha też nie zna. Ani troszeczkę.

Otto nie bez przyczyny nosił imię założyciela Rzeszy. Jego ojciec szanował Bismarcka bardziej niż trzech pozostałych niemieckich cesarzy razem wziętych. To, że niespełna czteroletni malec był bardzo uparty i nieco grymaśny, traktowano na razie jako typowo chłopięcą przypadłość. Hermine, jego cioteczna babka ze strony ojca pochodząca z Górnej Hesji, uznawana za nieprzyjemnie bezpośrednią i z lekka gburowatą, podczas ostatnich odwiedzin latem przepowiadała: „Jeszcze się zdziwi ten mały czort”. Jak to często bywa, życie potwierdziło jej słowa. Jeśli Bóg okaże się łaskawy wobec rodziców chłopca, za cztery miesiące Otto miał dzielić się ich miłością z kimś jeszcze. Przyszły dziedzic nie był niczego świadomy. W wyższych sferach za niestosowne uchodziło rozmawianie z dziećmi, w szczególności z synami, o odmiennym stanie ich matki.

– Dlaczego – Otto nie dawał za wygraną – nie wolno mi się pobawić z tymi dziećmi na dworze? – Znalazł drogę do kuchni i z rękami skrzyżowanymi na plecach zatarasował dostęp do piecyka.

– Dlatego – skwitowała matka. Jedną ręką odsunęła syna z drogi. – Nie mówi się „tymi dziećmi”. Gdzieś ty się tego nauczył?

Nadszedł czas, by wyjaśnić Ottonowi Wilhelmowi Samuelowi Sternbergowi, że małe dzieci również muszą przestrzegać towarzyskich reguł gry. Synowie dozorczy oraz dzieci furmana nie zaliczali się w opinii pani Betsy do grona wybranych przyjaciół jej pierworodnego, który przecież zamieszkiwał pięciopokojowe mieszkanie z dwoma balkonami i który w przyszłości będzie nosił marynarskie ubranko również w dni powszednie. Dla Sternbergów oznaczało to, że muszą się rozejrzeć za nowymi towarzyszami zabaw dla swojego pupilka.

– Kto z kim przestaje, takim się staje – wymruczała znad głowy Ottona przezorna matka.

Przy ulicy Sandweg we frankfurckim Ostendzie, gdzie przyszedł na świat, ludzie nie byli kapryśni. Kobiety przystawały tam na ulicy, aby pogawędzić, a mężczyźni spotykali się na zakupach. Dzieci traktowano jak młode psy. Pozwalano im robić, co chciały, i karcono, gdy nie dawały się natychmiast przywołać do porządku, ale maluchy nie musiały się troszczyć o społeczne konwenanse. Wolno im było bawić się na ulicy oraz decydować, z kim się przyjaźnią. W Ostendzie mały Otto poznał wyłącznie tę beztroską stronę życia. Kto słyszał, jak peroruje, nie wątpił, że był frankfurckim chłopcem, i to takim, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Kiedy grał w piłkę z małym Karlem z ulicy Baumweg i Heinerem z Ingolstädter Strasse, szyby drżały, a serca rosły. Nikt z dorosłych nie mówił o manierach czy tradycji. Matki przyjaciół Ottona opierały eleganckich ludzi, ojcowie zniknęli, zanim chłopcy zdążyli się narodzić. W małych mieszkaniach unosił się zapach kapusty i żuru, a w sobotnie wieczory odbywało się

szorowanie od stóp do głów w małej ocynkowanej balii, która stała na krześle w kuchni.

– Dziś jest dzień przełomu – oświadczył o poranku w dzień przeprowadzki ojciec Ottona. Na ogromny wóz załadowano szerokie dębowe łoża małżeńskie, stół z jadalni wraz z krzesłami i komódką, łóżeczko Ottona i jego konia na biegunach, polakierowaną na biało dziecięcą szafę, komody na toczonych nóżkach, dwa stoliki na lwich łapach z marmurowym blatem, książki, obrazy oraz duży wiszący zegar z wahadłem, który bił co pół godziny. Meble z sypialni, wyposażenie kuchni, naczynia i masywny uszaty fotel oraz skrzynie z ubraniami załadowano na drugi. Krzepkie konie pociągowe rżały. Przechodnie przystawali, kobieta w niebieskim fartuchu pokręciła głową i stęknęła: „Też chciałabym mieć kiedyś tyle rzeczy”.

– Psiakrew – powiedział mały Otto.

– W ten sposób, mój synu – ofuknął go ojciec, którego ciągnęło ku nowemu życiu – wyrażają się jedynie furmani.

– Chcę zostać furmanem.

– Dziecku nie przystoi mówić o tym, czego chce.

Głowa małej rodziny Sternbergów nadzwyczaj wcześnie spełniła swoje marzenie o szacunku i bogactwie. Johann Isidor po części zawdzięczał to zupełnie niespodziewanemu w owym momencie wsparciu ciotecznej babki Luise. Przemiała siostra nietaktownej Hermine była majątną oraz bezdzietną wdową. Co zaś najistotniejsze, żywiła nietypowe przekonanie, że posiadanie bogactw przynosi zmartwienia.

– Przyjemniej jest – powiedziała w szczęśliwą dla Johanna Isidora godzinę – dawać ciepłą niż zimną ręką.

W przeciwieństwie do swojego brata Samy’ego i jego trzech sióstr, które już jako młode dziewczyny sprawiały wrażenie starych panien i były równie zawistne, jak pamiętliwe, ukochany siostrzeniec Luise wydawał się jej nieulekły, szczery i mądry. Bogata ciotka obdarowała go tak szczerze, jakby był jej własnym synem. Od tamtego czasu nie spędzała ważnych żydowskich świąt ani urodzin ze swoim mopsem i migreną w domu w Kassel, tylko w zdrowiu i radosnym nastroju z Johannem i jego małą rodziną we Frankfurcie.

– Woda w Menie – zwykła mówić przy każdym pożegnaniu – to doprawdy lekarstwo dla takiego szalonego starego pudła.

– I wino jabłkowe też – zauważył Otto. W swoim dziecięcym dążeniu do prawdy miał oko tak samo baczne jak jego ojciec.

Johann Isidor nie należał do tych, którzy chcieliby się wygodnie urządzić na koszt starszej bogatej kobiety. Był pilny, energiczny i odważny, zadowolony tylko wtedy, gdy rozwijał nowe pomysły, i pochłonięty swym awansem. Nie odpoczywał nawet w piątkowe wieczory, które pomimo zasymilowania celebrował jak jego przodkowie w tradycyjny sposób, ani w pozostałe święta religijne. Kiedy powolnym krokiem szedł z synem do synagogi znajdującej się przy parku Friedberger Anlage, mając wszelkie powody, by dziękować za to, co zostało mu przeznaczone, rozmyślał, jakie cele chciałby jeszcze osiągnąć.

Handlarz suknem Johann Isidor Sternberg był wprawnym kowalem swojego losu. Nieustająco dbał, by nie przegapić żadnej szansy, z uwagą obserwował giełdę i nie tylko tam potrafił się włączyć w odpowiednim momencie. W nowo wybudowanym domu przy Hasengasse otworzył sklep z guzikami,

lamówkami i innymi wyrobami pasmanteryjnymi. Mówiło się, że w przyszłości to w tej okolicy będzie się toczyć życie, rzeczywistość zaś przerosła nawet te przewidywania. Do klientek pasmanterii Sternberg należały damy z wyższych sfer, małżonki urzędników i guwernantki, krawcowe wszelkiej proweniencji oraz niejedna skromna panna, która liczyła się z groszem i miała wycucie do rzeczy wyjątkowych. Już po pół roku właściciel musiał zatrudnić drugiego sprzedawcę oraz ucznia.

– A co byś powiedziała na sklep z kapeluszami? – zapytał pewnego dnia przy kolacji żonę.

– A gdzież można taki kupić?

– Nie mam pojęcia, ale kapelusze nosi się zawsze.

– Teoretycznie mógłbyś również szyć mundury – skwitowała sceptycznie małżonka. – Wojny też będą zawsze.

Swój pomysł ostatecznie pozostawił modystkom, niedługo później jednak firma Sternberg wślawiła się najlepszym filcem i najbardziej eleganckimi dodatkami do finezyjnych damskich kapeluszy.

W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym Johann Isidor kupił udziały w wydawnictwie. Prowadziło ono interes niezwykle dobry i zgodny z duchem czasu: publikowało pocztówki. Co roku do miasta zjeżdżało coraz więcej turystów, wzrastało więc zapotrzebowanie na pamiątki. Na krótko przed przełomem wieków rzutki kupiec nawiązał kontakt z pewnym prywatnym bankiem. O pertraktacjach co do uczestnictwa w tym interesie nie wiedział nawet Salomon, przyjaciel Johanna Isidora z młodych lat, prawnik, którego poradom ufał on bezwzględnie. Pani Betsy coraz częściej słyszała, że jej mąż ma złote ręce.

Podobne komplementy nieustannie wyczarowywały uśmiech na twarzy tej rozważnej kobiety, nigdy jednak nie dawała poznać, ile tak naprawdę wie. Jej małżonek stał się właścicielem domu na sześć miesięcy przed czterdziestymi urodzinami. Kiedy w późniejszych latach rozmowa schodziła na temat jego majątku, bez cienia skrupowania opowiadał, że początkowo myślał o jakimś skromnym domku na przedmieściach Frankfurtu, a to „jego mądra żona” najbardziej przyczyniła się do sukcesu.

– Nie będzie pan żałował swojej decyzji – powiedział notariusz w trakcie sporządzania umowy sprzedaży. – Znaczący temat wiele się po Nordendzie spodziewają.

– Ja nigdy niczego nie żałuję – oświadczył Johann Isidor. Tylko ten, kto go nie znał, mógłby jego pewność siebie pomylić z pychą.

Wybór mieszkania w ich domu pozostawił żonie, co całe życie stanowiło dla niej powód do zadowolenia. Jak zawsze podjęła decyzję z ekspercką przezornością.

– Na pierwszym piętrze nie jest się narażonym na hałas ani kurz z końskich kopyt, ani na żebraków – argumentowała. – A poza tym służba nie będzie co chwilę latać na ulicę, żeby trąkotać.

Lokale na parterze i drugim piętrze nieruchomości były już odnajęte na dobrych warunkach, ale jeszcze niezamieszkałe. Na te na trzecim i czwartym także znaleźli się już zdecydowani chętni. Sternberg również jako najmodawca rozważał każdą ofertę po dwakroć. Podczas pierwszego posiłku w nowym domu Betsy zapytała z udawaną niewinnością, która niemal zawsze sprawiała, że serce jej męża zaczynało topnieć, czy mieszkania, które stoją puste, nie przynoszą strat.

– Lokatorów – pouczył ją – nie można zmieniać jak rękawiczek. Tylko ten, kto uprzednio zdejmie miarę, jest potem zadowolony, moja droga.

Roztropny przedsiębiorca chciał wynająć pomieszczenia na poddaszu wraz z mieszkaniami – w dobrych okolicach nie uchodziło kwaterować służby we własnym mieszkaniu ani ograniczać się do gosposi.

Wraz z przeprowadzką w aleję Rothschildów zmienił się też status pani Sternberg. Przy ulicy Sandweg, zgodnie ze sprawdzonym obywatelskim obyczajem, wyznawano zasadę „skromnie, acz schludnie”. W co czwarty poniedziałek przychodziła praczka, była też służąca Maria. Jej jednak pani domu nie mogła powierzyć nawet mycia codziennej zastawy, nie wspominając o kryształowych kieliszkach, porcelanowych wazach czy drogich piecach kaflowych w salonie. Betsy sama prasowała również koszule męża i własne delikatne bluzki z jedwabiu. W piątki czyściła srebra, a przez cały tydzień obierała warzywa, dbała o meble i wysyłała Marię do mleczarza jedynie wtedy, gdy z powodu niedyspozycji sama nie mogła wyjść z domu. Pomimo wszelkich zastrzeżeń Betsy nie chciała się z dziewczyną rozstać. Zatrzymała również praczkę. Dodatkowo zatrudniła Josephę, która po sześciu tygodniach wzbudzała zazdrość wszystkich jej przyjaciółek, krewnych i znajomych.

– Złota kobieta – zachwycała się pani domu zaledwie po dwóch dniach.

– Złoto również niekiedy traci blask – tonował Johann Isidor. Nie ufał ani przedwcześnie przyznawanym laurom, ani wielkim słowom.

Josepha Krause, zatrudniona dopiero w dniu przeprowadzki, pomagała już podczas pakowania, wypucowała każdy kąt nowego lokum i każdy zakamarek piwnicy; wyjątkowo pieczołowicie uprzątnęła podwórze i wyczyściła nową bramę z kutego żelaza.

– Ludzie od razu powinni widzieć, że wiemy, jak być powinno – oświadczyła. Próbowwała też dotrzeć do nieco trudnego syna swojej pracodawczyni. Była przy tym równie taktowna, jak niestrudzona. Nieraz jednak korciło ją, aby silną dłonią wymierzyć małemu Ottonowi klapsa.

Josepha pochodziła ze wsi w Wetterau. Kiedy obierała ziemniaki czy łuskała groch, a łaskawa pani była akurat w kuchni, potrafiła długo i barwnie opowiadać o jabłkach, które tam rosły i które dostarczano do Bad Nauheimu zawsze, gdy tylko przyjeżdżała caryca ze swymi pięknymi córkami i rodzeństwem z Darmstadt. Josepha nie tęskniła za krewnymi, właścicielami małego gospodarstwa. Nawet na Boże Narodzenie nie ciągnęło jej do domu. Pod każdym względem była dokładnie taką służącą, jakie cenili kobiety z wyższych sfer: umiejacą gotować, bez zobowiązań i własnych potrzeb. Dużo przyjemniej było planować przyszłość właśnie z kimś takim anizeli z lekkoduchem, który ma jeszcze pstro w głowie i apetyt na życie.

Josepha nie była już panną na wydaniu. Miała początki przerostu tarczycy i masywne nogi, a w ciemnych fartuchach chodziła nawet w niedzielę. Wynikało stąd, że nie będzie raczej stanowić zagrożenia dla obyczajności pana domu, a kiedy mały Otto podrośnie, nie stanie się powodem do obaw i o jego niewinność. Josepha była krzepka i zdrowa, do tego szczerza, skromna, sumienna i bogobojna. Rzadko narzekała i nie stawiała żadnych wymagań co do jedzenia. Wszystko to wynikało z referencji, które przedłożyła Sternbergom. Z gęsto zapisanej strony płynęła informacja, że panienska Josepha Walburga Krause jest na wskroś wierną służącą, z którą żal się rozstać. Przez ponad pięć lat pracowała w domu lekarza przy eleganckiej Forsthausstrasse we frankfurckiej dzielnicy Sachsenhausen. Przedstawiając się, powiedziała, że „u doktorostwa”, którzy ku jej zgryzocie sprowadzili się z powrotem na Bergstrasse, bardzo często musiała zastępować kucharkę chorą na woreczek żółciowy, dlatego zdobyła

szeroką wiedzę o wykwintnej kuchni. Jak mówiła, potrafiła też piec, wekować owoce i warzywa, przygotować mus śliwkowy i oprawiać kury.

– Pan doktor – chlapnęła już drugiego dnia w domu Sternbergów – był obzartuchem. Za moją pieczeń wieprzową sprzedałby własną matkę.

– Tutaj się to pani nie przytrafi – uprzedziła pani Betsy. – Jesteśmy Żydami i nie jemy wieprzowiny.

Josepha była zaskoczona, okazała się jednak tolerancyjna i dobroduszna. Nie obruszyła się.

– Nic nie szkodzi – oświadczyła. – Państwo przecież też są ludźmi.

Maria, służąca z dwiema lewymi rękami, pochodziła z Vogelsbergu. W poprzednim mieszkaniu spała na materacu w kuchni i myła się w wiadrze. Była absolutnie przekonana, że po przeprowadzce Sternbergów zostanie zwolniona. Ogarnęło ją wzruszenie, kiedy dowiedziała się, że ona także ma się przenieść w aleję Rothschildów, a do tego zamieszkać we własnym pokoju. Pół dnia nie potrafiła powiedzieć nic innego niż „tak” i „nie”. Prawie nie tknęła obiadu, choć podano zupę z soczewicy, którą wyjątkowo lubiła, i dwa razy krwawiła z nosa. Ta dziewczyna z warkoczami grubymi i długimi jak u Roszpunki była nieślubnym, a w związku z tym nędznie obdarowanym przez życie dzieckiem chłopskiej dziewczki. Z perspektywą posiadania własnej izby Maria czuła się jak księżniczka, którą widziała pewnego razu w książce z bajkami małego Ottona. Od tamtej pory nie marzyła już jednak o złocie i klejnotach, ale o małżeństwie z niejakim Wernerem Hasslingerem oraz o pokoju z kuchnią i bieżącą wodą. Od sześciu miesięcy w wolne od pracy niedzielne popołudnia posterunkowy Werner zabierał bowiem Marię na tańce, a w ostatnim czasie, zanim dziewczyna wyszła z domu, ciężarna pracodawczyni surowo napomniwała ją, by „nie dała się przypadkiem zrobić w dziecko”.

Betsy Sternberg, urodzona jako Bertha Luise Strauss, nieczęsto wyrażała się w sposób odpowiadający jej czasom i światopoglądowi jej klasy społecznej. Nie była ani arogancka, ani dominująca i unikała zwracania na siebie uwagi bardziej, niż było trzeba. Pani Betsy przeciwstawiała się przedwczesnym pochwałom i powierzchownym pochlebstwom. Nie chciała, żeby okazywano jej szacunek jedynie ze względu na płeć. Nie zmieniło się to nawet w trakcie ciąży. Właśnie w okresie oczekiwania na potomka, pani domu wykazywała nad wyraz dobrą kondycję i świetny nastrój, gotowość do działania i stanowczość.

Betsy była najstarszą z córek wcześniej owdowiałego handlarza precjozami i jubilera Siegfrieda Straussa z Pforzheim. Dziewczynki wychował on bez zarzutu, jak jednak powiadano, dość swobodnie. Ku zdumieniu krewnych Siegfried zachęcał rezolutną córkę, by zajmowała się nie tylko pracami ręcznymi, ale też rozwijała duchowo. Betsy dobrze grała na skrzypcach i porządnie na pianinie. Czytała wszystkie książki o muzyce, które przynosił jej nauczyciel, podczas rodzinnych uroczystości recytowała wiersze Eichendorffa oraz długie ballady Schillera. „A malować potrafi jak Rembrandt” – zachwycił się dziadek.

Dzięki niemu wnuczka już w wieku ośmiu lat potrafiła płynnie czytać po hebrajsku. Jako dwunastolatka nauczyła się od babki piec tradycyjną plecioną chałkę z makiem na szabasowy wieczór. Po francusku Betsy Straussówna parlowała lepiej niż wszyscy jej absztyfikanci. Miała poczucie względności życia i analityczny umysł, dzięki któremu nie myliła przyczyn ze skutkami. Będąc żoną, miała więc przez cały czas świadomość, że splendor, który ją otacza, w znakomitej części zawdzięcza swemu ambitnemu mężowi. Zawsze, kiedy patrzyła w lustro, była wdzięczna czasowi, że łaskawie obchodzi się z jej urodą. W pierwszych miesiącach drugiej ciąży, jako dwudziestoosmiolatka, wydawała się wciąż tamtą

dziewczynką, która pod jabłonką w rodzinnym Pforzheim bawiła się z siostrami w ciuciubabkę. Jej cera pozostała nieskazitelna, orzechowe włosy błyszcząły, zielone oczy emanowały radością życia. Największym darem Betsy była zdolność do pozostawania w dobrym nastroju. Miała trzech studiujących braci oraz dwie siostry, piękne niczym Królowa Śnieżka; obie poślubiły mężczyzn z tytułem doktorskim, a jednak to ona całe życie pozostawała ulubienicą ojca.

Jako gospodyni była oszczędna, w małżeństwie uległa, jako matka oddana i zawsze cierpliwa. Stanowcza stawała się jedynie, gdy szło o jej dzieci. Po narodzinach drugiego w domu pojawić się miała niania, później guwernantka. A kiedyś – zwierzyła się swemu mężowi – mogliby zatrudnić nauczyciela jazdy konnej dla Ottona. Cesarz siedział na koniu już jako bardzo małe dziecko.

– Wybudowaliśmy dom, nie pałac. Zapamiętaj to, drogie dziecko. Im mniej pragnień, tym większe zadowolenie.

Nie zadowolony, lecz wprost dumny jak paw był ten rozważny małżonek, kiedy zapraszał kogoś na bankiet. Obfity stół stanowił u nich oczywiste prawo gości, a nie wymóg losu. Pani Betsy gotowała wybornie, w sposób zdecydowanie bardziej wyrafinowany, niż było to w zwyczaju w Hesji, zawsze na najwyższym poziomie. Również to zawdzięczała ojcu – jubiler Siegfried Strauss w każdej sytuacji życiowej miał bowiem na względzie to, że w przypadku drogocennego kamienia najważniejszy jest perfekcyjny szlif. Kiedy Betsy, najdroższy jego sercu brylant, ukończyła gimnazjum dla dziewcząt, wysłał ją na rok do znanej placówki w Montreux. Jej wychowanki kształcono na idealne panie domu i gospodynie, umiejące zarówno zabawiać innych konwersacją, jak i gotować oraz piec, a także obchodzić się ze służbą. Wiele osiemnastolatek od razu po opuszczeniu szkolnej ławy zostawało żonami. Żonami eleganckich mężczyzn, których stać było, by potencjalną pannę młodą pierwiej obejrzeć, a potem zapytać o wysokość posagu.

Ortodoksyjna część rodziny Straussów potrzasała głowami. Byli zgodni co do tego, że „obłąkany Siegfried” swoją gojowską pozą zrazić miał biedną dziewczynę do własnej rodziny i wiary ojców. Betsy jednakże nie doznała nawet najmniejszego uszczerbku za sprawą wyjścia na spotkanie ze światem, poszerzenia horyzontów. Kiedy żegnała się ze Szwajcarią, nie uważała gotowania za obowiązek ani brzemień kobiety zamężnej, lecz za sztukę. Wykwintna francuska kuchnia była jej znana równie dobrze, jak smakowite jedzenie z badeńskich stron rodzinnych. Znała przepisy, których nie było jeszcze w żadnej niemieckojęzycznej książce kucharskiej. Przyjaciele oraz znajomi jadający czasem obiady w domu Sternbergów z przejęciem opowiadali o stekach z polędwicy sauté, wołowinie po burgundzku i pasztecikach z ciasta francuskiego z gęsiami wątróbkami.

– A to wszystko w normalną środę – relacjonowała pani Rose. Jej mąż miał fabrykę artykułów skórzanych i każde lato spędzała w Karlsbadzie, wiedziała więc, jak żyją wytworni ludzie.

Dla pani Betsy oczywiste było, że musi dać się pokierować swojemu mężowi. Jeden tylko raz, kiedy dowiedziała się o domku na obrzeżach miasta, który Johann Isidor zamierzał kupić, przejęła inicjatywę. Gdy utrudzony po długim dniu siadał wieczorem do stołu, strażniczka domowego ogniska ożywiła się. Zawsze miała w zanadrzu nowe argumenty przemawiające za czynszówką w mieście. Pewnego piątkowego wieczoru, pomiędzy faszerowanym szczupakiem a rosołem, dyplomatycznie napomknęła o swoim błogosławionej pamięci wuju Heinrichu. Nie bez przyczyny. Ten niezapomniany człowiek dorobił się fortuny, która jeszcze dziesięć lat po jego śmierci określana była przez wszystkich krewnych

jako niespotykana. „Jedynie głupcy i marzyciele marnotrawią swój kapitał, ładując go we własny dom” – napominał najbliższych za każdym razem, kiedy ktoś chciał kupić dom, w którym było miejsce jedynie dla jego własnej rodziny. Nawet kiedy posiadał już dwa domy w Pforzheim oraz jeden w Baden-Baden, i mógłby sobie pozwolić na to, by również w poniedziałek zjeść kurczaka, nadal wynajmował dwa pokoje w swoim mieszkaniu.

Johann Isidor przyglądał się portretowi błogosławionej pamięci wuja Betsy. Wisiał na ścianie jadalni od dnia, kiedy się pobrali. Po dłuższym zastanowieniu rzucił zwięźle: „Ha!”. Twarz lekko mu poczerwieniała. Ustąpił dziesięć minut później, przy czym pierwszy raz zakiełkowało w nim podejrzenie, że na żonę wybrał kobietę o wielorakich przymiotach. Bóg obdarował tę piękność nie tylko sprawnymi rękami, powściągliwym językiem i radosnym usposobieniem, ale również głową, której miejsce było na męskim karku.

Po raz pierwszy od swoich siódmych urodzin, gdy dostała lalkę z blond lokami, której bardzo długo pragnęła i natychmiast spróbowała wytargować dla niej jeszcze jedwabną pelerynkę, ta wspaniała kobieta nie zadowolila się jednym zwycięstwem. Trzy dni po pamiętnej kolacji zaczęła mówić o pewnej nieruchomości przy alei Günthersburga. Ulica ta przecinała aleję Rothschildów. Neoklasycystyczny dom, który zachwycił Betsy, wzniesiono z czerwonego piaskowca. Przypominał zamek. Miał wykusze, okna różnej wielkości, wieżyczki i balkony z małymi greckimi kolumnami. Architektoniczne cudo wybudowane rok wcześniej można było kupić tylko dlatego, że potencjalny nabywca uległ w Bad Homburgu ciężkiemu wypadkowi podczas jazdy konnej i nie był już zdolny doprowadzić zakupu do końca.

Betsy odkryła ten dom podczas jednego ze spacerów z Ottonem.

– Taka chatka to nie lada gratka – mówiła wierszem, gdy opowiadała o nim przy niedzielnej kawie i cięście ze śliwkami. – Ależ ludzie by nam zazdrościli. – Oblała się rumieńcem, zanim jeszcze teatralnie westchnęła. Zawstydzona spuściła głowę. Mąż spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Pycha poprzedza upadek – zganił ją. – Najlepszy interes to taki, o którym się nie mówi. – Mimo podenerwowania okazał się jednak wielkoduszny i złożył chwilową nieskromność Betsy na karb jej stanu. Wyrozumieli mężowie akceptowali to, że żony przy nadziei przejawiały skłonność do przekraczania granic. – Zobaczę – zaśmiał się roztropnie – czy uda się spełnić twoje marzenie, by podłogę w jadalni i salonie wyłożyć parkietem.

– Jak wspaniale! – powiedziała Betsy. Jej drugie westchnienie było oznaką ulgi.

Właściwie Johann Isidor Sternberg już wcześniej obejrzał wystawiony na sprzedaż dom przy alei Günthersburga. Nie odpowiadał ani jego gustowi, ani naturze.

– To coś dla ludzi, którzy nie nauczyli się odróżniać złudzeń od prawdy – oznajmił pośrednikowi składającemu ofertę. Z lekka szorstko i bardzo zdecydowanie. Od swego błogosławionej pamięci ojca, handlarza bydłem z Schotten w Górnej Hesji, Johann Isidor w porę nauczył się, że mężczyzna nigdy nie powinien zwracać uwagi swoją majątkością. „Skromny wygląd – wbijał mu do głowy ojciec – jest ważniejszy niż nowe palto”.

Dlatego też zapobiegliwy przedsiębiorca zdecydował się nabyć dom przy alei Rothschildów.

Ponieważ nigdy nie zapomniał lekcji udzielanych mu przez ojca, skłaniał się ku temu, by pierwszy posiłek w nowym domu był skromny.

– To cesarz obchodzi urodziny – przypominał, kiedy Betsy miała planować jadłospis na sobotni

wieczór – nie ja.

– Przecież specjalnie zaprosiliśmy ciotkę Luise, aby świętowała z nami.

– Właśnie ona ma za nic ludzi, których pieniądze się nie trzymają. W przeciwnym razie jeszcze przez kilka lat mieszkalibyśmy przy Sandweg. Wierz mi.

Z dumą i godnością pani domu nie mogą jednak wygrać nawet despoci. Podano kluseczki ze szczupaka na przystawkę, bulion po florentryńsku według przepisu madame Suzette z pensji w Montreux, cielęcinę w maderze, kurczaka w burgundzie oraz zapiekane ziemniaczane kuleczki, a na deser chałkę migdałową, której ciotka Luise nie potrafiła się oprzeć. Suto zastawiony stół był zdecydowanie po myśli pani Betsy. Miała znakomity nastrój i niczym panna młoda przepełniona była radosnym oczekiwaniem.

Luise Dreifuss wzniosła kieliszek. Czerwone wino pobłyskiwało w świetle nowego żyrandola. Staruszka z zachwytem przyglądała się swemu ukochanemu siostrzeńcowi. Przypomniała sobie pewną majową noc, o której nie wiedział nikt poza nią.

– Za pomyślność – powiedziała. – Mądrość dom buduje, a rozsądek utrzymuje. Myśl, że jeszcze twoje wnuki będą siedzieć przy tym stole i cieszyć się migdałową chałką swej babki, przepełnia mnie szczęściem.

Johann Isidor nie był ani przesądny, ani pobożny. Mimo to miał opory, by zaklinać przyszłość. Spojrzał najpierw na zaokrąglony brzuch swej żony, a następnie na sztukaterię na suficie.

– Jak Bóg da – powiedział cicho.

WIOSENNE PRZEBUDZENIE

Frankfurt, 21 marca 1910

Pani Betsy siedziała na reklamie obitej wiśniowym pluszem, przy polakierowanym na biało kawiarnianym stoliku, który mąż podarował jej z okazji piętnastej rocznicy ślubu i który miał stanąć w ogrodzie zimowym. Z lekkimi wyrzutami sumienia zamknęła książkę, którą przez ostatnie pół godziny raczej kartkowała, niż czytała. W tamtych czasach w każdym towarzystwie ktoś rozpoczynał rozmowę o *Królewskiej Wysokości* Thomasa Manna. Powieść ukazała się rok wcześniej, a przyjaciółka Betsy, Margot Einstein, uchodząca za sawantkę i w związku z tym niezamężna, podczas wtorkowej herbatki w kawiarni Stary Odwach wciąż rozplątywała się nad „wyrafinowaną konstrukcją” tego dzieła. Mimo że Betsy była nader wrażliwa na współczesną literaturę, uważała tytuł książki Manna za zdecydowanie bardziej intrygujący niż ją samą. Drażniło ją, że autor na miejsce akcji swojej opowieści wybrał fikcyjne niemieckie księstwo – ponieważ pani Sternberg interesowała się niemiecką arystokracją, dużą wagę przywiązywała do autentyczności.

Jej zdaniem *Królewska Wysokość* była nie do porównania z *Buddenbrookami*, których przeczytał nawet Johann Isidor, mimo że nie lubił powieści, a mężczyźni, którzy je czytali, uważał za zniewieściałych. Betsy ciarki przechodziły po plecach, kiedy przypominała sobie, jak z największym trudem udało jej się przekonać Johanna Isidora, by podczas obiadu w domu podwójnie doktoryzowanego profesora germanistyki Eduarda Sohlego nie wyrażał przy wszystkich obecnych swojej opinii na temat bohaterów literackich i literatury w ogóle.

Wysoce poważany kupiec Sternberg, który swoje sukcesy zawdzięczał temu, że wiedział, kiedy należy milczeć, i przeważnie to też robił, na koniec sześciodaniowego posiłku zjadł mnóstwo sera camembert i wypił cztery kieliszki burgunda. Ani jedno, ani drugie mu nie służyło. Nie dosięgły go już ostrzegawcze spojrzenia żony, a szaleńczy potok słów Betsy musiała nagle uciąć, co nie tylko wszystkim obecnym, ale również jej wydało się wyjątkowo niekobiece. Mimo to po powrocie do domu wykurowała męża zimnymi kompresami na głowę i ciepłymi okładami na ciało i nie robiła mu, rzecz jasna, żadnych wyrzutów.

Betsy zajrzała do jadalni. Od trzech dni obok podobizny błogosławionej pamięci wuja Heinricha wisiał tam oprawiony w nowoczesną drewnianą ramę olejny portret dumnego gospodarza domu. Sam Johann Isidor wcześniej rano wyjechał do Paryża, by przeprowadzić ważne operacje bankowe oraz negocjacje z pewną rozwijającą się manufakturą tekstylną. Dla jego żony oznaczało to, że przez cztery dni widywać będzie jedynie swoje dzieci, domową służbę oraz sąsiadki, które podobnie jak ona robiły zakupy przy Höhenstrasse i Bergerstrasse. Betsy była w podniosłym nastroju, mimo że plany na najbliższą

przyszłość nie wydawały się szczególnie urozmaicone. Zarówno pogoda, jak i kalendarz oznajmiały początek wiosny.

Przyroda wcześniej zaczęła roztaczać coroczną magię. W ogródku przed domem kwitły zawilce, w chińskiej wazie stojącej na małym empirowym stoliku pachniały pierwsze fiołki, kwiaciarki w mieście sprzedawały narcyzy i niezapominajki oraz wspaniałe cieplarniane róże na długich łodygach. Dziewczynki chodziły w białych pończochach, a odważni chłopcy mieli odkryte kolana.

Na podwórze znów wróciły ptaki. Panią domu przy alei Rothschildów dobiegały szczebiot sikorek i gruchanie gołębi. Otworzyła duże okno ogrodu zimowego, spojrzała w dół, wzięła głęboki wdech i poczuła dawne dziecięce pragnienie, by pochwycić chmurę. Wiśnia puściła pączki. Krzew forsycji obsypał się jaskrawą żółcią, bielarnia lśniła zielenią, barwą nadziei. Betsy nuciała: „Wkrótce wiosna tu zawita, wszystko zacznie znów rozkwitać”. Przypomniała sobie o różowej sukni z obszernymi, powiewnymi rękawami i o młodzieńcu o imionach Carl Theodor, który wyrył jej imię na pniu brzozy. Z lekkim westchnieniem powróciła z rodzinnych stron i postanowiła wykorzystać dobrą pogodę, by porządnie wywietrzyć jedwabne poduszki z sofy, wytrzepać dywany na podwórzu oraz polecić upranie odświętnych sukienek swoich córek. Poza tym nadszedł czas, by uświadomić Johannowi Isidorowi, że jego pierworodnemu synowi potrzebny jest nowy garnitur, a bliźniętom kurtki i buty.

– A twoja żona – powiedziała Betsy – wymarzyła sobie piękny kapelusz, ogromny niczym koło u wozu, zielony jak mech, przyozdobiony piórami i kwiatami. A także liliową suknię z szarfą w pasie. – Jak zawsze, kiedy mówiła do siebie, wpadła w ironiczny ton. Nowością było to, że czuła, jak się rumieni. Może już prawie jak jakaś matrona, która na chwilę zapomniała, ile ma lat? Uwagę pani Betsy zwracało od pewnego czasu to, że jej przykładnie troskliwy mąż pomimo dobrobytu wychodził z powszechnego dla mężczyzn przeświadczenia, że kobieta w wieku lat trzydziestu ośmiu nie musi ubierać się modnie. „Grunt, żeby było porządnie i schludnie” – tak właśnie powiedział dwa tygodnie wcześniej.

– Nie po parkiecie! – krzyknęła Betsy w kierunku salonu.

Bliźnięta właśnie zamierzały przeprowadzić dookoła mebli wielkiego niedźwiedzia polarnego na kółkach, wyłączną własność ich młodszej siostry, któremu wolno było się poruszać jedynie po pokoju dziecięcym. Po Clarze ani Erwinie nie było już znać gorączki ani zapalenia gardła, które na tydzień odjęło im apetyt oraz siłę głosu. Mimo to doktor Meyerbeer zaordynował kategoryczny zakaz wychodzenia z domu aż do niedzieli. Anna, opiekunka do dzieci, miała wolne popołudnie i nie mogła wyjść na spacer z najmłodszą dziewczynką. Pytanie, dlaczego Otto sam z siebie zajmował się bratem i obiema siostrami, jakby byli mu mili i drodzy, przez godzinę frapowało jego matkę, nie znalazła jednak odpowiedzi. Jak zwykle, kiedy ojciec wyjeżdżał, dzieciom wolno było bawić się w salonie. Teraz, pierwszego dnia wiosny, zdawały się wyjątkowo rozkoszować tym niecodziennym przywilejem. Co najmniej przez pół godziny nie nastąpiła ani kłótnia o zabawki, ani nagły wybuch złości, nie padło nawet ani jedno głośne słowo. Nasłuchująca matka, która znała wszystkich czworo na tyle dobrze, że zwykła nie ufać długim okresom rozejmu, zmarszczyła czoło. Słyszała, jak jej najstarszy syn coś mówi, zaraz potem – jak bliźnięta klaszczą w ręce i krzyczą „hurra”. Najmłodsza, Victoria, piszczała. Otto mruczał nisko niczym niedźwiedź.

– Poczekaj tylko – ostrzegł siostrzyczkę – jeszcze ci nie będzie do śmiechu, kiedy w twoje szóste urodziny z wielką pompą wcisną ci do ręki pióro i zarzucą na plecy tornister. – Ku ogromnej ucieście

małej zaczął chrząkać, udając prosię. Bliźnięta znów głośno okazywały radość. Matka dzieci uśmiechała się, mimo że słowa syna, w których pobrzmiewało przekonanie o doświadczeniu życiowym, wzmogły jej czujność.

Z właściwą sobie podejrzliwością co do odchyień od normy rozmyślała, czy pod pozorem niespodziewanie rozgorzałej miłości do rodzeństwa Otto czegoś nie knuje, a jeśli knuje, to komu chce zaimponować i dlaczego. Po blisko osiemnastu miesiącach aklimatyzacji najstarszemu z rodzeństwa najmłodsze dziecko wciąż wydawało się podejrzane i chłopak nie próbował nawet wyprzeć się pokrewieństwa dusz z biblijnym Kainem. W każdym razie jego matce wydało się podejrzane, że Otto, mistrz taktyki, nie rozpoczął negocjacji, by popołudnie spędzić poza domem, od razu po obiedzie. To, że w tak wspaniały dzień nie kusilo go, by szukać przygód, i zamiast tego zabawiał młodsze dzieci, a na dodatek traktował je tak, jakby były mile widzianymi kompanami, wzbudzało w Betsy raczej dezorientację niż zachwyt.

– Nie tak szorstko, Ottonie – upomniała go profilaktycznie.

– Dobrze – obiecał.

Marcowe słońce nagrzewało przeszklony front ogrodu zimowego letnim żarem. Światło migotało na fioletowo. To zaciszne małe pomieszczenie już pierwszego dnia stało się azylem i rajem pani Betsy. Nigdy nie zapominała o ogrodzie zimowym, gdy skłaniała się do podsumowania błogosławieństw, którymi w życiu została obdarzona. Również teraz rozejrzała się wokoło i napawała się szczęściem posiadania własnego domu. Liście fikusa – poprzedniego dnia sama czyściła je czarną herbatą – lśniły głęboką zielenią. Drogocennemu różowemu bananowcowi, odmianie, którą niedawno udało się wyhodować niemieckim ogrodnikom, wyrósł nowy liść, nerterze świetnie zrobiło przesadzenie, a pachnące pelargonie rzeczywiście pachniały, wydzielały aromat eukaliptusa. W białej porcelanowej doniczce z niewielkim złotym cherubinkiem połyskiwał różowy kwiat hibiskusa. Znalazł się w ich domu przed dwoma laty, ale jeszcze nigdy nie kwitł. W ciągu nocy ze zwykłej rośliny zielonej zmienił się w olśniewającą piękność. Betsy uznała, że zapowiada to długą wiosnę.

Po chwili otrzeźwienia sumienna pani domu przestała myśleć o wiosennych porządkach czy nowych firankach w kuchni, nie myślała też o pierwszych rzodkiewkach ani o tym, że niebawem nadejdzie Pascha i musi zawczasu zamówić macę oraz szczupaka. Pani Betsy marzyła o letnim wypoczynku – bez dzieci i obowiązków, jedynie z mężem, może w Karlsbadzie, do którego już od dawna chciała pojechać, ponieważ o tamtejszej kuchni i kuracjach uzdrowiskowych opowiadano niebywałe rzeczy. Albo w Bad Gastein, dokąd jeździło wielu ceniących wygodę. Była wprawdzie zdrowa na ciele i umyśle i nie potrzebowała kuracji w uzdrowisku, podsycanie fantazji sprawiało jej jednak pewną przyjemność, a udawało jej się najlepiej, gdy wędrowała śladami sławnych ludzi. Do głowy przyszło jej Merano. Nawet niestrudzona cesarzowa Austrii Elżbieta odnalazła tam spokój. Z kolei Effi Briest z powieści Fontanego, bohaterka, z którą pani Betsy wciąż lubiła łączyć się w cierpieniu, jeździła nad rzekę Amizę, co miało dowodzić jej dobrego gustu.

– Ach – westchnęła Betsy – chyba skończy się na Amizie. – Zawstydzają ją własne niezadowolenie. Johann Isidor miał nie najlepsze zdanie o letnim wypoczynku, a jeszcze gorsze o kobietach, które wyjeżdżały na kuracje do znanych uzdrowisk, gdyż ich mężów kosztowało to krocie. Betsy niekiedy podejrzewała, że spędzone na wsi młodzieńcze lata oraz to, że ojciec nie ruszył się nigdy dalej niż do

Frankfurtu, odcisnęły na jej mężu pewne piętno. Wstała z miejsca i popatrzyła na podwórze naprzeciwko. Jak zwykle o drugiej po południu przy długim stole siedział siwy krawiec z jedną nogą założoną za drugą, z szyi zwisała mu miara krawiecka, a u stóp leżał rudy jamnik. Betsy pomachała do sąsiada, ale ten nie spojrzał w górę, a jamnik spał. Postanowiła, że następnego dnia zanieś tam wszystkie koszule Johanna Isidora, by przyszyć do nich nowe kołnierzyki. Majętny kupiec Sternberg nie lubił się rozstawać z żadnym ze swoich ubrań. „Mam tylko jeden dom” – zwykł mówić, gdy żona sugerowała mu zakup nowego palta czy modnej marynarki.

To akurat nie było już zgodne z prawdą. Johann Isidor Sternberg, magnat handlowy, współwłaściciel pewnego renomowanego wydawnictwa oraz człowiek zaangażowany w wysoce intratne operacje bankowe, pół roku wcześniej zakupił bliźniak przy Glauburgstrasse i przeprowadził w nim kapitalny remont. Wciąż miał też znaną w całym mieście pasmanterię Sternberg przy Hasengasse. „Człowiek nie odcina się od tego, od czego zaczął – mawiał, gdy okoliczności tego wymagały – w przeciwnym razie traci grunt pod nogami”.

Pani Betsy, pomimo dobrobytu, była równie mało podatna na ekstrawagancje jak jej mąż. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby zachowywać się tak jak jej przyjaciółka Henriette. Jej mąż zbil majątek na imporcie francuskich win oraz na sherry z Hiszpanii. Henriette nawet po domu nosiła bluzki z ręcznie tkanego delikatnego chińskiego jedwabiu oraz wydekoltowane suknie wieczorowe z Paryża i również w dni powszednie kazała podawać ciasto na paterze z fabryki porcelany Hutschenreuther.

Kiedy Betsy była sama z dziećmi, popołudniową czekoladę piło się w kuchni. Josepha podawała do niej flamandzkie gofry z reńskim syropem jabłkowym i snuła nowe opowieści o rodzinie carskiej, która wciąż jeszcze przyjeżdżała do Bad Nauheimu. Piętnastoletnia Olga i trzynastoletnia Tatiana korzystały z dobrodziejstw wód leczniczych, caryca wybrała doktora Georga Grotego na swojego lekarza. Pracowała z nim niejaka Hedwig, która była z kolei daleką kuzynką Josephy. Wszystkie wiadomości z carskiego domu pochodziły więc niemalże z pierwszej ręki.

Tego leniwego wiosennego dnia Betsy nawet nie przebrała się po południu. Miała na sobie niebiesko-białą suknię w kratę, która, do czego nikomu by się nie przyznała, przypominała jej dziewczęce lata na pensji w Montreux. Sukienka miała niewielki koronkowy kołnierzyk, szeroki materiałowy pas oraz obszerną spódnicę, w której mogła, nie wyglądając przy tym zanadto wyzywająco, podkurczać nogi, gdy pólsiedząc, odpoczywała na szeszlunku. Choć Betsy urodziła czworo dzieci, a mała Victoria miała zaledwie osiemnaście miesięcy, nadal była szczupła i żwawa. Niektóre z jej przyjaciółek uważały jednakowoż, że zarówno ze względu na swoją pozycję społeczną, jak i na wiek powinna się nieco zaokrąglić, stać się bardziej – jak to określano w wyższych sferach – korpulentna. Tymczasem wszędzie z zazdrością patrzono na jej rześki wygląd i nieustannie dobry nastrój.

Betsy Sternberg, zwłaszcza gdy nie czuła się obserwowana, zdawała się zadowolona z życia niczym dziewczynka, którą kiedyś była.

– Twoje siostry – stwierdził ojciec podczas ostatniej wizyty przed dwoma miesiącami – już od dawna mierzą tyle samo w szerz, ile w wżyz. A wchodząc po schodach, sapią jak lokomotywy. Mają przy tym mniej dzieci niż ty.

– Z połową swoich dzieci – powiedziała z uśmiechem ukochana córka handlarza precjozami Siegfrieda Straussa – poradziłam sobie przecież za jednym zamachem. Bliźnięta to wyjątkowe

błogosławieństwo niebios.

W przypadku Clary i Erwina było to prawdą jedynie do czasu, kiedy nauczyli się wyrażać swoje życzenia. Tylko ojciec umiał ich okiełznać, kiedy z najwyższym upodobaniem wszystkiemu się sprzeciwiali. Na ich fantazję oraz nieulekłość w przebijaniu się do świata dorosłych nauczyciele nie mieli rady. Ich matkę regularnie wzywano do szkoły Erwina, by wysłuchała skarg, i za każdym razem z ogromnym trudem udawało jej się uspokoić pannę Hirt, wychowawczynię klasy czwartej. Nazywała ona Erwina szatanem i wróżyła mu w gimnazjum marny koniec. Po podobnych dyskusjach umacniało się zazwyczaj przekonanie panny Hirt co do tego, że dzieci, które nie biorą udziału w zajęciach przygotowujących do sakramentu komunii świętej, przeważnie wykazują tendencję do buńczuczności.

Clara, która już w wieku siedmiu lat potrafiła płynnie czytać i której pamięć do liczb nawet krytycznemu ojcu wydała się nadzwyczajna, nie miała być posłana do zwykłego gimnazjum dla dziewcząt. Zapisano ją do Gimnazjum imienia Cesarzowej Wiktorii w Westendzie. Oznaczało to wprawdzie, że przyszła uczennica pierwszej klasy jeszcze długo będzie potrzebowała asysty w drodze do szkoły, wysiłek ten wydawał się jednak rodzicom wart zachodu. Bardzo im się podobało, że placówkę tę nazwano imieniem czcigodnej matki Wilhelma II. Co ważniejsze, w kręgach żydowskich szkołę tę ceniono szczególnie. Mimo wszystkich starań asymilacyjnych Sternbergowie nie chcieli, aby ich Clara była jedyną w klasie dziewczynką pochodzenia żydowskiego.

Rodzice mieli jeszcze wątpliwości, czy Erwin jest równie pojętny jak jego siostra. Mimo to miał w ślad za bratem pójść do Gimnazjum Klasycznego imienia Cesarza Fryderyka, kwadrans piechotą z alei Rothschildów. Uchodziło ono za elitarną szkołę. Ku tajonemu zmartwieniu Ottona jego młodszy brat, którego cenił jedynie za posiadanie klocków marki Anker i którego miał za cymbała, zdał egzamin wstępny dużo lepiej niż kiedyś on sam.

Nie rozmawiano wówczas za wiele o szkolnej przyszłości bliźniąt. Clara i Erwin interesowali się na razie przede wszystkim swoimi przypadającymi w kwietniu dziesiątymi urodzinami. Każde z nich zażyczyło sobie po tygrysie amurskim i lwie. Od roku w zoo żyła wspaniała para tygrysów podziwiana przez frankfurtczyków, a dwa lata wcześniej fauna ogrodu zoologicznego wzbogaciła się o dwa lwy z Senegalu. Nawet Otto, który uważał się za zbyt dorosłego, by stać przy kłatkach dzikich zwierząt, znał te lwy. „I to od grzywy aż po ogon” – zwykł, nadąsany, zauważać. Ponieważ Gimnazjum Klasyczne imienia Cesarza Fryderyka sąsiadowało z zoo, chłopak musiał, zgodnie z poleceniem nauczycieli, spędzać tam wiele godzin lekcyjnych, a nawet malować senegalskie lwy. Pośrednio posłużyło to jego rodzicom za pierwszą wskazówkę dotyczącą upragnionego zawodu ich najstarszego dziecka. Ku swojemu ogromnemu niezadowoleniu Betsy usłyszała bowiem, jak jej Otto szydzi w rozmowie z przyjacielem Theem: „Czy myślisz, że oficer heskiej gwardii dragońskiej kiedykolwiek w życiu będzie musiał namalować lwa?”.

– Nikt w mojej rodzinie nigdy nie wpadł na pomysł, by zostać żołnierzem – utyskiwała wieczorem przerażona matka.

– A myślisz, że w mojej wpadł? – odparł Johann Isidor. – Nie powinniśmy się denerwować. W wieku czternastu lat chciałem zostać prokuratorem.

– Że też akurat prokuratorem! I co cię od tego odwiodło?

– To, że mój ojciec wciąż powtarzał, że nie przyjmują Żydów.

Bliźnięta nie snuły jeszcze planów na przyszłość. Nie od razu dawały po sobie poznać skłonność do

kapryśów, to, że sprowokowane mogły stać się zuchwałe niczym dzieci z marginesu i że w najlepszym razie czuły respekt wobec ojca i starszego brata. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak radosne aniołki z pocztówek bożonarodzeniowych i wielkanocnych.

Betsy zbierała takie pocztówki. Inspirowana nimi znów zaczęła rysować i próbowała – chociaż na próżno – zainteresować rysunkiem przynajmniej Clarę. Jeszcze więcej czasu poświęciła, by trójkę starszych dzieci wprowadzić w swój ukochany świat muzyki. Przeczuwała, że raczej nie odniesie sukcesu, a mimo to z nadzieją co dzień siadała do fortepianu, który poił jej duszę odurzającymi wiosennymi marzeniami.

Świadoma obowiązków oraz wartości wykształcenia matka nieco apatycznie kartkowała zapisy nutowe dla początkujących. Uderzając w pierwszy klawisz, przeklęła nauczycielkę, która uczyła bliźniaki gry na pianinie. Przywiedła stara panna, która nigdy się nie uśmiechała, od której zawsze czuć było kamforę i która nieustannie chodziła przeziębiona, poradziła pani Sternberg, by ta codziennie grała utwory, których Clara i Erwin mieli się nauczyć na następną lekcję. „Nie pozostanie im nic innego, jak wziąć przykład z matki” – stwierdziła panna Schiffer.

Betsy za skuteczniejsze sposoby na krnąbrność i niechęć do nauki skłonna była uważać raczej wymierzenie policzka i areszt domowy, miała jednak opory, by płynąć pod prąd, zwłaszcza że był to prąd nowatorski, cieszący się uznaniem specjalistów. Skłaniali się oni ku temu, by nie zmuszać dzieci, jak kiedyś, do muzyki czy rysowania, lecz troskliwie kierować je ku światu sztuki. W przypadku Ottona, Clary i Erwina ziarno troskliwości zupełnie nie wzeszło. Dla gnuśnego tria muzyka stała się interesująca, dopiero gdy ojciec, który nie mógł się oprzeć żadnej nowince technicznej, przyniósł do domu gramofon. Gdyby jego przerażona małżonka nie interweniowała i nie nałożyła rygorystycznych ograniczeń na czas korzystania z tego „szatańskiego wynalazku”, życie rodzinne oraz dobry smak w okamgnieniu padłyby ofiarą bzdurnych szlagierów, które od niedawna wszyscy kataryniarze rzępolili po podwórzach i które służące nuciły podczas trzepania dywanów.

Zdeterminowana obrończyni kultury bez entuzjazmu grała utwór o wiernym paladynie, który, zanim się rozchorowali, Erwin i Clara ćwiczyli podczas lekcji. Żadne nie wykazało choćby cienia zdolności do przywoływania czegokolwiek z pamięci. Matka słyszała, jak chichoczą w salonie. Z pokrzykiwań, którymi nawzajem zachęcali się do działania, wywnioskowała, że w dalszym ciągu absorbował ich niedźwiedź polarny na kółkach. Betsy wciąż była nastawiona do świata zbyt przyjaźnie, by interweniować. Pomyślała o nauczycielce muzyki i jej zaleceniu, wyciągnęła z komody nuty do *Jasia i Małgosi* Engelberta Humperdincka i zaczęła grać.

Betsy знаła tego kompozytora jeszcze z czasów jego pracy w konserwatorium imienia Hocha we Frankfurcie i bardzo go ceniła. Uśmiechając się na myśl o pierwszym z nim spotkaniu i o tym, że wciąż dobrze skrywa swą tajemnicę, zagrała *Suse, droga Suse, co szeleści tam w źdźbłach?*, *Braciszka i siostrzyczkę*, a w końcu *Mały piaskowy dziadek to ja*.

Clara przeraźliwie ryknęła „hurra”, a Erwin jeszcze głośniejszym wykrzyknął „do broni, panowie”. Matka z westchnieniem zamknęła pokrywę klawiatury i przeczuwając coś, pospieszyła na plac boju. Przez kilka sekund stała w osłupieniu przy łukowatym przejściu między jadalnią a salonem. Musiała się hamować całą siłą woli, by w furii nie zacząć trząść swoimi dziećmi. Te małe czorty o anielskich twarzyczkach za pomocą farb wodnych domalowały horrendalnie drogiemu niedźwiedziowi polarnemu firmy Steiff –

Victoria dostała go w prezencie od ciotki Luise, która była wnuczką absolutnie oczarowana – czarno-biało-czerwone siodło, a ze złotej lamówki od aksamitnej firany zmajstrowały obrożę, uzdę i lonżę. Ta lamówka, pierwszorzędna ręczna robota z Prowansji, była w tamtym czasie jedną z kosztowniejszych rzeczy w pasmanterii Sternberg. Dopiero co z trudem wyczyszczona firana miała dziurę na wysokości metra i rozdarłe obrębiecie.

Clara pierwsza zrozumiała, że nadeszła godzina sądu. Niezgrabnie dygnęła i przez nos powiedziała *pardon*. Słowo to oraz jego wymowa były ostatnim wspomnieniem po dystygowanej francuskiej piastunce, która u Sternbergów nie wytrzymała nawet sześciu tygodni, a w dniu, w którym na zawsze opuściła dom przy alei Rothschildów, poprzysięgła, że nigdy więcej nie zatrudni się u kupca, zwłaszcza u niemieckiego.

– Znikajcie, pókim dobra – wrzasnęła Betsy. Ona również wspominała mademoiselle Antoinette. Z łagodnej, sumiennej, roztropnej matki stała się rozjuszoną Amazonką, która nie oszczędzi nikogo, kto ograbi ją z dumy pani domu. Lewą nogą tupiała o delikatny parkiet. Złowrogo uniosła prawą rękę. Jej nerwy smagał gniew nieznający litości. Pani Sternberg, dla której równowaga była pierwszym matczynym obowiązkiem, zapomniała wpieryw o swoim opanowaniu, a później o manierach. Z całej siły zamachnęła się na Erwina, ale usłyszawszy własne sapanie, niemalże się przewróciła. Niewiele brakowało, a utraciłaby również kontrolę nad własnym ciałem. Niemniej Betsy nie pozwoliłaby, aby jej dziecku spadł choćby włos z głowy. Mały chwyt postanowił schronić się u służby i czmychnął do kuchni. Gdy po jakimś czasie jego prześladowczyni go tam wytropiła, Josepha właśnie pocieszała swego drogiego pupilka kawałkiem wyśmienitego angielskiego ciasta rumowego, które matka chłopca upiekła na zbliżające się cotygodniowe spotkanie przy kawie z przyjaciółkami. Na parapecie przycupnęła Clara, nieco blada, być może nawet odrobinę świadoma swojej winy, lecz najwyraźniej niepozbawiona apetytu. Ona również kosztowała ciasta przygotowanego z myślą o popołudniu w damskim gronie, ułożonego na pastelowozielonej paterze z serwisu, który jej ojciec polecił sprowadzić z Limoges i który przeznaczony był jedynie dla wybranego kręgu gości.

– Poczekajcie tylko – zagroziła Betsy, zauważywszy jednak, że gniew jej minął, uznała walkę za przegraną i wróciła do salonu.

Mała Victoria siedziała boso na podłodze, schowana prawie całkowicie za ciężką kotarą, i lizała pudełko z farbami Clary. Błękitny muślinowy fartuszek był podarty, nowa beżowa sukienka z jedwabiu ubrudzona granatową farbą. Otto, który przez całe popołudnie troskliwie opiekował się młodszym rodzeństwem, gdzieś przepadł. Najwyraźniej pozwolił małej Victorii pobawić się jednym ze swoich ołowianych żołnierzyków, bo z kieszeni jej sukienki wyglądał piechur z bronią w pogotowiu. Rozglądając się jeszcze i podnosząc bosą córeczkę, która poczęła płakać i przypominała małego przemoczonego kota, matka uświadomiła sobie naraz wszystkie domowe kłębki. Pierwszy dzień wiosny, odurzenie słońcem, kolorami, wspomnieniami i oczekiwaniem – wszystko to straciło dla niej czar. Betsy próbowała rozbudzić w sobie wisielczy humor, który skutecznie pomagał jej na zły nastrój.

– Musisz lepiej pilnować swojego brata – powiedziała do dziewczynki.

– Nie! – krzyknęła radośnie Victoria. Było to jej ulubione, bo nowo poznane, słowo.

Jej starszy brat od jakiegoś czasu nad krzyk przedkładał raczej milczący protest intelektualisty, który zgłębił tajemnicę życia. Co do planów na popołudnie, nie próbował nawet negocjacji z matką, które

zwykle całkowicie wyczerpywały obie strony. Odkąd otrzymano zawiadomienie, że jego promocja do piątej klasy gimnazjum jest zagrożona, na ojcowskie polecenie znacznie ograniczono Ottonowi swobodę organizacji czasu wolnego. Choć uważał on takie traktowanie za uwłaczające godności czternastolatka, zazwyczaj stosował się do uciążliwych restrykcji.

Właśnie pierwszego dnia wiosny obowiązywał go areszt domowy, którego czas trwania zależał od matczynej pobłażliwości i zadań czekających na odrobienie, co uczniowi czwartej klasy gimnazjum Ottonowi Sternbergowi wydawało się upokorzeniem mogącym w przyszłości rzutować na jego osobowość. Przeklinał na zmianę swój los, ojca, nauczyciela łaciny wraz z dyrektorem szkoły i modelem kształcenia, który sprawiał, że wciąż stawiano na martwe języki zamiast na nauki przyrodnicze i współczesną technikę. A ponieważ surowy ojciec rodziny bawił przecież w Paryżu i w wyobrazeniach swego pierworodnego oddawał się grzechowi, Otto Śmiały ze szczególną przyjemnością pozwolił sobie na odstępstwo od przygnębiających reguł. Z zadowoleniem stwierdził, że nie jest ani kunktatorem, ani tchórzem, i odważnie wykorzystał sposobność, by oddalić od siebie *Rękomię* Friedricha Schillera, której do jutra miał się nauczyć na pamięć. Bez słowa wyjaśnienia dezenter opuścił dom i rodzinę.

Zanim Betsy uzmysłowiła sobie drwinę, zastanawiała się, dokąd mogło go ponieść. Spojrzała w lustro i bez skutku próbowała dodać sobie otuchy. Serce szalało, a umysł pracował na najwyższych obrotach. Czyżby zrozumiała raz na zawsze prawidłowość starą jak świat? Z pociesznego chłopca, który stawiał pierwsze kroki, trzymając się ręki matki, i wielkimi dziecięcymi oczami podziwiał cuda życia, Otto stał się młodzieńcem, który każdemu, kto go słuchał, dawał do zrozumienia, że nic, co ludzkie, nie jest mu obce. Sypał mu się pierwszy zarost, głos się załamywał. Ołowiane wojsko drzemało w kartonie i walczyło o sławę i honor, jedynie gdy od młodego pana Sternberga wymagano, by zajął się rodzeństwem.

Nosił buty numer czterdzieści, a ponieważ rósł zarówno wzdłuż, jak i wszerz, nieustannie potrzebował nowych spodni. Jego marynarski mundurk musiał więc donaszać Erwin. Celuloidowe ryby, które kiedyś towarzyszyły Ottonowi w kąpieli, puszczała teraz Clara, Victoria zasypiała, smoktając pluszowego zajączka, bez którego jej najstarszy brat również zasypiać nie chciał. On natomiast zażyczył sobie automatycznego repetiera^[5] oraz ojca, który nie byłby tak zasadniczy i sarkastyczny i nie mówiłby: „żydowskie dziecko nie strzela”.

Czternastolatek interesował się zestawami do golenia, rozklekotanymi rowerami oraz czapkami sportowymi. Drogi silnik parowy z lat dziecięcych wymienił na tani środek na wzmocnienie mięśni, co doprowadziło do awantury, gdy sprawa wyszła na jaw. Od poprzedniego lata adorował – na dużą odległość – Julię von Tannenberg, piętnastoletnią siostrę kolegi z klasy, którego zaprosił na swoje urodziny tylko dlatego, by na sprawdzianach z matematyki pozwolił mu w końcu zaglądać do swojego zeszytu. Panienska von Tannenberg jeździła konno niczym amazonka, uprawiała łucznicstwo i jeśli w ogóle mówiła, to głównie o tenisie. Poza tym nie zaszczycała znajomych brata nawet spojrzeniem swoich błękitnych oczu. Wiedza, że ósmoklasista Sternberg jest wyznania mojżeszowego, wystarczała jej za powód, aby unikać kontaktu z nim.

Nad biurkiem Ottona wisiała rotograwiura w białej żłobionej ramie. Przedstawiała cesarza Wilhelma II z jednym z jego wnuków. Gdy dorastający obieżyświat Otto zatęsknił za ukrytymi skarbami życia, pod osłoną nocy otwierał ramę i wyciągał (zza pleców Jego Wysokości) francuskie pocztówki z nad wyraz skąpo odzianymi dziewczętami. Gdyby zostały odkryte, strażniczka domowego ogniska zarzuciłaby

swemu synowi obcowanie z osobami płci żeńskiej, które w jej nomenklaturze określane były mianem wszetecznic. Jej mąż nazywał je raczej „apetycznymi damami” – jednakże tylko w towarzystwie swoich duchowych braci. Johann Isidor nie miał zresztą czasu, by dociekać, co tak naprawdę interesuje jego syna. Mocno zapracowanego ojca rodziny bardziej zajmowało układanie listy osób, które dwunastego lipca zamierzał zaprosić na pięćdziesiąte urodziny. Chciał bowiem należycie uczcić ten jubileusz, a wybór gości niespodziewanie zaczął nastroczać mu problemów. O nocnych lekturach chłopaka wiedział jedynie tyle, że w jego pokoju często jeszcze długo po północy pali się światło. Na szafce nocnej ucznia Ottona S., wyłącznie dla niepoznaki, leżały *Skarb w srebrnym jeziorze* i dopiero co wydany czwarty tom przygód Winnetou. Pod materacem zaś zdeponowane miał on skarby zgoła innego rodzaju. Leżał tam podręcznik do ginekologii owinięty we „Frankfurter Zeitung”. Heini Ochsenknecht, kolega z klasy o wysoce rozwiniętym zmyśle praktycznym, wykradł go z biblioteki ojca i odstąpił Ottonowi za dwadzieścia groszy tygodniowo i codzienną wymianę drugiego śniadania. Otto jednak szybko zaczął wątpić w to, czy aby ubił dobry interes. Tęsknił za kanapkami z wątrobianką, nie był w stanie zinterpretować większości rycin w tej naukowej publikacji i nie potrafił przetłumaczyć z łaciny fachowych terminów medycznych. Równie rozczarowująca okazała się druga książka pożyczona od Heiniego: obszernie omówienie prostytucji w antyku, opatrzone reprodukcjami fresków pompejańskich oraz fragmentami tekstów Owidiusza, których uczniom Gimnazjum Klasycznego imienia Cesarza Fryderyka we Frankfurcie bynajmniej nie udostępniano, a które były dla Ottona zbyt zawikłane, aby pomogły mu osiąść upragnioną wiedzę. Nader chaotyczne napomknięcia ojca o chorobach wenerycznych oraz pogadanka o zobowiązaniu młodych mężczyzn do łożenia na utrzymanie nieślubnych dzieci wyjaśniały interesujące Ottona sprawy jedynie po części.

Przed rokiem obchodził bar micwę, w związku z czym zgodnie z doktryną judaizmu stał się mężczyzną. Nie budziło wątpliwości, że właśnie w tej kwestii miał zamiar traktować wiarę praojców bardzo poważnie. Dawniej, jeszcze jako dziecko, od czasu do czasu rozmyślał wprawdzie o bitwach, wojnach i niemieckich zwycięstwach, ale dla młodzieńca, którym był teraz, ważniejsza od przeszłości była przyszłość, w której główną rolę odgrywały piękne kobiety i silne męskie przyjaźnie, trwalsze niż wszelkie życiowe problemy.

Ku oburzeniu Ottona po obrzędzie bar micwy rodzice nadal traktowali go jak dziecko. „Aż dziw, że ojciec nie zakazał mi jeszcze myślenia” – skarżył się przyjacielowi. Mimo to dzięki cierpliwości i przyjętej taktyce udało mu się częściowo uwolnić z krępujących go więzów. Najpierw pohamował się w marzeniach i pragnieniach. Postanowił, że wielki świat, do którego go ciągnęło, podbije później, swój rodzinny Frankfurt odkryje zaś niezwłocznie. Ani matka, ani ojciec nie dorastali w dużym mieście, dlatego dłużej niż inni wahali się, czy popuścić chłopakowi cugli. Byli nieufni, bojaźliwi i nawet w drobnych sprawach nie poddawali się bez walki. W ich opinii czternastolatek miał czcić Boga i ojczyznę, słuchać rodziców i nie kłaść swojej wiary. To, że Otto ostatecznie odnalazł własną drogę zdecydowanie wcześniej niż jego rówieśnicy z tej samej warstwy społecznej, zawdzięczał jednemu przyjacielowi, którego miał w życiu znaleźć.

Wybawca nazywał się Theodorich Rudolf Berghammer. Wołano na niego po prostu Theo. Był to niezwykle młodziwiec, który w życiu Ottona wkroczył pewnie niczym grecki heros uzbrojony w niewidoczny miecz ognisty. Jedno jego spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, czego chłopakowi brakuje, i w mig otworzyć złotą klatkę ówczesnych mieszczańskich wzorców. Theo miał dopiero

szesnaście lat, los jednak sprawił, że wcześniej stał się on mężczyzną. Był radosny, lecz nie uległy, uprzejmy niczym dyplomata, bezinteresowny, dowcipny i rezolutny. O jego wyborach życiowych decydowały oddanie rodzinie, hart ducha oraz umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. Na wszystko miał odpowiedź, lecz nie odzywał się bez powodu.

Sympatyczny chłopak wywołał w gospodarzu konflikt wewnętrzny, z którego ten nie potrafił znaleźć wyjścia. Johann Isidor Sternberg mógł jednak winić za to wyłącznie siebie. Był przeciwnikiem uprzedzeń, wciąż starał się postępować mądrze i z rozmysłem, nie miał Theowi absolutnie nic do zarzucenia, ale ten chłopak nie podobał mu się jako przyjaciel syna. Nie później niż po kwadransie nachodziła go obawa, że Theo, który wcześniej się usamodzielniał, po przyjaźni z młodszym i naiwnym jeszcze Ottonem spodziewa się korzyści finansowych lub awansu społecznego.

– Gdy pieniędzy wiele, wkoło przyjaciele – mawiał ojciec, kiedy jego najstarszy syn po raz pierwszy pojawił się na wieczerzy spóźniony.

– Zawsze przecież obawialiśmy się, że Otto nie znajdzie sobie prawdziwego przyjaciela – powiedziała później Betsy. – A poza tym – zauważyła z uśmiechem, który jej mąż całkiem trafnie zinterpretował – właśnie Theo jest teraz tym, który dysponuje pieniędzmi. Ma rower, a jeśli jeszcze nie wiesz, to rower jest dla współczesnej młodzieży obiektem westchnień.

– Czy ja muszę to wiedzieć? W każdym razie jest to do naszego jaśnie pana syna podobne, że nie szuka sobie przyjaciół w swoich kręgach.

– A czy ty jako chłopiec przyjaźniłeś się wyłącznie z synami handlarzy bydłem?

Ojciec Thea, nauczyciel gimnazjalny, który na klatce schodowej zwykł witać gospodarza z lekkim zakłopotaniem, od czerwca tysiąc dziewięćset szóstego roku mieszkał na trzecim piętrze. Pół roku po tym jak w aleję Rothschildów 9 sprowadziła się pięcioosobowa rodzina Berghammerów, wydarzyła się tragedia. We „Frankfurter General-Anzeiger” poświęcono temu wstrząsającemu zdarzeniu całe dwadzieścia wierszy i miesiącami stanowiło ono w okolicy temat rozmów. Młoda pani Berghammer, blond piękność, zawsze radosna i uczynna, wpadła pod jedyne auto, które tamtego dnia przejeżdżało aleją Nibelungów. Nie odzyskawszy przytomności, trzydziestodwulatka zmarła w szpitalu miejskim, rzut beretem od miejsca tragicznego wypadku. Pozostawiła zrozpaczonego męża z trójką dzieci. Najstarszy syn, Theo, miał wtedy dwanaście lat. Najmłodsze dziecko, ledwie sześciomiesięczne, ząbkowało, miało gorączkę, kolki i nie nadążało z trawieniem pokarmu. To właśnie napady gorączki małej Elise przyczyniły się jednak do tego, że jej owdowiały ojciec, doktor Berghammer, stał się stanowczy. Uchodził bowiem za raczej niezdecydowanego. Zatrudnił Minchen Bockmann, wyjątkowo ochoczą i bardzo młodą służącą. Była równie piękna jak jego małżonka, która zginęła w wypadku, nawet podczas pracy opinała biust gorsetem, a w niedziele nakładała dwie koronkowe halki. Niedługo później cała ulica huczała o tym, że piękna Minchen zrobiłaby dla dzieci niemal wszystko. „Dla pana domu również” – zwykła dodawać Josepha, gdy zaczynało mówić o gorliwości Minchen. Wiedziała swoje i miała rację, nawet jeśli jej język nieco się wyostrzył. Po upływie roku żałoby wdowiec Berghammer poślubił panienkę Bockmann, która niezwykle skutecznie zadbała o to, by znów mógł dobrze spać w nocy. Kochała jego dzieci jak własne, a jako służącą zatrudniła tęgą kobietę o przeredzonych włosach i dużych stopach, której nawet w niedzielę do głowy nie przyszło, by sznurować gorset.

– Ta nowa może nawet używać chusteczek swojej poprzedniczki. Monogram się zgadza – powiedziała

Josepha do Marii, straszliwie zazdrosnej o szczęście, które przypadło w udziale drugiej pani Berghammer. Maria miała wówczas blisko trzydzieści lat i nie liczyła na to, że jej posterunkowy się zdeklaruje, mimo że wciąż przyjeżdżał po nią w niedziele, kiedy miała wychodne.

Kiedy pani Betsy, która Schillera czytywała równie chętnie jak wtedy, gdy była młodą dziewczyną, znalazła w skrzynce na listy zawiadomienie o ślubie Berghammerów, mimowolnie przypomniała sobie o Don Carlosie i jego miłości do młodej macochy. Fantazja erotyczna pani Sternberg zdecydowanie wyprzedzała w tej kwestii czas. Dopiero jako szesnastolatek Theo doszedł do wniosku, że ubóstwia Minchen w ciasno zasznurowanym gorsecie tak samo jak jego ojciec.

Johann Isidor unikał kontaktu z najemcami z trzeciego piętra, zanim jeszcze Otto i Theo się zaprzyjaźnili. Kiedy wydarzyło się tamto nieszczęście, czuł się bowiem niezręcznie z myślą, że jeśli okaże nauczycielowi współczucie, ten może uznać go za natręta. Z biegiem lat okazało się jeszcze, że doktor Berghammer, choć pracował w gimnazjum, ideały wychowawcze miał bardzo odmienne od tych, którym hołdowali oddany cesarzowi gospodarz i jego równie konserwatywna żona, wręcz socjalistyczne. Relacjonowane przez Ottona szczegóły związane z pomysłami Thea oraz swobodą dawaną mu przez ojca wciąż na nowo rozbudzały niepokój w rodzinie, w której ojcowski rozkaz był świętym niczym boskie przykazanie.

Jeszcze jedna rzecz świadczyła o tym, że u Berghammerów działy się rzeczy dziwne, niemal jak u bohemy. Język małej Elise, niesfornej niczym chłopiec, gdyż we wszystkim naśladowała ona swoich braci, był tematem dyskusji nawet w parku Günthersburga. Według plotek krążących po kamienicy Elise powiedziała do służącej „zamknij mordę” i z zasady mówiła na ty do mleczarza z Höhenstrasse oraz szlifierza z Taunusu. Berghammerowie nie szanowali regulaminu domu, tak jak pozostali lokatorzy. Przed ich drzwiami często stały rupiecie, schody i piwnica rzadko były odpowiednio wysprzątane. Na zakurzonym oknie w korytarzu na trzecim piętrze Josepha napisała kiedyś „brudasy”, czemu jednak żywo zaprzeczyła w konfrontacji z oburzoną panią Minchen. Pranie pokryte plamami pleśni, które wisiało w suszarni w każdą pierwszą środę miesiąca, rzuciło się w oczy nawet pani Betsy. Choć zazwyczaj unikała wtrącania się w życie prywatne swoich lokatorów, miała, według Josephy, dwukrotnie nazwać Berghammerową fleją.

Sternbergów najbardziej konfundował rozwój Thea. Syn doktora rzucił szkołę, zanim jeszcze ukończył dziesiątą klasę. Tydzień później zaczął terminować u pewnego frankfurckiego fotografa, który specjalizował się w portretach.

– Wykoleił się – skomentowała Betsy, zdając mężowi relację z tych wydarzeń. Świadomie pominęła renomę pracodawcy Thea, którą cieszył się on w całym mieście. O surowej ocenie gospodyni rzekomy wykolejeniec dowiedział się z ust Ottona, ale na schodach witał ją tak samo swobodnie jak zwykle. Miał tupet, żeby co dzień wychodzić z domu z podniesioną głową – w niedbałym stroju i głośno pogwizdując. Na szyi nosił zazwyczaj czerwoną chustkę, a pewnego razu Josepha miała nawet wypatrzeć go w czerwonych skarpetach. Sternbergom brakowało na to słów i byli bezradni. Nie należeli przecież do wyższych sfer wystarczająco długo, by cudze cele życiowe akceptować tak samo jak własne.

„Chłopiec z dobrego domu powinien zdać maturę, pójść na studia i uzyskać tytuł doktora. Nawet jeśli jego ojciec poślubił swoją służącą i prawdopodobnie głośuje na socjalistów” – takimi słowami zwykł reagować Sternberg ojciec na niestosowną uwagę Ottona, że cesarz nie uzyskał tytułu doktora.

Przeczuwał, kto podsunął ten argument. Obawy, że Otto chciałby pójść w ślady swojego idola i jak on zbyt wcześnie zrezygnować ze szkoły, Johann Isidor mógł jednak powierzyć wyłącznie Bogu.

Jedynie jako przedsiębiorca zwykł robić rzetelne rozeznanie w sprawie, którą się akurat zajmował. Jako ojciec polecił Ottonowi ograniczyć stosunki z Theem do minimum, które nakazuje dobre wychowanie. Podczas dyskusji, w której spodziewał się ostatecznie przekonać syna, że w życiu warto obcować jedynie z ludźmi równymi sobie, powoływał się na swą błogosławioną pamięć babkę, Bismarcka, króla Salomona i własne życiowe doświadczenie. Nie pytał, jak w ogóle doszło do tego, że chłopak zaprzyjaźnił się z Theem. Jego żona również nie zgłębiała tego tematu. Dlatego też ani ojciec, ani matka nie dowiedzieli się, że jedynemu w swoim życiu przyjacielowi ich syn zawdzięczał ratunek w jednej z owych upokarzających sytuacji, które nauczyły trwogi wiele pokoleń żydowskich dzieci w Niemczech. Swego czasu nie oszczędzono też ani małego Johanna Isidora z Schotten, ani uroczej Betsy Strauss z Pforzheim.

W drodze powrotnej z gimnazjum, w alei Habsburgów, Otto został zaatakowany przez klikę uczniów ze szkoły powszechnej, chłopaków, których bała się cała okolica. Skorzy do bijatyki młodzieniaszkowie robili wszystko, by schwycić wracających do domu gimnazjalistów i nawymyślać im od zarozumiałych snobów. Swoim ofiarom rozbijali nosy, kaperowali ich czapki i tornistry i obrzucali ich końskim łajnem. Ottona urządzono tak ku przestrodze pozostałych.

W krytycznym momencie, gdy herszt bandy, trzymając z tyłu szamoczącego się chłopaka, wyszarpnął mu z ręki tornister, a z głowy zerwał czapkę i jedno i drugie przerzucił przez dwumetrowe ogrodzenie, pojawił się Theo. Wszyscy napastnicy, z końskim łajnem w pogotowiu, na całe gardło skandowali: „Żydowska świnia! Żydowska świnia!”. Otto, otaczany zawsze troskliwą opieką, słyszał to obelżywe określenie pierwszy raz.

Theo zareagował spontanicznie. Do walki nie popychał go chłopięcy zapach, by sprawdzić się w bójce, ale poczucie sprawiedliwości, empatia w stosunku do słabszych, przyzwoitość. Młodszego brata Thea nie ważył się tknąć żaden z tych, którzy zazdrościli mu trójkołowca z konikiem. Wózek dla lalek jego siostry chroniła sama już tylko sława starszego brata. Niejeden chłopak brutalnie zaatakowany gdzieś w okolicach alei Rothschildów, Bergerstrasse i Prüfling, był Theowi zobowiązany za nieoczekiwane zwycięstwo nad górującym przeciwnikiem, a niejeden oprych zawdzięczał mu limo pod okiem. Theo często współczuł wążemu Ottonowi, który witał się z lokatorami ojca z takim zakłopotaniem, jakby cierpiał niedole całej ludzkości. Odkąd wyciągnął go z tarapatów, czuł się za niego odpowiedzialny. Nieporadność Ottona, gdy tłum mu ubliżał, a on nawet nie próbował się bronić, na zawsze pozostała w pamięci Thea. Kiedy tylko mógł, eskortował chłopca w drodze do szkoły.

Dopiero wtedy tak naprawdę się poznali. Theo lubił Ottona za refleksyjne usposobienie i błyskotliwy dowcip, którego by się po nim nie spodziewał. Sam interesował się jedynie nowinkami technicznymi. Imponowało mu to, że Otto co dzień czytywał gazety i relacjonował wydarzenia ze świata, jak gdyby opowiadał historie przygodowe. Niedługo później zwyczajem stało się, że w niedzielę po obiedzie Theo przychodził po przyjaciela, przy czym tak uprzejmie i zmyślnie zabiegał o zgodę jego rodziców, że Sternbergom niezręcznie było obstawać przy swoich obiekcjach. Z początku przechadzali się po Ostparku i obserwowali chłopców wodujących na stawie swoje łódki, później flanerowali wzdłuż Röderbergweg, próbowali flirtować z dzierlatkami, które chichocząc, biegały za swymi rodzicami, i tęsknie spoglądali za młodymi kobietami w odświętnych sukniach.

– Jak właściwie można zapoznać się z taką dziewczyną? – zapytał Otto.

– Wydaje mi się, że trzeba odczekać, aż się potknie i padnie ci do stóp – odpowiedział Theo.

– Pomyliło ci się z jabłkiem, które spadło Newtonowi na głowę.

Kiedy chłopcy poznali się lepiej, zaczęli opowiadać sobie sny, które nocami wprawiały ich w zakłopotanie. W takich chwilach zapominali o swoich staraniach, by zachowywać się tak, jak gdyby nic, co męskie, nie było im obce, i dziwili się niezmiernie, że w ich ojczystym języku w ogóle istnieją słowa na nazwanie uczuć, które sprawiają, że ciało natychmiast staje w płomieniach. Ponieważ Theo pracował, również Otto wcześniej wydorósł. Ciągnęło go do niezależności, życia w mieście, do nowych wrażeń i tego, co nieznanego. Tydzień w tydzień wymyślał coraz to bardziej wiarygodne wymówki, by wymknąć się z kokonu domu rodzinnego. Fascynowali go nowi znajomi Thea. Kiedy tylko ukończyli naukę, Otto zaczął z podziwem myśleć o samodzielnie zarabianych przez nich pieniądzach, którymi płacili za papierosy oraz piwo i za które fundowali lemoniadę damom swych serc. Byli kelnerami w znanych kawiarniach, pracownikami hoteli, sprzedawcami w eleganckich sklepach i praktykantami w siedzibach prestiżowych zagranicznych przedsiębiorstw. Chłopakowi wydawali się bogaci i bardzo bystrzy. W każdym razie byli dojrzalsi, swobodniejsi, bardziej towarzyscy i serdeczni niż jego szkolni koledzy. Im lepiej ich poznawał, tym bardziej im zazdrościł. Mogli ubierać się zgodnie z własnym upodobaniem, żaden nauczyciel nie prześladował ich balladami Schillera ani dziełami rzymskich historyków, matki nie przymuszały ich do grania na pianinie. Nie jeździli z rodzicami na letnisko ani nie jadali obiadów pod żyrandolem z czeskiego kryształu, nie musieli też ukrywać pod materacami książek, które chcieli przeczytać. Byli wolnymi duchami, nikt już ich nie napominał, uczyli się, jak twierdzili, „nie dla szkoły, lecz dla życia”. Rozmawiali o kobietach i miłości, kiedy tylko chcieli, a twierdzenie Pitagorasa traktowali z taką samą obojętnością jak Otto matczyne nakaz, żeby co rano pić szklanek mleka.

Imponowali mu Karl Kalubka, kelner w hotelu Bazylejski Dwór, oraz Willi Bleirich. Filizanki, którymi szalony Willi balansował w letnim ogródku kawiarni Stary Odwach, piętrzyły się tak wysoko, że panie w etolach z piór i w kapeluszach przystrojonych kwiatami biły brawo za każdym razem, gdy przynosił im tort czekoladowy z górą bitej śmietany. Zimą towarzyszył dżentelmenom w sali bilardowej i otrzymywał w prezencie cygara, na które Johann Isidor nie pozwalał sobie nawet od święta. Już ojciec szalonego Willego był kelnerem. I to jakim! W Bad Gastein serwował duszonego karpia w rodzynekach, migdałach i sosie piernikowym Bismarckowi i cesarzowi Wilhelmowi, a żeby każdy wiedział, z kim ma do czynienia, kalafior wciąż nazywał kapustą cypryjską.

Ze starym Bleirichem Theo i Otto spędzili kiedyś całe niedzielne popołudnie. Zafundował chłopcom najdroższe lody z menu kawiarni Stary Odwach: o smaku mokki z pistacjami namoczonymi w rumie. Ostatecznie kiedy to były kelner hotelowy, któremu pozostały jedynie wspomnienia i jamnik z dusznościami, znajdował audytorium, przysłuchujące mu się z otwartymi ustami i z utkwionym w nim spojrzeniem? Syn odziedziczył po ojcu talent do opowiadania. Młody Bleirich wiedział zaś o frankfurckich wyższych sferach więcej, niż obrotny kupiec Johann Isidor Sternberg kiedykolwiek mógłby usłyszeć. Willi po mistrzowsku prawił zwłaszcza o rzeczach nieprzyzwoitych i lubieżnych. Nawet Theowi czerwieniły wówczas uszy.

Jednak gwiazda, która na firmamencie nowego życia Ottona przyćmiewała wszystkie pozostałe, nazywała się Paul Friedrich Hagen. Był to wąsaty adonis, od którego aż bił blask. Całowania w dłoń tak,

by paniom łzy napływały do oczu, nauczył się od pewnego wiedeńskiego barona, szlagierów *Zamki, które na księżycu leżą* oraz *Podaruj mi choć szczyptę miłości* – od mistrza operetki, Paula Linckego we własnej osobie. Paul Hagen miał złote serce oraz matkę, która wyperswadowywała mu każdą narzeczoną, przeciwko czemu nie protestował. Mimo to nie był starym kawalerem, ale radosnym pięćdziesięcioletkiem i kuzynem ojca Thea. Theem, swoim chrześniakiem, zachwycał się tak, jak inni mężczyźni w jego wieku zachwycaли się blond subretkami występującymi na scenie. Przede wszystkim szykowny Paul pracował jako główny księgowy w Teatrze Schumanna we Frankfurcie, uchodził więc za króla darmowych biletów. Theo już jako czternastolatek regularnie gościł w okazałym budynku teatru z cudownymi statunami i fasadą z białego piaskowca.

Kochał cyrk i ubóstwiał variétés, gdy jednak w Schumannie trwał miesiąc operetki, nie opuszczał ani jednego przedstawienia. Marzył, by zostać fotografem tak sławnym jak jego mistrz, a potem fotografować jedynie w teatrze. Otto nie przeczuwał nawet, że ten piękny świat pozorów w ogóle istnieje. Zaległości nadrobił w ciągu jednej tylko nocy, i to wyłącznie dlatego, że pierwszego dnia wiosny jego matka zapomniała zatrasnąć złotą klatkę, a surowy jaśnie pan ojciec załatwiał w Paryżu swoje interesy.

Dzięki Orfeuszowi, bohaterowi jego ostatniego, ocenionego na ocenę mierną zadania domowego, nawiązał znajomość z muzą Talią. Stało się to za sprawą dzieła Jacques'a Offenbacha, którego Sternberg senior zwykł określać pogardliwie jako „parszywego kolończyka, który wszystkim nam przynosi wstyd”.

Otto przez lata żywił obawę, że za jego życia nie będzie żadnej wojny, w której mógłby zginąć za ojczyznę. W Teatrze Schumanna we Frankfurcie nad Menem, ukryty w łoży i z walącym sercem, w ciągu jednej tylko nocy oddany cesarzowi młody Niemiec złożył w ofierze swoje patriotyczne ideały. Jego moralność i niewinność legły w gruzach w chwili, w której spostrzegł piękną Eurydykę. We włosach miała złote klamry, na szyi złotą biżuterię, a jej suknia podkreślała wszystkie kobiece krągłości. Otto, który wyrzył kiedyś na swoim sekretarzyku słowa: *dulce et decorum est pro patria mori*, ujrzał tę niewiastę i zapragnął zgrzeszyć. Kiedy Eurydyka podążała za pszczelarzem, księciem piekieł, Otto snuł właśnie najodważniejsze z męskich marzeń. Nogi tancerki kankana towarzyszyły mu, gdy zasypiał.

Matka nie pytała Ottona, gdzie się podziewał. Za bardzo się obawiała, że jeśli później miałyby zrelacjonować to przesłuchanie mężowi, dostarczyłaby mu przypuszczeń, których gwoli małżeńskiej zgody wolała uniknąć. Obawiała się jednak niepotrzebnie. W Paryżu Johann Isidor nie zajmował się jedynie interesami. Uległ tłącej się od dłuższego czasu potrzebie bliższego poznania legendarnie pięknych młodych paryżanek. Kolejna omyłka pani Betsy dotyczyła syna tegoż ojca. To, że Otto nie chciał ćwiczyć gry na pianinie, nie oznaczało, jak pochopnie przyjęła matka, absolutnego braku zainteresowań muzycznych. Melodia znanego kupletu Jacques'a Offenbacha *Gdy byłem niegdyś księciem z Arkadii* oraz piekielny spektakl z kankanem nie uleciały z jego pamięci już nigdy.

NIEDZIELA W ŚWIATOWEJ SŁAWY UZDROWISKU

Baden-Baden, 28 czerwca 1914

We Frankfurcie chmury nawet latem wyglądały jak szara, napęczniała gąbka. W Baden-Baden zaś o tej porze roku na południowym niebie tańczyły w korowodzie miękkie pierzaste obłoczki.

– Przypominają pierzyny pani Holle – powiedziała Betsy podczas śniadania na tarasie, na którym zażywano kąpieli słonecznych.

Jej córka Clara, mądra ponad swoje czternaście lat i dwa miesiące, wzruszyła z wyższością ramionami. Już chciała zapytać matkę, jak czterdziestodwuletnia kobieta wpadła na tak infantylne porównanie, ponieważ jednak zbyt długo czekała na milczące przyzwolenie swego brata bliźniaka, przegapiła okazję, by w gronie rodzinnym zaprezentować się jako krytyczna młoda dama, odnosząca się do innych bez fałszywie pojmowanej atencji. Pod ostatnimi dwoma wypracowaniami Clary Sternberg, uczennicy piątej klasy gimnazjum, nauczyciel niemieckiego zapisał bowiem: „Językowo bez zarzutu, lecz za mało fantazji”.

– Za mało fantazji. – Erwin uśmiechnął się szyderczo. Wszyscy zgodzili się, że nie był ani odrobinę złośliwy, chciał jedynie dać popis świetnej pamięci.

W południe letnie niebo w Baden-Baden przynosiło niezwykle wieści. Wmawiało upojonej życiem młodzieży, że miłość trwać może wiecznie, człowiek potrafi zatrzymać czas i sięgnąć gwiazd. Co starszym jakiś błazen w chmurach wmawiał, że historia o fontannie młodości to ponoć nie wymysł poetów i malarzy, ale szczerą prawdą, po którą wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Szczególnie wskazane miało być przy tym zażywanie kąpieli w europejskich uzdrowiskach przynajmniej raz do roku oraz popijanie małymi łykami tamtejszej wody.

Dwudziestego ósmego czerwca, jednego z niewielu słonecznych i bezchmurnych dni tysiąc dziewięćset czternastego roku, kalendarz wskazywał niedzielę. Godziny poranne stały się już wprawdzie nieco parne i przyciężkie, ale zrywający się co jakiś czas lekki wiatr oraz zapach jaśminu napawały radością i nadzieją. Beztraska czereda rozbrykanych chłopców z cienkimi skórzanymi bacikami w rękach ganiała się za plecami spacerujących rodziców. Służyły one do lubianej zabawy w koniki. Równie swawolnie zachowywały się małe dziewczynki z pięknymi kokardami we włosach i filigranowymi łańcuszkami na szyjach. Nie baczyły na wyszukane odświeżone sukienki z falbanami i wolantami ani na czarne buciki z miękkiej bądź lakierowanej skóry zapinane na klamerki i zapominały, że szlachetni książęta przyprawdzali do swych zamków jedynie przyzwoite panienki.

Przyjezdni, którzy latem zaludniali tętniące uczuciami uzdrowisko i wprawiali w zachwyt pracujących tam lekarzy, karczmarzy i sprzedawców, grajków i dorożkarzy, wyróżniali się miejskimi strojami.

Przybrawszy wytworne pozy, siedzieli – niektórzy wręcz na baczność – na biało pomalowanych ławkach naprzeciw pawilonu muzycznego i wokół kwietników, panie w lekkich nakryciach głowy, z rozłożonymi wachlarzami i w najznakomitszym obuwiu. Zarówno one, jak i wielu panów miało na sobie przewiewne ubrania w jasnych kolorach. Ci w czapkach à la grossadmiral księżę Henryk przypominali kapitanów okrętów, a inni, w zielonych marynarkach z jasnymi rogowymi guzikami – myśliwych.

Jeśli pominąć wysiłek fizyczny podczas wyczerpującej kuracji zdrojowej, niedziela w Baden-Baden była dniem przyjemnie spokojnym. Głowa pozostawała wolna, myśli lekkie, serce radosne. Johann Isidor i Betsy także siedzieli na jednej z ławek w parku zdrojowym, a życie wydawało im się dziecięcą igraszką. Ich dłonie były ze sobą splecione, ramiona i kolana stykały się, słyszeli nawzajem swój oddech, zdawało im się, że są młodą zakochaną parą, której nie podcięto jeszcze skrzydeł i która dokładnie wie, dokąd zmierza.

– Tak zupełnie bez dzieci – zauważył Johann Isidor. Westchnął cicho z ulgą, a potem dodał bez zażenowania: – Cudownie.

– Błogosławieństwo niebios – potwierdziła Betsy. – I nie mam nawet wyrzutów sumienia.

– Przyjdą dopiero jutro, kiedy całą czwórkę porzucimy w lesie. Tak jak rodzice Kopciuszka.

– Jasia i Małgosi – zaśmiała się Betsy. – Widać, że nigdy żadnemu z nich nie opowiadałeś bajki.

– Powiedz mi jeszcze, że robią to mężowie twoich przyjaciółek.

– Nie – przyznała Betsy – nie robią tego. Bajki opowiadają swoim żonom.

Od razu po śniadaniu Otto pożegnał się ze wszystkimi i ku ich zaskoczeniu powiedział, że chce się wybrać na wystawę wycinanek, o której dzień wcześniej pochlebnie napomknięto w ogłoszeniach dla kuracjuszy. Erwin i Clara oświadczyli – również bez skrępowania – że wolą zostać w hotelu i rozpocząć czytanie obowiązkowej lektury na niemiecki. Po nakazie ojca i z dyskretnym wsparciem pieniężnym od matki przystali jednak na to, by dwie godziny swego cennego czasu przeznaczonego na naukę poświęcić młodszej siostrze i nie poskramiać jej od razu za pomocą ciasta marmurkowego pozostałego ze śniadania.

– Mógłbym przysiąc – zaczął Johann Isidor i skinął w kierunku Fischmanna, sprzedawcy alkoholi, którego przelotnie poznał we Frankfurcie – że obydwójce już dawno temu zostawili nasz skarb pod opieką mojej niespełna rozumu ciotecznej babki.

– Spokojnie. Ta kobieta ma serce na dłoni i zupełnie oszalała na punkcie małej.

– A przecież to właśnie ona powinna najlepiej wiedzieć, co może wyrosnąć z małych niewinnych dzieci. Nie mówię tu wyłącznie o jej niewydarzonych córkach. Mam na myśli również swojego brata Samy'ego, który ma się za drugiego Rembrandta.

Johann Isidor z zadowoleniem zamknął oczy, mimo że właśnie postanowił sobie znów dokładnie wyliczyć, ile pieniędzy dał już Samy'emu, by jego nieszczęsna żona i dwójka dzieci nie cierpiały biedy. Rzeczywistość umknęła mu jednak w ułamku sekundy. Chmury przemieniły się w baranki hasające po wiosennych łąkach, które pamiętał z lat dziecięcych, i zanim zdążył choć słowem zaprotestować, ujrzał obrazy, poczuł zapachy i usłyszał niepokojące dźwięki odległej przeszłości. Gdy uzmysłowił sobie, że bez swego przyzwolenia został porwany do domu, próbował wyprzeć ze świadomości tamte widoki i tamtych ludzi, ale rozum odmówił mu posłuszeństwa. Na łące za domem rodzinnym stał wóz drabiniasty. Jakiś kozioł meczał. A może nastała już Rosz Haszana i w synagodze dęto w barani róg, który w Nowy Rok ma przypominać Żydom o ich grzechach?

Skrupulatny przedsiębiorca Sternberg, w którego ewidencji księgowej nawet jedna cyfra nie zakłócała ustalonego porządku, wsunął rękę do kieszeni nowej lnianej marynarki. Nie mieściło mu się w głowie, że siwiejący mężczyzna przy tuszy, który wkrótce stanie się posiadaczem pierwszego samochodu, a którego najstarszy syn już od dawna nie prosił o porady życiowe, tak wyraźnie słyszy głos swej matki.

Hanna Sternberg, z domu Wertheim, pochodząca z Hanau nad Menem, która po ślubie zamieszkała w Schotten i tam też zmarła w połogu po urodzeniu piątego dziecka, miała na sobie niebieską podomkę. Pachniała rosołem i świeżo upieczoną chałką z makiem, która co piątek leżała obok butelki wina. W ręce trzymała kromkę chleba grubo pociągniętą żółtym masłem. Powiedziała, że Josi musi się pospieszyć. Dodała, że wkrótce rozpocznie się szabas i ojciec pogniewa się, jeśli jej syn znów nie pojawi się przy stole o czasie.

– Na niebie nie ma ani jednej gwiazdy – odparł napomniany chłopak, i wówczas Johann Isidor powiedział tonem, po którym każdy by go rozpoznał: – Jedynie matka nazywała mnie Josi.

– To przez te wczorajsze kąpiele – uspokoiła go żona. – Wszyscy tu mówią, że źródła nadwyreżają nerwy i nawet na drugi dzień ludziom śnią się całkiem szalone rzeczy.

– Całkiem szalone – potwierdził Johann Isidor. – Co dobrego może z tego wszystkiego wyniknąć, skoro te źródła tak wyczerpują, a dorosłemu mężczyźnie ukazują się zjawy? Czegoś mocniejszego mogę się przecież napić i w domu. Za połowę ceny.

– W domu na niedzielne śniadanie dostaniesz tylko jedno ugotowane jajko, a nie dwa zapiekane. A niedzielne ciasto podaje się u nas dopiero po południu.

– Przecież się nie uskarżam. Stwierdzam jedynie fakty.

Dzwon kolegiaty w Baden-Baden wybił po raz dwunasty. Był to mocny dźwięk, który oczyszczał marzenia z pożądliwości, uszczypliwości pozbawiał zadr, a obawom odbierał grozę. Wśród purpurowych róż bzycały pszczoły. Nad małym stawem z liliami wodnymi krążyły ważki. Przemądrzały chłopczyk w białym marynarskim ubranku, którego matka już od bardzo długiego czasu pochłonięta była rozmową z młodą kobietą w jasnoniebieskiej tiulowej sukience, wetknął w ziemię pomiędzy kwiaty drewniany kijek z czarno-biało-czerwoną papierową chorągiewką. Matka chciała go uderzyć, mały marynarz okazał się jednak odważny i zwinny. Uchylił się akurat we właściwym momencie. Kobieta straciła równowagę. Jej bohaterski syn się zaśmiał.

Mimo że Johann Isidor otworzył oczy tylko na chwilę, zauważył śliwki w czekoladzie w złotych papierkach. Cukierki te leżały pośród ciast na ladach cukierni i podstępnie, co dzień od nowa, ograbiały Victorię z zadowolenia. Obiecano jej bowiem, że jeśli będzie się zachowywać nienagannie, to dostanie jedną taką śliwkę, ale dopiero w dniu odjazdu. Te złote śliwki, stwierdził z przerażeniem Johann Isidor, stawały się coraz większe. Krążyły jedna wokół drugiej i przypominały mu miecz ognisty. Kto i skąd go przepędzał? Chwycił się za szyję.

– Jak my tu właściwie trafiliśmy? – zapytał.

– Pytasz na poważnie?

– Nie!

Johann Isidor Sternberg, który na jawie wierzył jedynie w to, co widział i czego mógł dotknąć, na dobre powrócił z labiryntu letnich marzeń.

Cała szóstka Sternbergów wraz z Jettchen Bär, owdowiałą, zamożną i osamotnioną ciotką pana domu, dziesięć dni wcześniej zatrzymała się w hotelu zdrojowym Pod Jeleniem. Decyzja o tym, by i dzieci zabrać na kurację, zapadła w ostatniej chwili – i doprawdy nie została podjęta dobrowolnie. Erwin i Clara mieli pojechać do ciotek i rodzeństwa ciotecznego do Pforzheim, ale siostry Betsy, niespodziewanie i ze zdawkowym tylko uzasadnieniem, przełożyły swoje zaproszenie na ferie jesienne. Victoria została zabrana przede wszystkim ze względu na nalegania Jettchen. Przemiała ciotka z Darmstadtu w imponującym koronkowym żabocie z Brukseli i z laską zwieńczoną srebrnym lwim łbem miała złote serce i nad wyraz szczodry gest. Po śmierci mającej ciotki Luise właśnie Jettchen została nestorką rodu. Po swej siostrze przejęła zarówno kosztowną rodową biżuterię, jak i przywiązanie do Johanna Isidora. Kochała też Betsy i spełniała nawet te życzenia dzieci, które uchodziły za nieskromne i niestosowne. Nieugięta okazała się jedynie w przypadku Murzyna z Togo, którego zażyczyła sobie od niej Victoria.

Jettchen mniej poszcęściło się z własnymi dziećmi. Obie córki przed ślubem przyjęły katolicki chrzest i z roku na rok rozluźniały kontakty z matką. Wnuków nie znała. Właśnie to doświadczenie oraz wciąż pogłębiająca się tęsknota za życiem rodzinnym sprawiły, że Jettchen z młodej jeszcze osoby o pogodnym, marzycielskim usposobieniu stała się samotną, zgorzkniałą kobietą. Kiedy w tysiąc dziewięćset czternastym roku zmarła ciotka Luise, Betsy, jak gdyby boskim przykazaniem było obsadzenie pustego krzesła przy rodzinnym stole, niezwłocznie zaprosiła Jettchen do Frankfurtu na Paschę. Jeszcze zanim podano gorzkie zioła, które pierwszego wieczoru przypominają o wyjściu dzieci Izraela z Egiptu, ciotka zakochała się w Victorii. Od tamtej pory nazywała ją na zmianę Vikusią oraz Serdeńkiem i w żaden sposób nie dała się odwieść od pomysłu zabrania jej na letnisko; twierdziła, że męcząca mała mądrała pozwoli jej wreszcie doświadczyć uroków bycia babcią, które ją ominęły, co dobrze wpłynie na jej zdrowie. Dlatego też nikogo w rodzinie nie zdziwiło, że jako jedyna była zachwycona tym, że jej Vikusia siedziała ze wszystkimi przy elegancko nakrytym stole w hotelu, z nadąsaną miną maczała chleb w zupie i swoim pięknym, donośnym głosem domagała się pieczeni rzymskiej oraz placka z czereśniami Josephy.

Sugestia, by wybrać się na kurację do uzdrowiska, wypłynęła od poczciwego doktora Meyerbeera, który z biegiem lat stał się nie tylko lekarzem Sternbergów, ale też przyjacielem rodziny i jej powiernikiem. Meyerbeer miał dobre zdanie o niemieckich uzdrowiskach. Jednakże konkretny powód swego uznania podawał tylko wtedy, gdy był akurat w dobrym nastroju, i tylko w towarzystwie najlepszych przyjaciół. „W Bad Ems – zwykł wyjaśniać – natychmiast wykurowano mnie z choroby serca”. Nagłe ozdrowienie zawdzięczał swej zaradnej małżonce, która poprzedniego lata, w przerwie pomiędzy koncertem w uzdrowisku a popołudniową kawą, znalazła dla córki Emilie przystojnego i mającego kandydata na męża. Panienkę Emilie w najlepszym razie dało się określić jako niepospolite zjawisko. W chwili zamążpójścia miała już dwadzieścia pięć lat, nosiła okulary i wykazywała częstą niedyspozycję.

Choć żmudne wydawanie za mąż słabowitej córki trudno było porównywać z utrzymującym się, bolesnym lumbago pana Sternberga, doktor Meyerbeer polecił mu uzdrowisko „w pięknym Bad Ems, gdzie i nasz świętej pamięci cesarz Wilhelm I oraz jego zacna małżonka latami odbywali kurację”.

Johann Isidor poczuł nieprzyjemne ukłucie. Jak to zazwyczaj bywało, wiedział zdecydowanie więcej, niż zamierzał powiedzieć. Miał na przykład świadomość, że od wojny w tysiąc osiemset

siedemdziesiątym roku w Bad Ems rozprzestrzeniła się skrywana ksenofobia, mimo że miasto wciąż miało opinię światowego uzdrowiska. Uprzedzenia i nieprzychylnie traktowanie od długiego czasu dotyczyły nie tylko nielicznych francuskich kuracjuszy, którzy wciąż tam przyjeżdżali. Inni rekonwalescenci katoliccy i żydowscy też nie byli tam mile widziani. W jednym z sezonowych sprawozdań komisarz uzdrowiska poczynił spostrzeżenie, że w miejscach publicznych Żydzi mieli rzekomo „brukać przestrzeń publiczną”. „Nie pojedę do Bad Ems” – powiedział Johann Isidor w gabinecie doktora Meyerbeera.

– Niech pan się wybierze do Baden-Baden – zaproponował bankier Weidenfeld, gdy spotkał Sternberga w kawiarni Oblubieniec, a rozmowa mimochodem zeszła na zbliżający się wyjazd do uzdrowiska. – Tam przyjmą pana serdecznie, nawet jeśli nazywa się pan Levy czy Cohn. – Znany w całym Frankfurcie bankier nie tylko okazał się znawcą niemieckich uzdrowisk, ale też tym jednym tylko zdaniem potwierdził, że prawdziwa jest krążąca wciąż plotka o jego pochodzeniu. Tenże finansista, któremu wszyscy schlebiali, wywodził się z rodziny żydowskiej. Mimo przejścia na protestantyzm i regularnych datków na rzecz Kościoła nigdy, mimo nieustających starań, nie udało mu się zaprzeczyć temu, że od ślubu nosił nazwisko żony, a jego dziadek od strony matki nazywał się właśnie Nathan Levy i sprzedawał ludności wiejskiej wyroby pasmanteryjne.

Jeszcze po latach Johann Isidor wspominał tamtą rozmowę. Nie tylko z tego powodu, że Weidenfeld, uchodzący za nad wyraz powściągliwego, spontanicznie mu zaufał. Bankier dobitnie uzmysłowił mu, że również tym, którzy szukają nowej wspólnoty, nie udaje się uwolnić od swych korzeni.

– Baden-Baden jest otwarte na świat – powiedział Weidenfeld – a to ważne w leczeniu uzdrowiskowym.

Z tego samego powodu polecił hotel zdrojowy Pod Jeleniem.

– Gustowny, ale nie pretensjonalny. Pod Jeleniem to rzeczywiście miejsce z tradycjami. I mają tam dobrego kucharza.

Pani Betsy była zachwycona, gdy dowiedziała się, kto polecił im Baden-Baden. Zaczerwieniła się niczym podłotek. Przysłuchując się mężowi, zaczęła obmyślać, które elementy garderoby nadadzą się na pobyt w najbardziej eleganckim uzdrowisku w Niemczech. Chociaż prawdę mówiąc, była zdania, że królowie europejscy, arystokracja oraz rosyjscy wielmoże wciąż tłumnie ciągną do Baden-Baden, by spróbować szczęścia w kasynie i o brzasku, po przepuszczeniu majątku, zastrzelić się w parku zdrojowym.

– Albo podczas pełni księżyca – przytaknął Johann Isidor. – Niektórzy z tych pożałowania godnych ludzi – zaśmiał się – chodzą wręcz nago, bo przegrali swoją ostatnią koszulę. Ach, moja słodka Betsy, niech Bóg zachowa ci to twoje romantyczne usposobienie. W Baden-Baden nie ma już w ogóle salonów gier. W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim cesarz Wilhelm kazał wszystkie niemieckie kasyna zamknąć. Baden-Baden znów stało się miastem całkowicie obyczajnym. Powiedziano mi też, że znowu jest tam jak na prowincji. Na koncert zostaniesz wpuszczona nawet bez pelerynki z norek.

Pani Sternberg nie dawała jeszcze za wygraną. Zbyt dużą odczuwała potrzebę, by godnie zaprezentować się na wyjeździe i po powrocie opowiedzieć swym nieskromnym przyjaciółkom, jak wypadła. U nich też niezwłocznie zasięgnęła informacji i ku niezadowoleniu męża zaproponowała hotel Messmer. Jak się dowiedział, zwykł tam rezydować cesarz Wilhelm podczas swoich licznych pobytów

w uzdrowisku.

– Tylko że gdy on tam mieszkał – wyjaśniła Betsy – to miejsce nazywało się Maison Messmer. Cesarzowi nie wolno było przecież mieszkać w hotelu.

– Hotel Pod Jeleniem nie będzie musiał zmieniać nazwy dla żydowskiego kupca, syna handlarza bydłem z Schotten – odparł Johann Isidor. Nie spodobało mu się, że jego żona, powszechnie chwalona za skromność, jako czterdziestodwulatka, matka czwórki dzieci, wciąż niekiedy pragnęła rzeczy niemożliwych. – Bogatym nie może się nazwać ten, kto nie jest szczęśliwy – zacytował ze skarbnicy przysłów swojej matki.

On sam był z tej kwatery – ulokowanej w samym środku miasta, a przy tym z widokiem na wspaniały park – bardziej niż zadowolony. Również Otto, który koniecznie chciał zostać we Frankfurcie, nie miał podczas pierwszych dziesięciu dni pobytu w Baden-Baden żadnego powodu do narzekania i wszystko określał jako „cudowne” oraz „nadzwyczajne”, choć rodzice wciąż traktowali go tak samo jak jego najmłodszą siostrę. Osiemnastoletniemu gimnazjaliście, którego od otrzymania świadectwa dojrzałości nie dzielił nawet rok, obiecano nagrodę za dobre sprawowanie. Jeśli sprostałby pokładanym w nim oczekiwaniom, drugą część letnich wakacji miał spędzić u owdowiałego wuja swej matki. Mieszkał on w Paryżu, był ojcem czterech dorosłych synów i córki w wieku Ottona, pięknej jak z obrazka. Toni chłopak znał ze zdjęć, a wuja, z którym widywał się podczas jego wizyt we Frankfurcie, zapamiętał jako niespotykane szczodrego i w przyjemny sposób liberalnego. Co zaś najważniejsze, już dwa lata wcześniej zapowiedział on swemu siostrzeńcowi nadejście prawdziwego życia. Choć Sternbergowie nigdy tak do końca nie ufali rodzinie z Paryża, mieli nadzieję, że dzięki odwiedzinom u wuja ich najstarszy syn polepszy swoją kompromitująco słabą znajomość francuskiego. W końcu zagrożona była jego matura, a tym samym i reputacja całej rodziny.

Wbrew ich oczekiwaniom zdecydowanie bardziej niż Paryż interesowało Ottona Baden-Baden. Ponieważ portier darzył sympatią drobnych czarnowłosych młodzieńców, uczniowi ostatniej klasy gimnazjum przydzielono jeden z piękniejszych numerów jednoosobowych w całym hotelu. Numerem tym opiekowała się niezwykle urodziwa pokojówka, która bezbłędnie rozpoznawała gości jeszcze wolnych od schorzeń, z których miały leczyć badeńskie źródła. Szczególnie czynna okazywała się dla nieśmiałych młodych chłopców, którzy pod bielizną chowali portmonetkę i cenną szpilkę do krawata zakończoną perłą.

Johann Isidor był jedynym, który odbywał kurację zdrojową. Diagnoza doktora Meyerbeera została potwierdzona przez lekarza z Baden-Baden z tytułem profesorskim, monoklem, cygarem oraz zwyczajem rozliczania się po każdej konsultacji.

– Ostateczny efekt – zaznaczył jednak, żeby uniknąć wszelkich wątpliwości i pretensji pacjenta – zauważalny będzie jednakże dopiero, gdy wróci pan do domu.

– To dogodne – podsumował Johann Isidor. – W każdym razie dla lekarzy.

Kuracja, którą odbywał po części w kąpielowych kabinach hotelowych, a dwa razy w tygodniu w imponujących łaźniach Friedrichsbadu, wydawała mu się męcząca i odbierał ją jako bezczelność wobec ludzi, którzy nie tolerują traktowania ich jak krnąbrnych uczniów. W dni, gdy jego siły były szczególnie nadwyrężone, energiczny przedsiębiorca Sternberg, którego stanowczość i jasność umysłu właściwą ludziom solidnym mogliby w rodzinnych stronach poświadczyć zarówno jego przyjaciele, jak

z wrogowie, nie umiał określić, jak właściwie się czuje. Był wymagającym opieki niedołągą czy to panowie doktorzy mieli go za starca? Nazbyt często zauważał nowe objawy znużenia. A może to, że w dni, w które brał kąpiele już przed obiadem, z trudem powstrzymywał się od zaśnięcia, a zapadając w sen, myślał o osobach, które dawno już odeszły, wynikało stąd, że jego pięćdziesiąt cztery lata zaczynały mu się dawać we znaki?

Najbardziej niepokoiły go stany zawieszenia pomiędzy snem a jawą. Gdy kontury życia traciły ostrość i gdy powracał ze świata zasnutego mgłą, czuł się jak ci starsi panowie w kapeluszach panama, którzy z wyciągniętymi nogami i dogasającymi cygarami w ręku siedzieli wokół pawilonu muzycznego i wszyscy jak na rozkaz zasypiali, kiedy tylko uzdrowskowa orkiestra zaczynała grać. Johann Isidor był jednakże w dobrym nastroju, co zawdzięczał raczej badeńskim winom po zmroku niż leczniczym źródłom za dnia; życia dodała mu jurność, której się już nie spodziewał. Miniona noc doprawdy nie była zwyczajna. Zastanawiał się, czy to właśnie dlatego Betsy wyglądała inaczej niż zazwyczaj.

– Podoba mi się twoja nowa sukienka – powiedział.

– Tę sukienkę dwa lata temu uszyła mi Bachmaierowa na letnią zabawę w Ogrodzie Palmowym. Ale fryzurę mam nową. Od czwartku. Nic nie szkodzi. Nie musi być ci wstyd. Mamy przecież dopiero niedzielę.

Zakłopotany spojrział na kręcone włosy Betsy i cytrynowożółtą jedwabną kokardę z tyłu głowy, nawymyślał sobie od zramolałych durniów, lecz natychmiast przemógł swą słabość, nachylił się nad nią i z zamkniętymi oczami pocałował w dłoń.

– Nadlatuje orzeł – zanucił na melodię starej piosenki dla dzieci.

– Rany boskie, Johann, dobrze się czujesz? – zapytała Betsy. Zerwała się z miejsca i dotknęła jego czoła.

Był niemalże pewien, że białe buty do kostek z tym całym mnóstwem guzików również były nowe, nie chciał się jednak ponownie skompromitować i tylko się uśmiechnął.

– Spokojnie. Najpewniej dostałem udaru słonecznego – odparł. – Na szczęście to się już więcej nie zdarzy. Adler^[6] ma przecież dach.

– Sam widzisz. Wciąż powtarzam, że długie przebywanie na słońcu ci nie służy.

– Ach, Betsy. Kocham cię. Nawet jeśli za moimi plecami obcinasz włosy i stałaś się tak niedomyślna, że woła to o pomstę do nieba. Erwin już dawno by zrozumiał. Że nie wspomnę o Ottonie. Od dziesięciu minut próbuję ci dać do zrozumienia, że kupiłem auto. Adlery.

– Jeszcze o takim nie słyszałam. Było bardzo drogie?

– Bardzo dobre. I solidne. Nikt nie będzie wytykać nas palcami ani wymyślać nam od bufonów. A do tego nie zbankrutuję. Możesz kupić sobie tyle butów, ile chcesz.

– A więc jednak je zauważyłeś. Mają tu bardzo eleganckie sklepy z obuwem. Frankfurt mógłby z nich brać przykład. Clarze też potrzebne są nowe buty. Zakochała się w takich, które nazywają się Mary Jane, zupełnie jak dziewczynka z jej podręcznika do angielskiego. Młode dziewczęta bardzo wcześnie zaczynają się teraz interesować modą.

– Ale nie moja córka. Clara jest przecież jeszcze dzieckiem. I do czego dziecku potrzebne są modne buty? Może przecież donosić po tobie jakieś stare. To znaczy kiedyś, gdy do nich dorośnie. Zresztą i tak

nikt nie zobaczy jej stóp, gdy będzie z nami siedzieć w aucie. Poza tym tylko jeden odważy się zerkać na nogi mojej córki.

Pachniało cynamonem i wanilią, potem wiatr przywiał również zapach świeżo skoszonej trawy. Właśnie to czyniło Baden-Baden przyjemnym. Po latach pełnych przepychu oraz kłębiących się iluzji bogactwa i towarzyskich zaszczytów miasto powróciło do swych spokojnych początków. To przyjazne miejsce nie było wiejską osadą, a mimo to panowały tu sielski nastrój, niewymuszona elegancja i bezpretensjonalność. Ktoś taki jak Johann Isidor Sternberg, który nie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą i który zaszedł wysoko dzięki własnemu wysiłkowi, czuł się w Baden-Baden dobrze. Gdy siedział na jednej z ławek w parku zdrojowym i delektował się owocami swej pracy, nikt nie pytał go o pozycję społeczną ani wyznanie. Mógł marzyć niczym młokos i jak starzec spoglądać wstecz. Wybiegał myślami w przyszłość. W rodzinnym mieście sąsiedzi będą uchylać przed nim kapelusza, gdy w niedzielę będzie wsiadał do swego zielonego adlera, by żonę i udane dzieci zawieźć w góry Taunus czy nad Ren.

– Dokąd chciałabyś pojechać bardziej, droga Betsy – zapytał – do kawiarni Blum w Wiesbaden czy do Kreinera do Königstein?

– Wiesbaden jest bardziej eleganckie – odparła Betsy – ale lepsze ciasto podają u Kreinera.

– Masz, babo, placek. Od teraz już zawsze będziemy między młotem a kowadłem. Mój ojciec miał rację. Wciąż powtarzał, że dostatek niesie ze sobą zmartwienia.

– Chciałabym mieć te twoje zmartwienia. I pieniądze Rothschilda.

– Moje zmartwienia są również twoimi. Dobry Bóg tak to już urządził. A pieniędzy Rothschilda wcale nie chciałbym mieć. Zupełnie by mi się w głowie pomieszało. A poza tym nie mam aż tylu synów, których mógłbym posłać w świat.

Johann Isidor nie przywykł do tego, by śmiać się publicznie. Czuł się tak, jakby rozdzierał ciszę i przeszkadzał ludziom, którzy chcieli cieszyć się spokojem. Zakłopotany rozejrzał się dookoła i wziął głęboki wdech. Powietrze było ciężkie i parne, on jednak głowę miał lekką, a serce wciąż radosne. Może to wcale nie urojenie nocy i rzeczywiście odmłodził w ciągu ostatnich dni. Dobrze było tak pod pogodnym niebem wyliczać błogosławieństwa, którymi obdarował go Pan. Mężczyzna musi dziękować Bogu za jego dobrodziejstwa tak długo, jak długo jest w pełni sił witalnych.

– Nasze dzieci – słyszał własny głos – najpewniej nie będą już wiedziały, jak to jest dążyć do jakiegoś celu i cieszyć się, gdy zostanie on osiągnięty. Ich ojciec jednak wciąż jest na tym etapie. Czasami myślę sobie, że powinienem zawczasu wpoić im pokorę, ale nie wiem jak.

– A mnie głowa aż puchnie. Mówisz rzeczy, których nie rozumiem.

– Istota małżeństwa polega na tym, że mężczyzna mówi rzeczy, których żona nie rozumie.

– O! Tego też nie zrozumiałam.

– Nie zamartwiaj się bez potrzeby, Betsy. Nie wszyscy musimy być przecież mądrzy. A co też się dziś stało z naszą uzdrowiskową orkiestrą? Naprawdę zapomnieli zagrać *Niedokończoną* Schuberta.

– Nie zapomnieli. Nigdy by nie zrobili czegoś podobnego. Przespałeś to. *Pięknej młynarki* najpewniej też nie słyszałeś.

– Dziś po południu będę bardziej uważał. Obiecuję. Święte słowo honoru, jak powiedziałaś Erwin. Choć on nie ma jeszcze honoru. Jeśli on i Clara znów za późno zjawią się przy stole, to mnie

popamiętają.

– O, już są. Stoją tam bardzo grzecznie i czekają. Erwin nawet się uczesał.

– Nie wspominaj o aucie. To ma być niespodzianka, kiedy wrócimy do domu.

Ze względu na piękną pogodę niedzielny posiłek zjedli wyjątkowo na tarasie. Scenę tę – pełną światła i słońca, pulsującą życiem, które upaja – mogliby namalować francuscy impresjoniści, którzy zrobili przecież furorę także w Niemczech. Młode jeszcze liście winorośli pięły się po ochrowożółtych murach domu. Do jesieni wciąż było daleko, od zimy dzieliła to miejsce wieczność. Gdy woda z małej fontanny, w której brały kąpiel dwa wróble, zraszała pelargonie wiszące na balustradach i stojące w półcieniu fuksje, te zaczynały się mienić w słońcu, zapowiadając lato. Kot na niskim murku zachowywał się, jakby nigdy nie doświadczył uroków polowania, i ogryzał sobie łapki. Na wewnętrznym dziedzińcu panował przyjemny chłód. Erwin, który jeszcze nie przeczuwał, że język barw pewnego dnia stanie się jego własnym, w tym krótkim momencie szczęścia uświadomił sobie, że piękno olśniewa. Westchnął cicho.

Na środku biało nakrytego stołu stały kieliszki z szampanem i ciężkie szklanki z karminowym sokiem malinowym dla dzieci, obok – kryształowa żółtozielona waza w białe całujące się gołąbki wypełniona rozkwitłymi herbacianymi różami. Każdy z gości, nawet dzieci, witany był osobiście przez właściciela hotelu, a do stołu odprowadzany przez młode kelnerki.

– Smacznego – powiedział gospodarz.

– Niebiosa wreszcie wysłuchały moich modłów – wyszeptała Betsy mężowi do ucha.

Siedzenie z Victorią przy wielkim stole sprawiało, że każdy posiłek przyspieszał matce puls i pozbawiał ją apetytu. Maniery, które dziewczynka wówczas prezentowała, były niewspółmierne do ogromnej potrzeby wygadania się. Wykwintna badeńska kuchnia z wyrafinowaną francuską domieszką w najlepszym razie, gdy przystawki były ozdobione świeżymi czereśniami czy misternie wydrążonymi rzodkiewkami, sprawiała, że dziewczynka na chwilę się uspokajała. Pomimo rozczulających starań ciotki Jettchen, by w krytycznych momentach ratować sytuację, a w razie zbliżającej się nudy zabawiać ubóstwianą pupilkę, sześciolatce z trudem udawało się grzecznie wysiedzieć przy stole dwie godziny. Albo lepila z kromek chleba stwory, które wyglądały jak brzuchate trolle, a którym kolor nadawała za pomocą sosu bądź czerwonego wina, albo wokół swojego nakrycia układała wianuszek z barwinków i fiołków, które wyciągała z drogocennej wazy stojącej w witrynie. Często dbała też o oprawę muzyczną posiłku – śpiewała wszystkie francuskie piosenki dla dzieci, których w domu nauczyła się od mademoiselle Lucile. Większość gości miała już dorosłe wnuki, a w ich pamięci nie pozostał choćby cień wspomnienia, dlaczego dzieci zachowują się tak, a nie inaczej. Prawie każdy zaś z tego grona był jeszcze na tyle sprawny, by z oburzeniem pokręcić głową, patrząc na Victorię.

– Wszyscy tu – zawyrokowała żywiłowa psotnica już trzeciego dnia pobytu w Baden-Baden – to wilki w kobiecych skórkach, które chcą pożreć biednego Czerwonego Kapturka.

– Oto lekkostrawny letni posiłek – zaanonsował właściciel hotelu – którego przygotowanie sprawiło szefowi naszej kuchni szczególną radość. – Zamachał kartą z daniami dnia i energicznie, obróciwszy się wokół własnej osi, pocałował w rękę pewną zaskakująco młodą kobietę, która przybyła spóźniona. Przypominała Carmen. Na lekko odsłoniętych, mlecznobiałych ramionach miała udrapowaną czarną koronkową chustę. W jej kruczonych włosach błyszczał czerwony goździk. Hotelarz nazwał ją hrabianką.

– Nie chcemy przecież – ciągnął – zepsuć sobie apetytu przed dzisiejszą kolacją.

Panie przytaknęły, ich srebrne loki falowały. Panowie o poczerwieniałych twarzach cicho postękiwali. Młoda Francuzka podniosła kieliszek. Uśmiechnęła się do piramidki małych bułeczek, gdy kelner nalewał jej różowego szampana.

Ptak świergotał na buku rosnącym na dziedzińcu.

– Kos w swym czarnym płaszczu znów śpiewa o wczesnym cierpieniu wdów – wyrecytowała Victoria.

– *Charmante!* – wykrzyknęła francuska piękność. Zatarła drobne dłonie.

– Nauczyłam się tego od Josephy – powiedziała Victoria. Nie była przyzwyczajona do komplementów od obcych ludzi. Pomimo to wstała i dygnęła.

– *Charmante, charmante* – zachwycała się młoda hrabianka. – Niczym mała księżniczka.

To był jeden z najszcześniejszych dni w życiu Victorii. Nigdy go nie zapomniała. W ciągu dwóch godzin spędzonych tego ranka wyłącznie z Serdeńkiem ciotka Jettchen postanowiła przywołać własne dzieciństwo. W kasztanowych włosach Victoria miała wielką kokardę z błękitnej satyny. Ta sama kokarda z wetkniętą w środek złotą pszczołką o skrzydełkach wysadzanych kryształkami strasu dzień wcześniej ozdobiła falującą pierś ciotki. Owa ekstrawagancka kompozycja wyglądała na niedużej dziecięcej głowie jak śmigło i wydawało się, że Victoria lada moment odleci. Nie dość na tym. Na chudej szyi dziewczynki dyndała okazała kolia z uderzająco dużych koralii, pomiędzy którymi połyskiwały diamenty i złote perły. Diamentami była wysadzana również drogocenna klamra z początku dziewiętnastego wieku. Ciotka, która otrzymała tę ozdobę w spadku po siostrze, nosiła ją zawsze z przodu.

– Nasza siostrzyczka wygląda niczym wół zielonoświątkowy^[7] – powiedziała Clara szeptem do brata.

– Nie, jak nadburmistrz z krainy Liliputów – odszepnął Erwin. – Wkrótce Serdeńko zaatakuje nas swoim nożykiem.

– *Taisez-vous*^[8] – rozkazała Betsy. Szturchnęła Erwina pod stołem, a Clarze posłała ostre spojrzenie. Zwyczaj mówienia przy dzieciach po francusku, jeśli chciało się coś przed nimi ukryć, wyniosła z domu rodzinnego. Uśmiechnęła się, gdyż wspomnieniami sięgnęła właśnie do jabłoni w Pforzheim i rozpostartych ramion ojca. Dostrzegł to jej mąż i mrugnął do niej. Chciał zasygnalizować żonie, że i on właśnie pomyślał o minionej nocy.

Victoria zanurzyła język głęboko w szklance. Na obrusie z białego adamaszku powstała mała kałuża soku malinowego, która szybko zamieniła się w dużą plamę.

– *Mademoiselle Cochon*^[9]. – Erwin popisał się znajomością francuszczyzny.

– Co to znaczy? – chciała wiedzieć Victoria.

Ubrana w falbaniastą sukienkę z cytrynowożółtego muślinu, z ozdobami we włosach i w kolii przypominała jedną z tych francuskich lalek, które nie miały prawa trafić do dziecięcych rąk. Panie otrzymywały je od swych krawców wprost do domu, by mogły sobie wyobrazić zamówione kreacje.

– Ciocia Jettchen powiedziała, że wolno jej było nosić ten naszyjnik również do szkoły. – Victoria uprzedziła dalsze dyskusje. – Codziennie było jej wolno. Jej mama była aniołem.

– I w wakacje też było jej wolno – naśmiewał się Erwin. – I gdy za karę szła do składziku na węgiel w piwnicy, też było jej wolno. Codziennie. Ale twoja mama nie jest aniołem.

– Oj, przestań – powiedziała Victoria życzliwie – chcesz mnie tylko zdenerwować. Nie ma czegoś takiego jak składzik na węgiel. Tak powiedziała ciocia Jettchen. W każdym razie nie ma takiego – dodała

zachowawczo, gdy przypomniała sobie o piecach kaflowych przy alei Rothschildów, o pogrzebaczu i o składowanych zimą w domu wiadrach z brykietem – w którym zamyka się nieposłuszne dzieci.

Gdy podawano przystawkę, dziewczynka klaskała w dłonie jak jej francuska wielbicielka. Zamiast jednej z tych powszednich zup z naleśnikiem pociętym w paski czy pierożkami, które sprawiały, że Serdeńko z Frankfurtu w błyskawicznym tempie stawało się parszającym szaleńcem, dla uczczenia niedzieli podano szwabską sałatkę jajeczną. Zaserwowano ją na placuszkach serowo-ziemniaczanych. Gdy Otto donośnym głosem czytał kartę dań, jego rodzeństwo chórem chichotało. Wszyscy równocześnie pocierali sobie uszy i kwicząc ze śmiechu, zaczęli zdrabniać każde wypowiedziane przez siebie słowo na szwabską modłę. Włączył się nawet Otto, który z dziecięcych żartów robił sobie tyle samo, ile z wełnianej bielizny zimą.

– Koszuliczka wysuwa się ze spodniczek i nie mieści mi się to w głowiczce – zameldował.

Pokojówka miała wolne przedpołudnie, więc chłopak spędził je wspólnie z nią w ogrodzie, w pawilonie znanym jedynie miejscowym smakoszom życia. Ten sukces sprawił, że absztyfikant dziewczyny gotów był wyściskać także resztę świata. Podał matce solniczkę, zanim jeszcze zdążyła go o to poprosić. Najważniej, jak tylko mógł, przysłuchiwał się ojcu szczegółowo wyjaśniającemu, jakie nadzieje wiąże z zakończoną dziesięć dni wcześniej wizytą cesarza Wilhelma II oraz grossadmirala Tirpitz u austriackiego następcy tronu Franciszka Ferdynanda. Miłościwie pokroił młodszej siostrze placuszki na małe kawałki i zręcznym chwytem uratował jej lalkę, chłopca w marynarskim mundurku, przed wpadnięciem do misy z sałatką. Ponieważ jego ojciec zasapał się i po drobiazgowym omówieniu najważniejszych bieżących wydarzeń politycznych musiał sobie zrobić przerwę, pierworodny syn spontanicznie przejął prowadzenie dyskusji przy stole. Ubawił przy tym zwłaszcza własne rodzeństwo, opowiadał żarty dla dzieci, które sam uważał za nużące, przypomniał sobie zagadki, które w czwartej klasie wywoływały nieustającą wesołość, i poruszając uszami, próbował ocalić życie pszczoły, której groziło utonięcie w soku malinowym.

– *Charmant* – powiedziała po raz kolejny hrabianka ze stolika obok.

Zarówno sama forma gramatyczna tego słowa, jak i okoliczności natychmiast pozwoliły się Victorii zorientować, że pochwała nie była skierowana do niej. Dziewczynka zrobiła nadąsaną minę i tak gwałtownie spuściła głowę, że zachwiało się śmigło kokardy, a korale zastukotały o brzeg talerza. By uwaga piękności z sąsiedniego stolika znów skupiła się tylko na niej, pomysłowe dziecko zaczęło na zmianę i coraz to głośniej recytować: „ma mama mamałyge” oraz „nagła mgła opadła”.

– Czy ja sobie na to zasłużyłem? – jęknął Johann Isidor. Nie przypominał już mężczyzny wierzącego w działanie fontanny młodości.

– Uważam to za godne podziwu, że taka mała dziewczynka w ogóle potrafi wymówić takiego łamańca – łagodziła ciotka Jettchen.

– Potrafię też pisać – pochwaliła się Victoria.

– Kark skrócić się winno piejącym dziewczętom^[10] – zacytował Erwin.

Jako przekąskę pomiędzy daniami podano sałatę ze szparagami ze Schwetzingen z sosem vinaigrette doprawionym letnimi ziołami oraz winem z regionu gór Kaiserstuhl. Victoria nie była jeszcze w wieku, w którym szparagi traktuje się jako przysmak, Erwin nie mógł przekonać się do wina i trybulki, a Clara, symulując mdłości, odsunęła talerz na bok, szlachetny Otto zjadł więc łącznie cztery porcje.

– Dobry z ciebie chłopak – pochwaliła go ciotka – prawdziwy dżentelmen. Mój Boże, jak szybko z dzieci wyrastają ludzie. – Pomyślała o swoich córkach, które były już po pięćdziesiątce; swoim katolickim mężom z pewnością nie wydawały się już warte grzechu i ani w święta chrześcijańskie, ani w żydowskie nie czuły potrzeby, aby pomyśleć o swej leciwej matce. Ciotka chciała niepostrzeżenie otrzeć oczy, ale musiała przytrzymać się stołu, bo zakręciło jej się w głowie i przez chwilę nie mogła nic przełknąć. Do równowagi duchowej wróciła dopiero wtedy, gdy podano danie główne: faszerowaną pieczeń cielęcą z sosem na bazie rieslinga, purée z żółtej marchwi oraz kopytkami.

– Nasza kucharka musiała przygotowywać purée z żółtej marchwi w każdy dzień świąteczny – opowiadała. – Mój błogosławionej pamięci Albert pochodził przecież z tych okolic. Jego żołądek nigdy tak naprawdę nie czuł się dobrze w Darmstademie. Mimo że mieliśmy wspaniałą kucharkę. Wcześniej pracowała u wielkiego księcia Ernesta Ludwika.

– Wielkie nieba, tak cioci współczuję – ubolewała Betsy. – Akurat w tak piękny dzień zadręcza się ciocia wspomnieniami o swym droгим mężu. Że też smutne wspomnienia zawsze muszą nieproszone przysiądać się do stołu. Dręczyło mnie to od dzieciństwa.

– Mylisz się – zaoponowała ciotka. Znów była tą samą dziarską, niepokonaną kobietą co zwykle. Tak jak Victoria zrobiła widelcem niewielkie wgłębienie w purée z marchwi i wypełniła je sosem. – Mam naprawdę cudowne wspomnienia – zaczęła. Pod warunkiem że nie myślę o tym, że z moich czarujących, czułych, małych dziewczyneczek wyrosły egoistyczne babska o kamiennych sercach. – Z charakterystycznym dla swego pokolenia zdecydowaniem podniosła kieliszek. – A to, że dane mi jest pielęgnować wyłącznie te dobre wspomnienia i nie pozwolić smutkom wpędzić się przedwcześnie do grobu, zawdzięczam tobie, drogi Johannie Isidorze. Tobie i twej wspaniałej Betsy oraz waszym dzieciom. Ludzie, którzy w ogóle dożywają mojego wieku, nie miewają już prawie pomyślnych dni. Już dawno chciałam wam to powiedzieć, ale nie wiedziałam jak. Nigdy nie byłam uzdolnioną mówczynią.

– Kto ci tak naopowiadał? – zapytał z uśmiechem Johann Isidor.

– Kiedy w końcu będzie budyń? – marudziła Victoria. – Bardzo boli mnie tyłek.

– Pst – syknęła Betsy. – Nie mówi się tak. A już zwłaszcza przy stole. Poza tym nie będzie budyniu, tylko wyśmienity torcik charlotte russe. A jeśli dziś jeszcze choć raz powiesz „fuj”, zostaniesz w swoim pokoju przez resztę niedzieli, moja panno. Ojej, a co tam się stało? Dlaczego nasz gospodarz jest taki roztrzęsiony? Zbladł raptem jak chusta.

Pani Betsy mówiła o wspaniałym właścicielu hotelu zdrojowego Pod Jeleniem, wychwalanego przez wszystkich i o każdej porze roku świetnie prosperującego. Chwilę wcześniej polecał on jeszcze pięknej francuskiej hrabiance wino z Neuweier, a przy wielkim okrągłym stole zachwalał łaźnie Friedrichsbadu, nazywając je mekką tych wszystkich, którzy szukają uzdrowienia. Teraz jednak stał przy wysokim kwietniku poblady i drżący. Na jego czole lśniły krople potu. Zdenerwowany hotelarz zmiął odczytaną z taką werwą na początku posiłku kartę dań ze złotą obwódką, jakby była świstkiem zmurszałego papieru, zdawało się jednak, że nawet tego nie zauważył. Obok niego, równie blady, stał młody wychudły mężczyzna o ciężkim jak u starca oddechu. Miał na sobie ciemną, krzywo zapiętą marynarkę i na dodatek zapomniał zdjąć zarękawki przed wyjściem z pracy. Kołnierzyk jego białej koszuli był mokry i ciemny. Nikt nie wątpił, że mężczyzna pędził do hotelu Pod Jeleniem jak do pożaru.

– Panie i panowie – zaczął właściciel hotelu. Głos miał zachrypnięty, zmięta karta dań upadła na

podłogę. – Muszę prosić państwa o całkowitą uwagę. Pan, który tu stoi, pracuje w Baden-Baden dla „Kuriera Mannheimskiego”. Powiadomił mnie właśnie o depeszy, którą przed dwunastoma minutami przesłano do jego biura. Austriacki następca tronu Franciszek Ferdynand oraz jego żona Zofia Maria padli dziś ofiarą zamachu w bośniackim mieście Sarajewo.

Zapadła absolutna cisza, złowroga niczym huk armaty. Jakiś starszy mężczyzna przytknął dłoń do ucha i zawołał głosem równie mocnym jak za młodu:

– Proszę natychmiast powtórzyć. Tym razem powoli i wyraźnie.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – rzucił, kaszląc, radca sądowy, który każdego lata przyjeżdżał z małżonką do Baden-Baden.

– *Mon dieu!* – lamentowała hrabianka. Na chwilę skryła głowę w dłoniach. Potem wstała. Uniosła spódnicę nieco za wysoko i fałdą tiulu strąciła kieliszek. Upadł na kamienną podłogę z przeraźliwym brzękiem, dziewczyna nie odwróciła się jednak i pobiegła do swojego pokoju tak szybko, jakby obawiała się o swoje życie.

– Dlaczego to wszystko jest takie istotne? – zdziwiła się Betsy. – Nigdy nie słyszałam o tym Franciszku Ferdynandzie.

– Owszem – zaproponowała ciotka Jettchen – z pewnością słyszałaś. Popełnił megalomanię z jakąś wywołką. Zupełnie jak syn cesarza Franciszka Józefa, który później odebrał sobie życie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ci Austriacy nie mają za grosz gustu.

– Ale nie rozumiem tego całego poruszenia. Co nas to wszystko obchodzi?

Johann Isidor, przekonany, że strach odmalował się i na jego twarzy, nie spojrział ani na żonę, ani na dzieci, ani na ciotkę.

– Musimy spróbować – powiedział, podnosząc się z miejsca – wyjechać stąd najpóźniej jutro. Może – chociaż nie musi – wybuchnąć wojna, a w takim razie mężczyzna zatroskany o losy ojczyzny nie powinien się teraz wylegiwać w jakiejś wannie w Baden-Baden.

Otto wetknął widelczyk w krem czekoladowy, którym był przełożony torcik. Wsunął do ust ogromną porcję. Ponieważ wstawał w pośpiechu, uderzył krzesłem młodego kelnera, który przebiegał obok niego. Wystarczyły trzy kroki, by Otto dogonił ojca.

– Wojna – powiedział, zlizując z ust resztki czekolady. – Ależ ja mam ogromne szczęście, że jestem dokładnie we właściwym wieku. To musi być potworne, gdy wybucha wojna i jest się za starym albo za młodym, by wziąć w niej udział.

– To jest potworne – potwierdził Johann Isidor.

NIEMIECKIE BALKONY

Frankfurt, lato 1914

Josepha stała na balkonie. Jej wykrochmalony ciemnoniebieski fartuch z białym ozdobnym obrębieniem, który przeważnie nakładała jedynie w niedzielę, wskazywał na to, że nie pełniła służby, ale mimo to była gotowa, by sumiennie wykonywać swoje obowiązki. Choć około południa balkon pogrążał się w cieniu, powietrze pozostawało przyjemnie ciepłe. Josepha wzięła głęboki wdech, jak nauczył ją puzonista Waldemar Mitalsky z orkiestry zdrojowej z Bad Nauheimu. W maju, gdy drzewa wiśni i krzewy bzu zakwitwały także dla niej, w każdy sobotni wieczór Mitalsky zabierał ją na tańce, ale ostatecznie poślubił Trudchen, dziewczynę o koślawych stopach, przez wzgląd na jej posag oraz na to, że była ona jedyną córką rolnika Breidfussa, a zatem spadkobierczynią dworu.

– Niemal na wyciągnięcie ręki – wymamrotała Josepha. Nie miała na myśli swoich wspomnień, lecz letnią pogodę oraz biedronkę na liściu nasturcji, która wróżyła szczęście.

W tamten piękny, wolny od obowiązków poniedziałek jej ulubione powiedzenie „pilność wyplenienia leniwość z lenia” było tylko frazesem. Josephę, która pozwalała sobie na odpoczynek zazwyczaj tylko wtedy, gdy niemalże pękał jej krzyż, przepełniała radość, że słyszy, jak wiszący w salonie zegar z wahadłem wybija pierwszą, a ona może zachowywać się niczym wytworne damy, o których dobre samopoczucie dbają wyłącznie ręce innych. Dokładnie od jedenastu dni ta ceniona przez wszystkich kucharka Sternbergów nie musiała zaprzętać sobie głowy tym, co ma się dusić w garnkach, a co smażyć na patelniach, czy kalarepę podać z zieleciną czy bez oraz czy do połędwicy wołowej na niedzielę, którą kupiono od najdroższego rzeźnika przy Bergerstrasse, lepiej będzie pasować sos koperkowy czy chrzanowy, za którym tak przepadali Erwin i Clara. Nie trzeba było przygotowywać ziemniaków gratin ani wstawiać do pieca zapiekane warzywne czy ragoût. Zaradna strażniczka kuchni i spiżarni miała jeszcze przeszło trzy tygodnie, by zawekować pierwsze wiśnie oraz przygotować marmoladę truskawkową, tyle samo czasu pozostało jej, by zgodnie z obietnicą przebrać garnki i kopyście, które przestały się podobać pani domu.

Josepha delectowała się wytchnieniem od codziennych obowiązków. Przez pół godziny moczyła ręce w kąpieli mydlanej, obcięła paznokcie u stóp, łokcie wygładziła tarką, włosy umyła, wypłukała je piwem i zaplotła w gruby warkocz. Zamotany wokół głowy przypominał koronę z jasnobrązowego aksamitu. Znowu przypomniła jej się Trudchen z koślawymi stopami, co uznała za osobliwe, bo dawno o niej nie myślała. Trudchen miała już sześcioro dzieci, a na jej widok można było pomyśleć, że jest w ciąży z siódmym. W ich mieście mówiło się, że jej mąż sprzedał puzon i zmajstrował dziecko służącej sąsiada. Do tego nigdy nie mógł się ponoć wygrzebać z piernatów, gdy trzeba było dojrzeć zwierząt albo gdy

któreś z dzieci chorowało. Josepha, porzucona dla dziesięciu świń i dwóch krów, wzięła się pod boki. Jej skóra przyjemnie pachniała dobrym szarym mydłem, które gospodarze zwykli kupować specjalnie dla swej służby. Była w dobrym nastroju i skinęła na kanarka. By sprawić radość ulubieńcowi Victorii, przy dobrej pogodzie wystawiała jego klatkę na balkon i częstowała go kawałkami jabłka.

– Ale nie próżnuję – wyjaśniła jednemu domownikowi, który jej pozostał. – To dla mnie bez różnicy, czy gospodarze są w domu, czy za granicą jedzą szpecle albo jakieś inne nedorzeczne potrawy, których u mnie by nie tknęli.

Pogaduszki z ptakami nie leżały w naturze Josephy Krause. Jednakże ktoś, kto mieszkał w domu z czwórką dzieci grających na pianinie oraz przełożoną, która lubowała się w śpiewie, nie był do ciszy przyzwyczajony i regularnie odczuwał potrzebę usłyszenia przynajmniej własnego głosu. Josepha w jednej ręce trzymała kromkę chleba grubo posmarowaną masłem i wyśmienitą cielecą wątrobianką, w drugiej kawałek jabłka dla kanarka. W podziękę za okazaną mu uwagę zaświergotał melodię *Nadlatuje ptak*, której według tego, co wszystkim mówiła Victoria, sama nauczyła swego przyjaciela od serca. – Takie rzeczy – powiedziała Josepha – możesz opowiadać swojej cioci. – Zastanawiała się, nieco przerażona, w jakim wieku kobiety, które nie mają już nikogo, z kim mogłyby dzielić radości i troski, zaczynają rozmawiać z ptakami i bezdomnymi kotami. – Nie – rzuciła energicznie. Była pewna, że niezadługo na ulicy pojawi się jakaś sąsiadka lub ktoś inny, kogo będzie знаła. Właśnie podczas wakacji, gdy w zasadzie nie było co robić ani o czym myśleć, Josepha chętnie rozmawiała z mieszkającymi w domu kobietami. Przyjemna pogawędka, wymiana nowinek i doświadczeń oraz porównywanie własnej fizycznej niemocy z cudzą należały do tych drobnych, niewinnych uciech ludzi, którzy „nie chcą swymi ciężko zarobionymi pieniędzmi napychać kieszeni pracownikom kolei”, jak mawiała Josepha.

Każdą z propozycji pani Betsy, by na czas badeńskiej kuracji pana domu Josepha choć przez kilka dni wypoczęła u swej rodziny w Bad Nauheimie, ta odrzucała z wyrazem twarzy, który w sprawach mniej ważkich wskazywał na to, że wymaga się od niej prawie niemożliwego. Nawet zwrócenie przez panią domu uwagi na wiek kucharki, która była przecież dwa lata starsza od niej samej, oraz życzliwe wspomnienie o tym, że jej matka na jesieni będzie obchodzić osiemdziesiąte urodziny, nie skłoniły Josephy do zmiany decyzji.

– Co tam po mnie w tych ciasnych izbach moich krewnych? – zapytała. – I mięso jedzą tylko w niedzielę. I nie jest to cielecina. A chleba też nigdy nie ma świeżego, żeby się za szybko nie skończył. Toż to nic dla takiej, co całe życie pieniądze zarabia dzięki wrażliwemu podniebieniu.

Pytając retorycznie, kto by skorzystał na tym, że spakowałyby walizki, Josepha od lat odmawiała wyjazdu z dobrze sobie znanej okolicy na dłużej niż jedno popołudnie.

– Ja nie z tych, co to się lubią włóczyć – zwykła mówić. Z jej perspektywy przedstawiało się to logicznie. Josepha naprawdę nie była zwykłą kucharką z ustalonym czasem pracy i ściśle określonym zakresem obowiązków. Nie była osobą, którą na Boże Narodzenie obdarowuje się wełnianą bielizną ani która przy najdrobniejszym sporze grozi odejściem, na co gospodarze tylko drwiąco się uśmiechają, bo wiedzą, że mimo wszystko zostanie.

Josepha nie złożyłaby wypowiedzenia. Mieszkała w domu Sternbergów od czternastu lat i trzech miesięcy, należała do rodziny, nie sporządzała bilansów wykonanej pracy ani nie przeliczała dwukrotnie,

czy wychodzi na swoje. Pan domu traktował ją jak damę, która sama mogłaby sobie pozwolić na kucharkę. Dla pani domu była prawą ręką i niemalże przyjaciółką. Wiedziała wiele, a jednak potrafiła zachować milczenie. Dzieci znajdowały w Josephie dyskretną konspiratorkę, wybawczynię z każdej opresji oraz spowiedniczkę.

Przywykła do życia w przestronnych pokojach, na wysokim poziomie. Nie miała poszanowania dla domów, w których przez skąpstwo nie ma co do garnka włożyć, jada się z obłuczonych talerzy i popija z kieliszków bez wzniesienia toastu. Gdy w niedzielę szła do kościoła, nakładała rękawiczki oraz kapelusz. Jej buty czyściła inna służąca, swoje bluzki i spódnice prasowała sama. Nie zarządziła, że Josepha miała się uważać za lepszą od tych, którym była równa, z roku na rok coraz bardziej oddalała się jednak od rodzinnego gniazda, z którego swego czasu wyruszyła w drogę do tego wytwornego świata. Panna Krause, która pozostała niezamężna, gdyż po rozczarowaniu z wiarołomnym puzonistą nie miała już potrzeby, aby ułożyć sobie życie osobiste, jak u siebie czuła się wyłącznie na granicy frankfurckich dzielnic Nordend oraz Bornheim, na pierwszym piętrze domu przy alei Rothschildów 9. Gdy rano wyglądała przez okno swej mansardy i widziała drzewa i połyskujący zielenią pas trawy pośrodku szerokiej alei, czuła nosem, że tu jest jej miejsce. To samo czuła jej dusza.

Pomijając Ottona, który Josephie wydawał się wciąż równie zagadkowy i obcy jak pierwszego dnia jej pracy u Sternbergów – chociaż to przyznałaby chyba tylko na mękach – wszystkimi dziećmi opiekowała się od ich narodzin. Pocieszała je miłością i łakociami, a w sytuacjach krytycznych osłaniała przed karcącą rodzicielską ręką. Bliźniętom oraz Victorii dogadzała tak, jak gdyby były królewskimi dziećmi, a ona oddaną im damą do towarzystwa.

Gdy w końcu raz zdarzyło się, że ta złota kobieta pojechała w odwiedziny do Bad Nauheimu, czuła się jak podróżniczka w obcej krainie. Josepha potrafiła rozmawiać ze swoimi krewnymi, ale nie rozumiała, o czym mówią. Męczyło ją przede wszystkim udawanie, że nie wie, iż jej siostry, bracia oraz kuzynki, matka, a także wszystkie znajome matki już od lat szeptały: „Josepha pracuje u Żyda, choć sama nie jest do końca koszerna”.

Lato wzmagało niechęć Josephy do podróży. Gdy państwo wyruszali do uzdrowisk i kurortów nadmorskich, na wieś i w góry na letni wypoczynek, miasto się zmieniało. Stawało się spokojne, kolory subtelniały, noce łagodniały. Otulony latem Frankfurt przynosił dobre sny. Josepha Krause, kucharka o dobrych referencjach i dobrych zwyczajach, rozkładała wówczas życie niczym bożonarodzeniową gęś i odkładała dla siebie najlepsze kęski. Przebywanie w pojedynkę uważała za jedyną w swoim rodzaju przyjemność. Uczucie, że niepodzielnie panuje w mieszkaniu, dodawało jej siły. Każdy jego element należał do niej: uszate fotele w kolorze mokki z oddzielnymi puchowymi siedziskami, elegancki bufet z jadalni ze złotym zegarem stołowym, toaletka pani Betsy z lustrem weneckim, stolik na lwich łapach. Każda z tych rzeczy wykonywała jej polecenia i tańczyła tak, jak ona zagrała.

Podczas wakacji Josepha powierzała pracze zadania, na które zazwyczaj nie starczało czasu. Wzywano dostawcę węgla, ogrodnikowi polecano przycięcie żywopłotu w ogrodzie przed domem, pierzyny zanoszono do odświeżenia. Służącą komenderowano ostro. Hanna o skomplikowanym nazwisku – nikt w rodzinie nie zadał sobie zresztą trudu, by je zapamiętać – pracowała w domu Sternbergów od dwóch lat. Pochodziła z Beerfelden w górach Odenwald, wciąż tęskno jej było za domem i rodzicami, piątką rodzeństwa oraz synem młynarza Merkental, któremu została obiecana. To dla niego chciała we Frankfurcie nauczyć się tego, co kobieta powinna w życiu potrafić, poza kamienicą obawiała się jednak

ciągle, że przejedzie ją samochód albo porwie pewien młody, rosły mężczyzna, który co tydzień dostarczał do domu bloki lodu. Ten gbur nigdy nie przepuścił okazji, by złężnioną dziewczynę klepnąć w tyłek, tak jak zwykł klepać obie swoje chabety. Hanna była szczęśliwa jedynie gdy z Frankfurtu wyjeżdżała do Beerfelden.

Przede wszystkim po to, by zademonstrować Hannie niezależność i wolność oraz pokazać, jakim cieszy się szacunkiem Sternbergów, tymczasowa regentka dała swej bezprawnie mianowanej służącej pełne trzy dni wolnego, by ta mogła pojechać do Beerfelden na wesele kuzynki. Owładnięte szczęściem stworzenie, jękając się, obiecało, że wróci na czas z przepisem na wino jabłkowe od matki i wiaderkiem poziomek, a przez swą protektorkę zostało pożegnane słowami: „Już cię tu nie ma, zanim się rozmyślę, bo za dobre serce człowiek i tak nigdy podzięką nie dostanie”.

Josepha zaczynała właśnie podlewać rośliny na balkonie, gdy przed bramą z kutego żelaza przy alei Rothschildów 9 zatrzymały się dwie dorożki, które prawowity rządca domu zamówił na dworcu głównym dla siebie i swojej rodziny, by zabrać stopy waliz oraz dwa wielkie pudła na kapelusze. Wspomnienie tej sceny jeszcze rok później wprawiało ją w dobry nastrój. Lato, spokój, lekkość, bezchmurne niebo i zapach róż – słowem: sielanka.

Josepha, w odświętnym fartuchu i plecionej koronie, poczuła na skórze tchnienie młodości. Delikatnym strumieniem wody polewała białą, różową i fioletową wykę. Na subtelnym główkach kwiatów lśniły tęcze krople. Wykę siano co roku w zielonych skrzynkach na balkonie. Tak chciał pan domu, były to jego ulubione kwiaty. Tylko on wiedział dlaczego.

Na wysokim kwietniku obłożonym małymi żółtymi kafelkami stała ukochana serduszka Victorii w pełnym rozkwicie. Na brązowej glinianej donicy Otto zapisał wymyślnymi drukowanymi literami „Królowa Victoria”. Ów hołd był braterskim obowiązkiem, wszak ten niemożliwy chłopak wmówił młodszej siostrze, że serduszka okazała jest cudownym kwiatem o wyjątkowej czarodziejskiej mocy. Miała rzekomo chronić przed surowymi nauczycielami, złymi cenzurkami, kożuchami z mleka na kakao, plamami atramentu w zeszytach oraz na białym fartuszkach, przed szpinakiem, groszkiem, zupą fasolową i nagłą śmiercią w rodzinie.

– I nie zapominaj – zaznaczał bezwstydną hultaj – że twój kanarek również należy do naszej rodziny.

Przed odjazdem do Baden-Baden dobroduszna Josepha musiała podnieść prawą rękę i przysiąc, że będzie się serduszką opiekować, pielęgnować ją i co wieczór mówić jej, że Victoria za męża życzy sobie mówiącą żabę w książęcej koronie.

Za kawałek jabłka kanarek zaświergotał pieśń dziękczynną i dał znać, że i kolejny by mu posmakował.

– Ty pasibrzuchu – powiedziała ta, która rozpieszczała nawet ptaki.

Właśnie w momencie, gdy wtykała kolejny kawałek jabłka między pręciki klatki, dotarło do niej, kto przed chwilą wysiadł z dwóch dorożek oraz że ona, Josepha Krause, najdalej za dziesięć minut będzie musiała tłumaczyć pani Betsy, dlaczego samowolnie pozwoliła Hannie wziąć urlop. Jęknęła, gdy uświadomiła sobie, że jej niepodzielne panowanie w mieszkaniu nagle dobiegło kresu. Palce zdrętwiały jej z zimna, nogi się pod nią ugięły. Wpatrywała się w dal z takim przerażeniem, jak gdyby właśnie otwarły się przed nią bramy piekieł.

– Mój Boże – wybąkała.

Pomimo strachu, który, jak się zdawało, wyssał z niej całą krew, była w stanie dostrzec każdy

szczegół. Pan domu, w tej samej jeszcze białej czapce, którą zakładał na koncerty w Baden-Baden, oraz pani Betsy w swym długim, szarym płaszczu podróżnym i zapiętej pod szyję bluzce w czarno-białe pasy, stali obok siebie i spoglądali w górę. Choć wyjechali zaledwie na jedenaście dni, Josepha miała opory, by pomachać do nich z góry i zawołać „witajcie w domu”, tak jak zazwyczaj robiła, gdy rodzina wracała z podróży. Wlepiała wzrok w bliźnięta. Erwin i Clara poszturchiwali się jak w dzieciństwie i udawali, że okładają się pięciami i kopią, ale Josephy oszukać nie mogli. Natychmiast przejrzała pozorną wesołość swych ukochanych ancymonów. Clara była zbyt blada, a Victoria, co dało się dostrzec nawet z daleka, rozpalona. Nie ulegało wątpliwości, że przez dłuższy czas płakała.

– Wszystko przez tego zastrzelonego Austriaka – powiedziała domyślnie do kanarka. W wydarzeniach na świecie miała lepsze rozeznanie niż niejeden mężczyzna, choć podczas lektury gazet nigdy nie czytała bieżących wiadomości ani komentarzy, a tylko nowinki z cesarskiego dworu w Berlinie i heskich domów arystokratów. Potrafiła wymienić niemieckie kolonie w Afryce i wiedziała, że kanclerz Rzeszy Niemieckiej nazywa się von Bethmann-Hollweg. Erwin, który od dziecka interesował się tym, co działo się na oceanach, nauczył ją nazw czterech niemieckich okrętów wojennych i angielskiego pancernika.

Dwóch dorożkarzy zdjęło z wozów walizy, ułożyło jedna na drugiej na ulicy i chwyciło cztery największe. Głośno stękali, żeby pokazać, że nie są przyzwyczajeni do takich ciężarów, do bramy udało im się jednak dojść w paru tylko krokach. Otto doskoczył do niej i otworzył, na co tragarze równocześnie zawołali „Wiśta!” i „Wio!”, jakby nadal mieli do czynienia z końmi. Przez chwilę rozglądali się dookoła z rozczarowaniem, bo ich żart nie wzbudził zachwyty. Potem ruszyli w stronę drzwi.

Nagły podmuch wiatru uniósł nad ulicą zielony letni kapelusz z szerokim rondem i usadowił go na środku klombu z różami w pasie zieleni, który przebiegał przez aleję Rothschildów.

– Biegnij, Erwinie – huknął ojciec wyjątkowo nieprzyjaźnie. – Nie gap się. Rusz się wreszcie i przynieś ten kapelusz.

Ciotka Jettchen, której drogi kapelusz wydarto tak brutalnie, jak gdyby był bezwartościowym strzępkiem papieru, złapała się za głowę i krzyknęła z przerażeniem.

– O Boże – lamentowała – to z pewnością zły omen. – Dopiero gdy Josepha usłyszała jej głos, uzmysłowiła sobie, że seniorka rodu wróciła do Frankfurtu, a Hanna jeszcze nie powlekła świeżej pościeli w pokoju gościnnym, tak jak przed odjazdem poleciła pani Betsy.

W odrętwiałe ciało najzdolniejszej kucharki z pogranicza frankfurckiego Nordendu i Bornheimu życie powróciło równie szybko, jak z niego uszło. Josepha, która jeszcze dziesięć minut wcześniej błogo polegiwała sobie na miękkim jak puch posłaniu z letnich snów, a potem została gwałtownie zbudzona bezlitosną ręką losu, znów mogła naraz myśleć i komenderować. Przede wszystkim potrafiła zareagować tak, jak przystało na kobietę, którą jej chlebodawczyni wynosiła pod niebiosa podczas cotygodniowych herbatek w towarzystwie innych pań. Cud-kucharka zwilżyła usta swym wychwalanym ze wszech stron wrażliwym na smaki językiem. Zastanawiała się uparcie, w jaki sposób w czasie, który jej pozostał, przygotować kolację dla siedmiu osób, i to odpowiednią do ich statusu. Przeprowadzała w myślach inspekcję spiżarni i piwnicy. Raz jeszcze, na przerażający moment, życie wymknęło jej się spod kontroli. Przez okamgnienie, z czołem zlanym potem, głowiła się, jak z dwóch jaj i resztki bordo przyrządzić na deser smaczny mus winny.

Dla pochodzącej z Bad Nauheimu kucharki Josephy Krause, niezamężnej, świadomej swoich

obowiązków oraz niezawodnej, nie istniał taki węzeł gordyjski, którego nie potrafiłaby rozciąć. W tamtym momencie jednak skryła twarz w dłoniach – jak jakaś stara płaczka, która potrafiła jedynie wylewać przed wszystkimi swe żale. O trzydzieści sekund za późno uświadomiła sobie, że przed okazaniem skruchy powinna była odstawić konewkę. Zapomniała.

Piękne trawiastozielone naczynie, ozdobione z jednej strony malunkiem roześmianego słońca, a kupione tuż przed wakacjami w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego Lorey, w którym na początek sezonu na sprzedaż wystawiano ładny i niedrogi sprzęt do domu i ogrodu, upadło na ziemię. Niczym drapieżny ptak ustrzelony w locie spadło z wysoka i z wielkim hukiem gruchnęło najpierw o betonowy słup przy wejściu na podwórze, a następnie o bruk.

Erwin, wywijając zielonym kapeluszem ciotki Jettchen niczym zwycięskim trofeum, ryknął: „Gol!”. Teatralnie trzasnął obcasami i zasalutował lewą ręką. Erwin koniecznie chciał się zaprezentować światu jako dziarski młodzieniec, który idzie z duchem czasu i interesuje się nawet piłką nożną. W rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Każda dyscyplina sportowa wydawała się temu wrażliwemu chłopcu prymitywna, każde zetknięcie się ciał na boisku – zbyt intymne.

Josepha spuściła głowę. Zawstydzona westchnęła cicho i zasłoniła sobie usta jak dziecko chcące cofnąć rzucone w pośpiechu słowo. Spojrzenie pani Betsy, poirytowanej upadkiem swej nowej konewki równie mocno jak dziecinną reakcją Erwina, nie zdradzało oznak łagodności, a już na pewno nie współczucia wobec kucharki. W jej donośnym głosie słyszało się zniecierpliwienie.

– Josepho – zawołała głośno w górę – niech pani wreszcie przyśle tu do nas na dół Hannę, żeby pomogła przy walizkach. Czy naprawdę o wszystkim muszę mówić oddzielnie? – Nagle, jakby w tym szorstkim tonie nie mieściło się już wystarczająco wiele wyrzutu, pani domu poczęła wrzeszczeć tak głośno i przeraźliwie, że każde jej słowo można było usłyszeć od sąsiedniej Egenolffstrasse aż po oddaloną o dwieście metrów Höhenstrasse. – Mój Boże, Victoria, przestań się wreszcie mazać. Przysięgam, że jeśli jeszcze raz wspomnisz o tych przeklętych śliwkach, to wymierzę ci pierwszy policzek w twoim życiu. I wtedy będziesz przynajmniej miała powód, żeby beczeć.

– Lepiej, żebyś zawczasu nauczyła się, że życie nie jest sprawiedliwe, biedna mała księżniczko – dodał Otto. Ironia sączyła się w jej zranioną duszę, a on śmiał się tak szyderczo, jak śmiać się umiejają jedynie starsi bracia, gdy mówią młodszej siostrze całą prawdę bez ogródek. Gdy jednak wziął Victorię na ręce i przytulił, jego oczy były pełne współczucia. Czule pocierał podbródkiem o jej policzek.

Victoria nigdy nie mówiła o dniu, kiedy wyrośnięty Otto, który zazwyczaj nie poświęcał jej, przemądrzałej dziewczynce, więcej uwagi niż stokrotkom na łące, był czuły niczym pluszowy miś w bezksiężycową noc. Z każdym oddechem kruszył jej wielką zgryzotę do rozmiarów pyłku i całe życie pamiętała zapach jego skóry w tym momencie szczęścia, w którym czuli się tak, jakby poza nimi nie było na świecie nikogo.

Nigdy nie zapomniała też badeńskich śliwek w czekoladzie owiniętych w szeleszczące złote papierki, z których jedną jej obiecano. Nie doczekała się jej w związku z pospiesznym wyjazdem z gościnnego hotelu zdrojowego Pod Jeleniem i dopóki czas nie ograbił jej ze złudzeń i nie wyposażył w wiedzę, była przekonana, że do wojny doszło jedynie dlatego, że jakiś zawistny mały czort pozazdrościł jej śliwek w czekoladzie z Baden-Baden.

Po powrocie z uzdrowiska witali znany sobie świat: dom, który rok wcześniej na nowo otynkowano,

ze świeżo wykrochmalonymi zasłonami w każdym oknie, ogród z herbacianymi różami, które w roku tysiąc dziewięćset czternastym kwitły bujniej niż kiedykolwiek wcześniej, jerzyki, którym długo jeszcze nie w głowie było pożegnanie, żabkę z celuloиду, która od początku wiosny pomieszkiwała w zaroślach. Nad pasem zieleni pośrodku alei korony drzew tworzyły dach z cienia i lata. Od alei Nibelungów szybko nadjeżdżał biały mercedes błyszczący chromowaniami. Kierowca, zawzięcie trąbiąc, przegonił z ulicy trzech bosych chłopców i z wrogością skierował auto na ich czerwoną piłkę, chłopcy potraktowali jednak jego gniew jako żart i roześmiani zagrali mu na nosie.

– Brawo – krzyknął zachęcająco Erwin i ukłonił się, wciąż trzymając w ręce złakniony przygód kapelusz ciotki Jettchen.

Pani Betsy puściła oko do swojego męża, ponieważ do tej pory przecież jako jedyna z rodziny wiedziała, że zamówił auto, ale Johann Isidor odwrócił się, żeby nie zdradziło go spojrzenie. Znów wiedział więcej niż żona. Miał zamiar negocjować z salonem anulowanie umowy w razie nadejścia wojny.

Znad chodnika unosiły się obłoczki pary. Ze względu na upał aleję Rothschildów zraszano wodą. Wyglądała tak czysto jak ulice z pocztówek, które z biegiem lat przyniosły Johannowi Isidorowi duże pieniądze. Na skwerze przed małym warzywniakiem na rogu Martin-Luther-Strasse ustawione były jasne drewniane skrzynki z truskawkami z Kronbergu. W małych koszyczkach błyszczały czerwienią wczesne wiśnie z Bergstrasse. Victoria podążała za spojrzeniem matki, ale zamiast truskawek, które sprawiały, że ciekła jej ślinka, dostrzegła jedynie szpinak. Pociągnęła nosem tak solidnie, jakby już stał przed nią na talerzu. Razem z jajkami w koszulkach i gęstym białym sosem, które też jadła niechętnie.

– To dobrze, że łaskawa pani już wróciła – krzyknął właściciel sklepu – już za panią tęskniłem. – Miał na sobie biały kitel, na niego narzucony zielony fartuch i do tego szarą czapkę z daszkiem.

– Wyobrażam sobie, kanciarzu – mruknęła stojąca na balkonie Josepha – w końcu jesteście moimi najlepszymi klientami.

Pozostało wówczas jeszcze sześćdziesiąt dni, by cieszyć się bogactwami lata. Do ostatniej godziny okresu ochronnego goździki roztaczały woń cynamonu i wanilii, w ogrodzie na niebiesko kwitła lobelia, a na nasypie kolejowym kołysały się maki. Wszystkie dziewczęta chciały wyglądać jak Henny Porten i wyjść za mężczyzn, którzy w swych silnych ramionach zabraliby je do rajów. Skowronki głośno się radowały, jakby nie było ani kotów, ani zuchwałych chłopaczków z procami, a gwiazdy świeciły również dla starszych.

– W sierpniu – opowiadała ojcu Victoria – jest bardzo dużo spadających gwiazd. Gdy się taką dostrzeże, można sobie pomyśleć życzenie, a wtedy dostanie się to, czego się sobie zażyczyło. Marzy mi się tyle rzeczy. Szkoda, że jeszcze nie ma sierpnia. Czas mija tak powoli.

– To się zmienia – poinformował ojciec – i to bardzo szybko. Nigdy nie powinno się mieć konkretnych oczekiwań w stosunku do przyszłości.

– Ale ja nie oczekuję przyszłości. Oczekuję konia, który poleci ze mną do Ameryki, jeśli nie będzie mi się chciało iść do szkoły, i całej góry śliwek w czekoladzie w złotych papierkach.

Czy czas, który pozostał, aby żyć w pokoju, przeznaczano właśnie na życie? Czy raczej ludzie pozwalali, aby dni mijały, jakby te, które miały nadejść, nie różniły się od poprzednich? O wojnie mówili tylko ci o sercach żołnierzy, marzący o bohaterstwie, oraz ci przeczuwający i strachliwi, i oni byli jednak

zgodni co do tego, że niemiecki cesarz to człowiek pokoju, który dotrzymuje danego słowa. Czyż nie obiecał swemu narodowi, że poprowadzi go ku wspaniałym czasom?

Codziennosc i zycie przy alei Rothschildów 9 pozostaly rownie przewidywalne i uporządkowane jak przez cale czternaście lat od czasu zasiedlin. Podobnie bylo w pozostalej czesci Nordendu. Dzieci rodzily sie i plakaly podczas ząbkowania. Uczyly sie chodzic, ciagaly za soba drewniane jamniki na kólkach, wychodzily do szkoly i na podwórko. Z przystojnych mlodych dziewcząt w niebieskich sukniach z obszernymi, powiewnymi rękawami wyrastaly matrony z włosami upiętymi w kok i o zmęczonych oczach. Pani Minchen Berghammer, zona nauczyciela z trzeciego pietra, niegdyś tak szykowna, ze ludzie na ulicy odwracali za nia wzrok, rzadko juz tańczyła. Od czasu do czasu chodzila do pewnej wróżbiarki. Ta od trzech lat przepowiadala swojej klientce wielkie szczescie i przy kazdej wizycie sprzedawala jej nowa masć na ból pleców oraz tę sama miksturę z brazylijskich ziół leczniczych i dziurawca na napady przygnębienia. Na swym balkonie pani Minchen uprawiala szczypior i mięte, a po czwartym kieliszeczku ajerkoniaku śmiała sie tak figlarnie jak kiedyś, ale tylko wtedy, gdy mówiono o mężczyznach, którzy sobie kupowali oryginalne zegarki marki Glashütte, a swoim zonom dawali na urodziny szatkownicę do ziół.

Ku ciągłej irytacji pani Betsy i pomimo okólnika do wszystkich najemców sporządzonego pieczołowicie przez jej męża okna na klatce schodowej często nie byly zamknięte jak należy. Ten „nieprzyjemny, prowadzący do powstawania zanieczyszczeń stan rzeczy” wykorzystywac mialy gołębie, a na parterze również bezdomne koty. Mała złota tabliczka „Zebranie oraz prowadzenie handlu obnośnego zakazane”, zapisana pięknie zdobionymi literami, pamiątka z domu rodzinnego Johanna Isidora, zostala zastąpiona duża, białą z wielkim czarnym napisem.

W mieszkaniach z pewnością gościly śmiech, łzy, spory i zgoda, żarty oraz absurdy, ale do uszu pozostaly lokatorów docieralo z tego niewiele. Grube mury byly dyskretne niczym szpakowaty lokaj, który z biegiem lat zdobył sobie ogromny szacunek arystokratycznych rodzin, u których pracowal. Zimą do tej murowanej twierdzy nie wdzieralo sie zimno, latem – duchota.

– Taki dom żyje – mawiala pani Sternberg, gdy w jej nastroju dominowaly włascicielska duma i ukontentowanie.

Gospodyni dwa razy musiala napomniec doktora Feldmanna z parteru, zreszta adwokata, któremu obowiazki najemcy akurat powinny być znane, by w niedziele w czasie obiadu nie gral na pianinie, oraz zabronic jego żonie wywieszania prania na balkonie od frontu. Młody Berghammer, próbując za jednym razem przeniesc na trzecie pietro nieporęczny statyw i masywną szafkę na płyty gramofonowe, uszkodzil poręcz, ale jego ojciec natychmiast zapewnil, ze pokryje koszty naprawy.

Theo Berghammer, przyjaciel i obrońca Ottona, którego zaznajomil z zyciem i któremu nadal byl serdecznie oddany, sam radzil sobie w zyciu z bezsprzeczną, własciwa szczęściarzom łatwością. Nie pracowal juz za darmo, lecz zostal zatrudniony jako fotograf w pewnym renomowanym atelier przy placu Rossmarkt. Podczas przerwy obiadowej przechadzal sie ulica Grosser Hirschgraben, a gdy wystarczalo mu czasu, wstepowal po drodze do domu Goethego. Przez miesiac zarabial wiecej, niz zamożny gimnazjalista Sternberg dostawal przez pół roku. Nadal tez nosil czerwona chustkę, by podkrešlic swój niekonwencjonalny sposób bycia.

Marie, rudowłosej słuźacej z mieszkania na drugim pietrze, Josepha – na polecenie pani Betsy – dobitnie przykazala, by przebywajac na podwórzu, nie zakłocala spokoju innym i powstrzymala sie od

wymiany czułości. Jej narzeczony pracował w trybie zmianowym jako kontroler biletów w tramwajach. Miał niemiły nawyk oznajmiania początku fajrantu za pomocą rowerowego dzwonka, na którego dźwięk Marie zwykła z łomotem zbiegać po schodach. Na co dzień nosiła przeważnie drewniaki, a do tego słyszała tylko na jedno ucho.

Podczas tej skwarnej kanikuły wróble z Bornheimu ze szczególnym zapalem dobrały się do wiśni na podwórzu za domem. Nic sobie nie robiły z pani Betsy wygrażającej im kijem od szczotki i oszpecały bielarnię. Wszędzie leżały pestki i połamane gałęzie.

Jak co roku w wakacje Josepha przyrządzała pierwszą marmoladę. Czerwona porzeczką oraz agrest z małej posesji w dzielnicy Seckbach, dostarczane przez pewnego mężczyznę z wózkiem i szpotawą stopą, wcześniej dojrzały i były większe niż zazwyczaj. Gdy Josepha mieszała w garnkach, w mieszkaniu i na schodach roztaczał się ów sycący zapach słodczy i lata, który ożywia każde kobiece serce. Kucharka była uszczęśliwiona, ale zarazem nieco zadziwiona samą sobą.

– Nie wiem – zwierzyła się chlebobawczyni, stojąc przy parującej kuchni – co się ze mną dzieje w tym roku. Mogłabym wekować tę marmoladę bez końca. Już nawet we śnie liczę słoiki i myję owoce. Ostatnio śniło mi się, że zabrakło cukru.

– Może to dlatego, że mój mąż i Otto tak często rozmawiają o wojnie – wysnuła przypuszczenie pani Betsy. – To musiało wywrzeć na ciebie jakiś wpływ.

Nie miała swej pracowitej kucharce ani trochę za złe, że ta samowolnie udzieliła stęsknionej za domem Hannie trzydniowego urlopu.

– Grunt, że praca Hanny zostanie wykonana – powiedziała życzliwie, gdy dowiedziała się, co się zdarzyło pod jej nieobecność. Josepha przyjęła jej słowa z ulgą i uważała za wspaniałomyślne i taktowne ze strony przełożonej, że tak szybko odeszła od tematu i zaczęła mówić o przyszłości.

– Może – zastanawiała się pani Betsy – powinniśmy w tym roku kupić od naszego znajomego z Oberradu więcej młodej cebuli niż zazwyczaj. Można ją zamarynować w occie, wtedy nie zepsuje się nigdy. Pani Grünthal podsunęła mi tę myśl podczas ostatniego spotkania przy kawie. Nawet w domu, w którym są dzieci, cebula ma wiele zastosowań. I musimy dopilnować, by nie przegapić wczesnej marchwi.

– Ani fasoli szparagowej – dodała Josepha. – Mayer, sprzedawca warzyw z Wiesenstrasse, wczoraj właśnie powiedział, że w funcie fasoli kryje się więcej energii niż w funcie wieprzowiny.

Trzy dni później Josepha zameldowała, że śniło jej się siedem wychudłych krów, a biblijny Józef we własnej osobie przypomniał jej, że sen ten oznacza siedem chudych lat i wielki głód. Kuchenna Kasandra nie dała się odwieść od teorii, że kobiety wyczuwają nadciągające nieszczęście równie wcześnie jak koty i kanarki. Następnego dnia oprócz pożywnej fasoli zamówiła u handlarza warzywami dwa cetnary kartofli – poza kolejką i początkowo bez wiedzy swej pracodawczyni.

Szóstego lipca Johann Isidor wyjaśnił przy śniadaniu swemu najstarszemu synowi, z czym dla Rzeszy i jej perfidnych wrogów wiąże się to, że Niemcy zapewniły Austro-Węgry o swej absolutnej sojuszniczej wierności. Wzruszony ojciec odniósł podczas tej rozmowy wrażenie, że Otto nigdy wcześniej nie przysłuchiwał mu się z taką uwagą ani z takim zainteresowaniem nie zadawał pytań, świadczących zresztą o jego biegłej znajomości tematu. Choć chłopak nie miał o operacjach bankowych najmniejszego pojęcia, używał określenia „czek in blanco” zupełnie jak różni nobliwi panowie

w Berlinie. Johann Isidor nie zapomniał ani słowa z tej znaczącej rozmowy. Wówczas rozjaśniła mu ona codzienność, była niczym płonąca pochodnia w zimową noc. Poczucie bliskości ze swym pierworodnym synem, który jako dziecko często wydawał mu się obcy, krnąbrny i skryty, właśnie w tak niepewnym czasie czyniło go radosnym.

– Radość przepęlnia niemieckiego ojca, który dumny jest z bycia synem swej niemieckiej ojczyzny – oznajmił żonie, wypiwszy w południe mokkę.

Pani Betsy, zafrapowana tym wskazującym na oszołomienie doborem słów, przygasiła jego podniosły nastrój w sposób, który on tego samego wieczoru w męskim towarzystwie, odrobinę zde gustowany, lecz jednak życzliwie rozbawiony, określił jako „typowo kobiecy”. Pani domu wypytywała go bowiem drobiazgowo, dlaczego w takim razie cesarz jak co roku wyruszył w podróż do Nordlandu. „A myśmy tak ni stąd, ni zowąd wyjechali z Baden-Baden!”.

– Powinieneś był powiedzieć mamie: *quod licet Jovi, non licet bovi*^[11] – zaśmiał się Otto, dowiedziawszy się o jej *faux pas*.

Plotki o tym, że ci, którzy w razie potrzeby dobrowolnie zgłoszą się do służby wojskowej, przystąpią do matury na specjalnych warunkach, dotarły także do niego, i jako młody patriota twardo postanowił, że w razie wybuchu wojny wstąpi do wojska. Aby podkreślić trud, z jakim przyszła mu decyzja o rezygnacji z nauki, wplatał w swoje wypowiedzi łacińskie cytaty. Na bliźniętach wywierało to głębokie wrażenie, ojciec był z lekka zdezorientowany, ale dumny, że wnuk handlarza byłem z Górnej Hesji już w wieku osiemnastu lat będzie należał do cenionego grona osób posiadających klasyczne wykształcenie.

Ostatnie truskawki i pierwsze słoneczniki, muzyka marszowa, dawne historie i dziecięce nadzieje – wszystko to stwarzało złudzenie normalności, wielu ludzi było jednak podenerwowanych i niepewnych. Wprawdzie szybko przyswojono sobie pojęcia ze słownika niemieckiego bohatera, ale tylko nieliczni wiedzieli, co tak naprawdę oznaczają hasła „lojalność sojusznicza”, „wierność Nibelungów”^[12] i „mobilizacja”. Mimo to rozmawiano ze sobą inaczej, ton stał się poważniejszy. Gazety łączyły ze sobą słowa „wojna” i „zwycięstwo” i entuzjastycznie witały czasy, które każdemu niemieckiemu mężczyźnie umożliwiały przysłużyć się ojczyźnie sercem i czynem. Pokolenie zbyt młode, by na polu walki stanąć przeciwko wrogowi, dodawało sercom otuchy w domach. Clara oświadczyła, że jest dorosła, i zagroziła, że w przypadku wojny niezwłocznie przestanie posługiwać się językami wrogów Niemiec. Choć program nauczania z pewnością tego nie przewidywał, Erwin przeczytał *Tkaczy*^[13] Gerharta Hauptmanna. Nazwał cesarza „kompletnym idiotą”, gdyż ten po prapremierze nawoływał do bojkotu sztuki i zrezygnował z łoża cesarskiej w Teatrze Niemieckim w Berlinie. Ojciec zaś określił Erwina mianem wynarodowionego smarkacza, który na własne życzenie wykluczył się z grona przyzwoitych ludzi.

– Akurat teraz! – westchnęła Betsy. Wszystkim wydawało się, że i ona ma na myśli wojnę.

Josepha zakończyła swój wieloletni zatarg z mleczarzem z Höhenstrasse i tego samego dnia wysłała swojemu kuzynowi, rzeźnikowi z Friedbergu, pocztówkę przedstawiającą frankfurcki Ogród Palmowy. Napisała, że chętnie by się z nim jeszcze zobaczyła.

– Nie wiadomo, na co to się zda – oznajmiła, lecz nie była to prawda. Obdarzona trzeźwością umysłu Josepha miała bardzo konkretne wyobrażenie przyszłości.

Zmiana dokonała się nawet w nieśmiałej Hannie. Rodzice napisali do niej z Odenwaldu, że pewnej niedzieli zjawił się u nich syn młynarza Merkentalu i oświadczył, że zanim ewentualnie pójdzie do

wojska, chciałyby poślubić ich córkę. Od tamtej pory Hanna upinała wysoko włosy i prężyła pierś, podśpiewywała podczas mycia warzyw *Niech nam żyje cesarz* i złorzeczyła Francuzom.

Ojciec i jego najstarszy syn debatowali podczas śniadania o planach koncentracji wojsk i szybkiej wojnie manewrowej, lecz o niedostatku, śmierci i wdowim cierpieniu nie rozmawiali nigdy. Podczas podawania porannej kawy pani Betsy, urodzona rok po utworzeniu Rzeszy Niemieckiej, wyjaśniła swym mężczyznom – nie czerwieniąc się, co wprawiło ich w konsternację – że nie ma zbytniego pojęcia, jak przebiega wojna.

– Ja wiem – odparł ojciec rodziny. – Bądź co bądź podczas ostatniej wojny miałem już dziesięć lat i wiele rzeczy do tej pory dobrze pamiętam.

– Ach, powiedz jeszcze, że ludzi na tej twojej głębokiej heskiej prowincji interesowało, czy mają cesarza czy nie.

– Wam, kobietom – powiedział Johann Isidor – to dobrze. Zawsze dostrzegacie jedynie małą cząstkę życia, tę, która dotyczy tylko was, a nigdy nie postrzegacie go całościowo.

– Może świat tylko dlatego jeszcze w ogóle istnieje.

Większość kobiet myślała podobnie jak Betsy. Odwieczni i zaciekli wrogowie Niemiec, niepokojące informacje z Berlina, nastroje Habsburgów oraz siła uderzeniowa niemieckiej floty wojennej stanowiły domenę mężczyzn. Za te sprawy kobiety nie odpowiadały. Już Sara, żona Abrahama, była odpowiedzialna za dom i rodzinę, a nie za starcia i wojny. Mimo to kobiety w porę przeczuli, że świat niebawem się odmieni. Zdawały sobie sprawę, że w ojczyźnie, zatroskanej bardziej o broń niż o chleb powszedni, bardziej zagrożone jest właśnie to drugie, nie wspominając o mężach, synach, braciach i ojciech.

Betsy Sternberg układała w myślach przepiękne bajki i malowała subtelne obrazy, swój Chmurny Kukułczyn wyściełała różowymi poduszkami z jedwabiu, gdy jednak rzeczywistość ją dogoniła, była przygotowana. Pewnej uciążliwie gorącej niedzieli stała na balkonie. Podziwiała bujnie kwitnącą serduszkę, przysłuchiwała się ptasim trelom i dźwiękom wygrywanym przez młodego mężczyznę na harmonijce, które przywodziły jej na myśl młodość i pewną lipę rosnącą w Pforzheim. Gdy jednak na chwilę zamknęła oczy, ujrzała zimę, która przycupnęła wśród bezlistnych gałęzi. Potem usłyszała krakanie głodnych wron.

Następnego ranka odwołała popołudniowe spotkanie przy kawie u swej przyjaciółki Margot. Złożyła za to wizytę handlarzowi węglem z Arnsburger Strasse. Zapytała go o samopoczucie, opowiedziała o Baden-Baden, wytłumaczyła, że właśnie przypadkiem była w pobliżu i pomyślała, że po drodze zajrzy i nie będzie już przychodzić jesienią. Następnie zamówiła dwa razy tyle brykietów węglowych i koku co w poprzednich latach.

– Jest pani – powiedział handlarz węglem, spisując zamówienie – trzecią klientką, która dziś przypadkiem do mnie wstąpiła.

Nie próżnował też Johann Isidor. Jeszcze tego samego dnia zaskakująco szybko udało mu się porozumieć z kupcem Krauskopffem i przesunąć termin dostawy zamówionego na sierpień adlera.

– Dopóki sprawy się trochę nie ustabilizują – usprawiedliwiał się klient uwolniony od zobowiązań wynikających z umowy sprzedaży. Była to nietypowa sytuacja, która wprawiła go w zakłopotanie.

– Nie jest pan pierwszy – powiedział pan Krauskopff – który nie ufa obecnemu stanowi rzeczy, ale firma nie będzie robić nikomu trudności. Wydaje mi się, że auta mogą zostać zarekwirowane na użytek

wojskowy.

– Być może pewnego dnia – odparł Johann Isidor – będę mógł się panu zrewanżować.

Victoria śpiewała: „Gdy przez miasto żołnierz kroczy, dziewczę w mig do drzwi doskoczy”. Od powrotu z Baden-Baden wolno jej było samej wychodzić na plac zabaw przy alei Günthersburga oraz do parku, i codziennie wracała do domu z zebranymi z okolicy nowinkami.

– Gdzieś ty to usłyszała?

– Kiedy w polu bomby grają – zaintonowała dumna pieśniarka – panny oczy ocierają.

– Jako dzieci też to śpiewaliśmy – przypomniała sobie wzruszona Josepha.

– Czym jest ultimatum? – zapytała Clara podczas obiadu.

Ojciec zmrużył oczy, brat bliźniak rzucił ordynarne „Ho, ho!” i postukał się w czoło, a matka zbesztiała ją:

– Na twoim miejscu zadbałabym lepiej o to, by podręczniki obłożyć w nowy papier, panienko Mądralińska. Twoje biurko to istna stajnia Augiasza.

Betsy z zasady nie deprymowała swoich dzieci i odpowiadała na ich pytania tak, jak odpowiadała na pytania dorosłych. Od kilku dni dręczyła się jednak pewnym problemem, który zaprzętał jej uwagę zdecydowanie bardziej niż to, że mogłoby dojść do wojny. Cztery tygodnie przed swymi czterdziestymi drugimi urodzinami matka czwórki dzieci nabrała uzasadnionych podejrzeń, że przyczyną jej porannych mdłości nie jest podrażniony żołądek. Była skonsternowana i zrozpaczona. Przede wszystkim zaś pozbyła się złudzeń, że ciepłe kąpiele z musztardą, gorący koniak i akty strzeliste odmawiane na intencję tego, by niebo wykazało się zrozumieniem, wybawią ją od kolejnej ciąży.

Rozmowa o ultimatach i podręcznikach Clary odbyła się dwudziestego piątego lipca pomiędzy zupą z podprażonej kaszy manny a pieczenią rzymską. Od powrotu z Baden-Baden posiłki stały się skromniejsze niż wcześniej, ale nie komentowano tego. Jedynie Victoria poczyniła spostrzeżenie, że kompot wiśniowy na deser jest inny niż zwykle, bez sosu waniliowego. Pan domu nie miał apetytu i wydawał się wyjątkowo roztargniony. Sztućce, którymi jadł, zamiast na talerz, odłożył na świeżo uprany obrus. Gospodyni się wzdrygnęła.

Upłynęły dwa dni, odkąd Austro-Węgry postawiły Serbii czterdziestoosmiodzinne ultimatum: miała natychmiast zaprzestać wszelkich działań o charakterze nacjonalistycznym i konsekwentnie ścigać odpowiedzialnych za zamach.

– Tak dalej być nie może – powiedział Johann Isidor. Wytarł nos w serwetkę. Trzy dni wcześniej za taki sam występek kazał Erwinowi wstać od stołu. Nikt się nie odezwał. Bliźnięta spojrzały najpierw po sobie, a potem na ojca. Wzruszyły ramionami i jedno drugiemu dało kopniaka pod stołem. Otto marzył o kawalerii i wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby on również jako dziecko mógł jeździć konno. Betsy, która przez dziewiętnaście lat przywykła do tego, by nie podawać w wątpliwość sądów męża, postanowiła sobie, że skupi się wyłącznie na terażniejszości. To samo poleciła Josephie. Następnie usiadła przy sekretarzyku w sypialni i nie pytając nikogo o pozwolenie, zaprosiła do Frankfurtu ciotkę Jettchen.

– Jeśli rzeczywiście ma nadejść wojna, to tak leciwa kobieta nie może przecież całkiem samotnie siedzieć w Darmstadcie – wyjaśniła Johannowi Isidorowi.

– Moja droga Betsy, czy naprawdę wydaje ci się prawdopodobne, że wojna wybuchnie właśnie w Darmstadcie?

– Nie, ale tyle się słyszy, co ludzie opowiadają u piekarza i rzeźnika. I u sprzedawcy węgla. Wszyscy rozmawiają o gromadzeniu zapasów, a tego ciocia Jettchen ze względu na swoje lata zrobić już nie może. Tylko my jej pozostaliśmy.

– Zapominasz o jej wspaniałych córuchnach.

Pomijając tę kwestię, Betsy miała rację. Niemieccy mężczyźni przyrzekali na wszystkich świętych i swój honor, że przyjdą ojczyźnie z pomocą, gdy nastąpi taka konieczność, kobiety zaś nie czekały na oficjalny początek tych ważnych wydarzeń. Wydawały ostatnie pieniądze na sprawunki i brały wszystko, co udało im się zdobyć. W ich koszykach na zakupy umierał mit o kobiecie, która bez mężczyzny jest bezradna.

U rzeźnika z Burgstrasse rozebrano parzoną kielbasę, przy Bergerstrasse parówkową, a u trzech sprzedawców wyrobów kolonialnych białą mąkę oraz kakao. Wykupiono słoiki do weków, wełnę, kostki bulionowe marki Liebig, a nawet te gorsze, firmy Maggi. Sprzedawcy parskali szyderczo, gdy któraś z klientek żądała koncentratu do zupy. Betsy kupiła materiał na pięć sukienek i tyleż samo spódnic i bluzek, z własnej pasmanterii wzięła lamówki, sznurki i chwosty do wyposażenia całego mieszkania oraz zaopatrzyła się w środki na przeczyszczenie, jodynę i opatrunki na pępek. Musiała zamówić dorożkę, by zgromadzone przez siebie skarby przewieźć z miasta do domu. Dorożkarz zobaczył pakunki i puścił do niej oko.

– Moja stara też tak robi – powiedział. Betsy nic sobie nie robiła z jego uszczypliwości.

Ciotka Jettchen przyjechała bez zapowiedzi, w piątek trzydziestego pierwszego lipca. Betsy napisała jej: „Niech się ciocia nastawi na to, że zostanie ciocia u nas do czasu, aż sytuacja znów się uspokoi”. Zjechała więc z dwoma kuframi wielkości szafy, największym pudłem na kapelusze i papugą popielatą. Ptak miał na imię Otto, gdyż pochodził jeszcze z czasów jej małżeństwa, a błogosławionej pamięci radca medyczny był, podobnie jak Johann Isidor, wielkim zwolennikiem Bismarcka. Wiele razy w ciągu dnia Otto wykrzykiwał rozkaz „czerwone wino i jajko” i wystawiając dziób przez pręty klatki, starał się skubnąć jazgotliwą Hannę, gdy tylko ta wchodziła do pokoju.

Choć pan domu zasiadł do stołu ze słowami: „Kto wie, czy to nie ostatni raz, gdy dane nam jest świętować szabas w czasie pokoju”, było tak jak zawsze. Świece w srebrnych świecznikach po babce Betsy nie wzbudzały większego zainteresowania.

Papuga rozmawiała ze swoim imiennikiem, który niezmiennie był w świetnym humorze.

Pokojowi, który utrzymywał się przez czterdzieści trzy lata, pozostały jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny żywota. Następnego dnia cesarz Wilhelm II oznajmił: „Do ręki wciska nam się miecz”, i dodał, stojąc na balkonie swego berlińskiego zamku: „Nie znam już żadnych partii ani wyznań; dziś wszyscy jesteśmy niemieckimi braćmi i tylko niemieckimi braćmi”.

O rozpoczęciu wojny Otto dowiedział się na placu Liebfrauenberskim. Szczęście uderzyło mu do głowy. Popędził do domu, by tę podniosłą chwilę dzielić z rodziną. Na Bergerstrasse powiewały flagi, na Höhenstrasse starzy i młodzi siedzieli w otwartych oknach, z łokciami wspartymi na poduszkach, z wypiekami na twarzy. Wszyscy oni przekonani byli, że Bóg pobłogosławił wyłącznie niemiecki oręż.

Johann Isidor Sternberg miał łzy w oczach, gdy we Frankfurcie podano do wiadomości cesarskie

przemówienie.

– To jest dzień – oświadczył – na który czekaliśmy od zawsze. W końcu ojczyzna wzywa swych żydowskich synów. Cesarz powiedział: wszyscy jesteśmy Niemcami. Niemieckimi braćmi.

BYLE BEZ ŁEZ

Frankfurt, 19 sierpnia 1914

Wiszący w przedpokoju zegar z wahadłem jak zwykle wyprzedzał czas. Zaczął bić już o siódmej dwadzieścia osiem.

– Dlaczego już teraz? – zapytał Erwin.

– Dlatego – odparła Clara.

Otto spojrzął na swoje rodzeństwo. Pokręcił głową, ponieważ nie potrafił zrozumieć, że tych dwoje czternastolatków, przez każdego uznawanych za mądrych i żądnych wiedzy, co dzień wygadywało te same bzdury. Zastanawiał się nad tym każdego ranka, pomyślał jednak, że w tak ważnym dla siebie dniu nie przystoi mu oddawać się owej przyjemności płynącej z siły przyzwyczajenia. Niepokoiła go ta myśl. I zasmucała.

Wbił wzrok w niewielki biały dzbanek na mleko. Zdobiły go czerwone kropki i nie pasował do serwisu. Jako chłopiec Otto nazywał ten dzbanek kuleczką i twierdził, że naczynie ma ospę wietrzną. W owym momencie – i to po tych wszystkich latach! – znów jednak słyszał słowa ojca: „Ten chłopak ma zbyt wiele fantazji”. Docierał też do niego uspokajający głos matki. „Wyrośnie z tego” – pocieszała. Gdy jej mąż pochłonięty był lekturą gazety lub smarował masłem bułkę, ona ręką przeczesywała włosy małego Ottona. Wówczas nosił już na pewno chłopięce koszulki, ale jeszcze nie miał rodzeństwa. Czy gdyby dzieci było więcej, dzbanek z ospą mógłby stać na stole, przy którym nakrywano do śniadania?

Papuga naśladowała bicie zegara. Klatka stała w ogrodzie zimowym, skąd, jak twierdziła ciotka Jettchen, ptak miał najlepszy widok na radości życia rodzinnego. Dla upamiętnienia dawnych czasów oraz zmarłego męża ciotki, który swym pacjentom na każdym etapie ich cierpienia zalecał lekkostrawne pokarmy, sprytny ptak próbował wymówić słowo „bagietka”. Następnie, po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut, powtórzył, że nazywa się Otto. Przesiadujący na balkonie kanarek świergotał radośnie.

– Wszystkie ptaki już tu są – śpiewała Victoria – wszystkie ptaki, wszystkie.

– Zobaczysz, będziesz jeszcze śpiewać baranym głosem – ostrzegł ją Erwin.

– Nie wszyscy muszą być podczas śniadania w tak złym nastroju jak ty – zganiła matka swego średniego syna. W kobaltowoniebieskim wazonie, który stał w przejściu pomiędzy jadalnią a salonem, ułożone były czerwone i różowe mieczyki oraz białe lewkonie. Wtedy, w pierwszych dniach wojny, wielu frankfurckich ogrodników miało w sprzedaży nawet więcej towaru niż za czasów pokoju. Popyt na kwiaty był olbrzymi, przede wszystkim na małe bukiety typu biedermeierowskiego czy kompozycje z margerytek, maków i chabrów. Kwiaty te, w drzwiach domów i na dworcach, wręczano – i przypinano do piersi! – żołnierzom, którzy rozstawali się z ojczyzną. Otto cieszył się, że dzięki dobrej radzie Thea

zostanie mu oszczędzone pożeganie wśród łez i kwiatów.

W pewnej chwili dotarł do niego ciężki, słodki zapach lewkonii; wyobraził sobie, że musi je namalować, i poczuł, jak wilgotnieją mu dłonie. W czwartej klasie gimnazjum uczniowie mieli narysować bukiet stojący na katedrze. Otto nie zauważył, że dzbanek ma ucho, a róże kolce. Wielu chłopców z klasy też tego nie spostrzegło, ale to blok należący do Ottona nauczyciel rzucił na podłogę i wzburzony zachnął się, że ojciec chłopaka winien rozdać ubogim kwoty, które przeznacza na chesne. „Od razu widać, że wywodzisz się z narodu wrogiemu malarstwu” – wyrzeszczał w furii. Policzki Ottona płonęły, jakby od tamtej chwili nie minął ani jeden dzień. Wstyd mu było, że właśnie tego poranka, gdy serce omal nie wyskoczyło mu z piersi z radości, ponieważ cesarz ogłosił wszystkich obywateli braćmi w walce, myśli jego krążyły wokół tak błahych zdarzeń z dawnych lat.

Zaraz po wybuchu wojny żona piekarza wytyczyła kierunek działania i oznajmiła, że bułki nie będą już o poranku dostarczane do domów. Była jednakże skłonna zrobić wyjątek dla dobrych klientów. Aby nie wzbudzać zazdrości sąsiadów, skoro świt na pierwsze piętro domu przy alei Rothschildów 9 wysyłała swego ucznia. Do stałego zamówienia doszły dwie bułeczki maślane dla ciotki Jettchen. Zgodnie twierdzono, że wojna potrwa najdłużej do Bożego Narodzenia, ona zaś szczególnie ubóstwiała jesień w wielkim mieście, dlatego też entuzjastycznie przyjęła propozycję Betsy, by na razie nie wracała do mieszkania w Darmstadcie. Cioteczka preferowała śniadania w łóżku, uwielbiała jeść je na słodko i uważała, że maślane bułeczki są lżej strawne niż pieczywo z chrupiącą skórką, które jej służąca zawsze przynosiła z piekarni.

Nie wycofano zamówienia na trzy bułki, których służąca Hanna potrzebowała, by nie opaść z sił i nie stracić dobrego nastroju. Tę niespodziewaną nadwyżkę Josepha suszyła i ścierała, a także wykorzystywała do pieczenia rzymskiej oraz sufletów owocowych pojawiających się teraz na stole częściej. Zgodnie z zapowiedzią Hanna rzeczywiście wyjechała do domu w Odenwaldzie w dniu mobilizacji. Jej rodzice tak szybko poczynili przygotowania do zaślubin z synem młynarza, że dziewczyna już wówczas – o czym z wieloma podkreśleniami i w nienagannej ortografii zawiadomiła na kartce pocztowej – nazywała się panią Merkental. Poinformowała, że jako kobieta zamężna nie chce już dłużej pracować na „posadzie służącej”. „Mój małżonek – dodała świeżo upieczona mężatka – jest już w drodze na front i przesyła serdeczne pozdrowienia”.

Do zwykłego zamówienia u piekarza doszły jeszcze dwa karlsbadzkie rogaliki. Nie podawano ich na śniadanie, lecz przechowywano w spiżarni pod pustym brązowym workiem na mąkę. Tę bezpieczną kryjówkę znalazła Josepha. Ponieważ pamięć miała wyśmienitą, przypominała sobie jeszcze, czego oznaką był apetyt pani domu na karlsbadzkie rogaliki. Takich właśnie, grubo pociągniętych twarogiem z kminkiem, życzyła sobie, oczekując narodzin bliźniąt oraz Victorii. Pani Betsy zaczęła jeść zarówno drugie śniadanie, jak i podwieczorek dokładnie tydzień po tym, jak zarzuciła kąpiele musztardowe oraz odstawiła gorące trunki.

– To pani obowiązek. – Josepha dodawała otuchy swojej przełożonej, gdy tej zaczęły się zmieniać nawyki żywieniowe. – Mocne nerwy będą jeszcze pani potrzebne. I niech pani wreszcie skończy z tym przeklętym wermutem. Wprowadza w przygnębienie i żadnej kobiecie jeszcze nie pomógł. Ani biednej, ani bogatej. Wiem to od mojej kuzynki z Friedbergu, a ona jest akuszerką.

Był kwadrans przed ósmą. Betsy wstała, westchnąwszy, starła plamę z obrusu, przesunęła wazon

o kilka centymetrów w lewo, raz jeszcze westchnęła i z powrotem usiadła przy stole. Otto wziął silny, głęboki wdech, jak gdyby był u lekarza i miał problemy z oskrzelami. Uświadomił sobie, że chociaż wyczekiwał jakiejś wiadomości, to nie miał najmniejszego pojęcia, jakiego rodzaju miałyby ona być i czy jest wystarczająco czujny, by ją rozpoznać. Kiedyś przeczytał, że zapachy mogą w każdej chwili przenieść człowieka do przeszłości. Nawet tej pogrzebanej i tej, która zniknęła. Nasycenie się zawczasu zapachem dzieciństwa, pokoju i ojczyzny, było z pewnością rozważne, a przede wszystkim dalekowzroczne, pomyślał.

– Otto nie ma chusteczki – zameldowała Victoria.

– Uważaj lepiej, żebyś po raz kolejny nie upadła obrusu, panienko skarżypyto – skarciła ją matka. – W dzieciństwie wciąż powtarzaliśmy: kocha się zdradę, ale nie zdrajców.

– Teraz też się tak mówi – dodała Clara.

Czy to dobrze, że ktoś stojący na rozstaju dróg wychwytywał także głosy bliskich, żarty i drobne złośliwości, spojrzenia i gesty? A może wystarczył nos, by człowiek nie zapomniał? Wokół unosił się zapach mocno palonej kawy, której zażył sobie pan domu, oraz ciepłego mleka i czekolady, a szczególnie intensywnie pachniało musem śliwkowym przygotowanym przez Josephę. Doprawiała go nie tylko, jak większość gospodyń, cynamonem, lecz także zielem angielskim, anyżem i szczyptą gałki muszkatołowej. Mus śliwkowy Josephy z pewnością miał wyjątkową moc przywoływania wspomnień. Otto był przekonany, że zapamięta ten zapach. Gałka muszkatołowa, nakazywał swej pamięci. I nie zapomnij o goździkach. Przeraził się, spostrzegłszy, że zaczął lekko poruszać ustami.

Na owalnym stole nakrytym zielono-białym obrusem w kratę stał żółty dzban ze stokrotkami. Zabrakło przy nim ojca, nikt jednak nie zwrócił uwagi na puste krzesło. Wszyscy młodzi Sternbergowie zawczasu nauczyli się, że przy śniadaniu nie należy zadawać niepotrzebnych pytań. Pani Betsy wygładziła czoło dwoma palcami. Jej dzieci wymownie spojrzwały przez okno. Anemiczne ruchy matki sygnalizowały, że boli ją głowa i chciałyby chwilę odpocząć.

Przez moment w jadalni było tak cicho, że usłyszeć dało się każdy dźwięk dobiegający z ulicy: stukot końskich kopyt o asfalt, silne trzaśnięcie biczem, gniewnego dorożkarza, klakson trąbiący niczym parowiec we mgle, wrzaskliwe dzwonienie rowerów, głośne okrzyki radości chłopców, rozdierający serce lament dziecka z wymyślanego przez wrzeszczącą matkę od podłych bachorów, równe tempo żołnierskich oficerów, nieznaną jeszcze piosenkę marszową, na której dźwięk Clara zaczynała przebierać nogami, a potem znów jakieś auto. Tym razem nie zatrąbiło, z łoskotem wjechało w krawężnik.

– Tuman – wybąkał Erwin – durny. – Do czysta otarł usta grzbietem dłoni. Wicherek z tyłu głowy, przez który nigdy nie wyglądał tak, jak chciałby tego ojciec, był tamtego poranka wyjątkowo niesforny. Chłopak trzymał na kolanach zbiór ćwiczeń z łaciny, ale w głowie, sam wiedział to najlepiej, nie miał nic, co w powszechnie panującej opinii surowych pedagogów oraz marudnych ojców uczeń piątej klasy gimnazjum mieć powinien. Drugi syn Johanna Isidora sprawiał wrażenie, co także odpowiadało miejscu oraz okolicznościom, zaganianego, nieszczęśliwego i z lekka drażliwego. Clara, już w drodze do pełnego rozkwitu, miała jak zwykle starannie ułożoną fryzurę, lecz wyglądała odrobinę zbyt elegancko w kremowej bluzce z długimi rękawami. Sprawiała wrażenie, jakby zupełnie przypadkiem dołączyła do tego siedzącego przy stole towarzystwa. Dystans do świata oraz nawyk lekkiego uśmiechania się w każdej sytuacji życiowej dziewczyna przejęła od opiekunki Victorii, Francuzki. W trakcie badeńskich

wakacji Sternbergów wyjechała ona do Bretanii wraz z nową spódnicą pani Betsy z żółtego jedwabiu i nie dała odtąd znaku życia.

Poranna rutyna, która po raz ostatni zapewniała pierworodnemu synowi Sternbergów schronienie w zaufanym otoczeniu, nie mogła trwać w nieskończoność. Pozostało mu już tylko trzydzieści minut dotychczasowego życia. Otto Wilhelm Samuel Sternberg, chłopak osiemnastoletni, który nie potrafił jeszcze zarobić na własne utrzymanie, aż dotąd otoczony najlepszą opieką bliskich i rozpieszczony przez tradycję, która tak długo, jak to możliwe, łańcuchami miłości przykuwa synów do domu rodzinnego, w przyszłości miał zostać sam na sam z życiowymi imponderabiliami. Te życiowe imponderabilia przeistoczyły się jednak w wojenną rzeczywistość. Chłopak, którego to właśnie czekało, stłumił westchnienie. Smutek, który poczuł, był mu początkowo nieznany i drażnił, jednakże pod koniec posiłku przytłaczał go tak mocno, że kręciło mu się w głowie. Zaczęło go trochę mdlić. Anglia, Francja, Włochy, Rosja, wyliczał przyszły bohater, trzymając przy ustach filiżankę kawy. Po cóż latami uczono go języka wrogów, dlaczego zawczasu nie dowiedział się, jak z chłopca stać się mężczyzną, jak walczyć, zwyciężać i nie lękać się śmierci?

– Co strzał, to Rusek, co cios, to Francuz^[14] – wydekłamała Victoria. Od zawsze potrafiła czytać w myślach.

– A gdzieś ty to usłyszała, Vikusiu?

– Od pani Bender, naszej nauczycielki gimnastyki. Potrafię dużo więcej. Mam mówić dalej?

– Nie – odparła pani Betsy. – Nie wypada opowiadać takich rzeczy przy śniadaniu.

Duma rodziny Sternbergów, Otto, któremu ojciec zazdrościł, że właśnie jego ojczyzna potrzebowała, i na którym spoczywały nadzieje rodziców oraz wszystkich krewnych, nie miał siły Achillesa ani niemieckiego dębu. Zawsze był wątłej postury, a i teraz pozostawał niższy i drobniejszy od swoich rówieśników. Dłonie miał smukłe i drobne, palce zręczne jak kobieta. Potrafił rozplątywać supły, pleść warkocze, wiązać kokardy i ubierać lalki Victorii. Na stopy naciągał buty w rozmiarze czterdzieści, łydki miał szczupłe niczym dziewczynka, ramiona – jeszcze chłopięce. Podczas zajęć z gimnastyki nie potrafił wspiąć się po linie ani przeskoczyć przez koziół, w stanach napięcia nerwowego często bolał go brzuch. Te dolegliwości męczyły go również w dniu jego przeznaczenia. By złagodzić ucisk, Otto usiadł prosto niczym świeca. Zaplótł palce u rąk – już od dawna zwykł tak robić, gdy chciał się uspokoić. Knykcie przeświecały na biało. Czy i matka słyszała, jak waliło mu serce?

– Czemu tacie zawsze wolno wychodzić z domu bez śniadania, a mnie nie? – marudziła Victoria.

– Musiał wyjść bardzo szybko – odparła pani Betsy. – Jedz wreszcie tę bułkę. A może chcesz przyjść do szkoły jako ostatnia, żeby wszyscy cię wyśmiali?

Otto spostrzegł, że oczy matki były zaczerwienione, ale nie tylko to wprowadziło go w konsternację. Jej głos zdawał się zniecierpliwiony jak nigdy i brzmiał mechanicznie, niczym u mówiącej lalki. Ottona naszyły pierwsze wątpliwości. Czy sprawy naprawdę przybrały taki obrót, jaki zaplanował, a może wzgląd na innych, jego cała zmyślna strategia, powodowane miłością kłamstwo, jego przezorność i baczenie były tylko nieskutecznym kamuflażem, nadaremny wysiłkiem? Może matka jednak o wszystkim wiedziała? Nigdy nie dała się wprowadzić w błąd. Czuła to, co powinna wiedzieć. Otto sam sobie wydał się żałosny, czuł się jak gracz, który postawił ostatnie pieniądze na niewłaściwą kartę.

Rozeźlony nieporadnie rozkładał bułkę. Przyglądał się jej tak, jak patrzy na oskarżonego sędziego, który

zbyt długo musi czekać na wyjaśnienia. Z mocno zaciśniętymi zębami Otto ułożył połówki bułki na talerzu symetrycznie względem noża. Byłe nie podnieść wzroku, byłe nie spojrzeć na matkę, kobietę o instynkcie psa tropiącego, nie wzbudzić jej podejrzliwości, a przede wszystkim nie zdradzić się wyrazem twarzy. Kawałek po kawałku Otto rekapitulował ostatnich dwanaście godzin.

Minionego wieczoru z purpurową twarzą, jękając się, poprosił ojca, by następnego ranka wcześniej wyszedł z domu. Powiedział, by zasłonił się ważną naradą, zabrał firmowe dokumenty, korespondencję, po prostu udawał, że dziewiętnasty sierpnia to dzień jak każdy inny. Bez pożegnań, wielkich słów, byłe tylko nie mówić nic matce.

– Inni – wyjaśnił ojcu Otto i starał się wówczas wyglądać dojrzałe – też tak robią.

– Zawsze to mówiłeś, mój synu. Inni też dostawali mierną ocenę z klasówki z łaciny. Pamiętasz jeszcze? Inni też nie rozumieli zadań z matematyki, wszyscy mogli za to wracać do domu o jedenastej w nocy i przesiadywać samotnie w kawiarniach.

– Już przecież nigdy tak nie powiem – przypomniał ojcu Otto i obaj się roześmiali, głośno niczym dwóch gagatków i rubasznie jak furmani rozwożący piwo. Owego ostatniego wieczoru śmiali się jak mężczyźni, jak kompani. Do broni! Na koń, na koń! Spoglądali na siebie radośnie, bez spodziewanej w takim momencie łagodności i melancholii. Właśnie tamtego ostatniego wieczoru dotarło do nich, czym może być miłość między ojcem i synem, której życie nie dało im zaznać.

Doświadczali tego wszyscy, których wybrano na bohaterów. Żadnych objęć, żadnych ostatnich słów, żadnych matczynych łez, żadnego sentymentalizmu ani ckliwości romantyków i ludzi maluczkich. Żadnych pocałunków przy bramie, żadnych pożegnań na peronie. To wszystko nie było właściwe dla człowieka z wykształceniem klasycznym i poczuciem godności. Jemu wystarczył męski uścisk dłoni.

– Wmawiam sobie po prostu, że wyjeżdżam na studia do innego miasta – powiedział Lutz Finkelstein. Nie przewyższał Ottona wzrostem, był jednak najlepszy z łaciny i greki i najlepiej zdał maturę. Chciał zostać pediatrą, jak ojciec, ale przedtem – goliatem z Frankfurtu, któremu na lekcjach łaciny wpojono, że słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę.

Od dziesięciu dni również Ottona dotyczył magiczny zwrot „pobór do wojska”. Zarówno lekarz wojskowy, zdumiewająco podobny do cesarza, jak i jego zwierzchnik, mężczyzna z okaleczoną lewą ręką, uznał stan fizyczny ochotnika wojennego Sternberga za nienaganny, a jego samego za zdolnego do służby i zdatnego do wcielenia do armii od zaraz. Chłopak, który miał być bohaterem i który przysiągł sobie, że do kresu dni cesarza z dumą i odwagą nosić będzie mundur, w ostatniej godzinie swego cywilnego życia poczuł zaniepokojenie, które przeszło go dreszczem. Zawstydziała go ta niepewność. W przerażającej chwili, w której zmierzył się z samym sobą, pozazdrościł ojcu, jemu bowiem wiek oraz sfatygowane stawy oszczędziły odwiecznej obawy mężczyzn, że mogą zawieść i okazać się o wiele słabsi, nie tak odważni jak pozostali.

Otto zatarł ręce. W sierpniu, w gorący letni poranek, palce miał zdrętwiałe od zimna. Czyż nie był zawsze pierwszy, który jesienią przychodził do szkoły w rękawiczkach i w długich wełnianych skarpetach? „Nasz chłopczyk, żydowski maminsynek. Zostawcie mu czapeczkę. W przeciwnym razie odpadną mu uszeta. Biegnij, chłopczyku, biegnij. Dzieci Izraela zawsze biegły”. W jego głowie rozbrzmiał głos Petersena. Ów chłopak zawsze z wielkim trudem otrzymywał promocję do następnej klasy, był jednak ulubieńcem wszystkich, nauczycieli również.

Wraz z Petersenem z czeluści dawno już wypartych strachów powróciło dawne dziecięce pragnienie Ottona, by wczłogać się pod stół i tam skurczyć do rozmiarów krasnala. Chciał naciągnąć na głowę czapkę niewidkę i na zawsze zniknąć z życia ludzi żądających od niego, bezbronego chłopca, odpowiedzi, których ten nie był w stanie udzielić. Mimo to owego przełomowego dnia strach trwał krótko. Otto uniósł głowę, podobnie jak wojownik Siegfried^[15], wspaniały, dzielny i niezwyciężony. Także młody rycerz Sternberg zawierzył przyszłości, i tak jak niegdyś w Siegfriedzie, nie było w nim sceptycyzmu.

Predestynowany na obrońcę ojczyzny chłopak jednym ruchem odciął czubek jajka. Duże, brązowe, wróżące zdrowie jajo podano w srebrnym kieliszku z łyżeczką z rogu, by nie ucierpiał jego smak. Duchowy brat Siegfrieda, gotów, by iść w bój o honor Niemiec, nie zastanawiał się, dlaczego w zwykły powszedni dzień jako jedyny dostał jajko, choć przecież jajka jadano wyłącznie w niedzielę. Wyprężył pierś, ramiona rozpostarł niczym Atlas, który na barkach dźwigał świat, i uśmiechnął się. Nawet jeśli miał to być jego ostatni posiłek przed straceniem, to chłopak nie należał do tych, którzy popuszczają cugli. Przeznaczenie wzywało go, by dokonał niemożliwego. „Wszyscy jesteśmy niemieckimi braćmi” – powiedział w Berlinie cesarz, który od pierwszego sierpnia nie znał już partii ani wyznań.

Cesarski rekrut odłożył łyżkę na obrus. Lekko zahaustał się na krześle. Kto odważyłby się mu tego zabronić? Nikt już nie kazał temu wiercipięcie wstawać od stołu, nie okrywał go wstydem i hańbą. Nikt mu nie zabraniał wkładać noża do maselniczki, oblizywać łyżki do marmolady, a po posiłku nie nakazywał porządnie złożyć serwetki.

– Nie wstaniesz, żeby się z nami pomodlić, Otto?

Spojrzenie tego, który rozmarzył się w nieodpowiednim czasie i miejscu i zapomniał dla Boga zeskoczyć z krzesła, wędrowało od parkietu po sztukaterię na suficie. Rozglądał się dookoła, długo, wnikliwie i w taki sposób, jakby musiał złożyć meldunek o tym, jak przed wojną, którą już wtedy określano jako wielką, żyło się w domu porządnej niemieckiej rodziny.

Otto, który dzień wcześniej był jeszcze chłopcem z palcami usmarowanymi atramentem, nieponoszącym odpowiedzialności za własne życie, a teraz stał się już mężczyzną w momencie przełomowym, tuż przed nowym początkiem, taksował wzrokiem każdy kąt i każdą wnękę, zaglądał pod stoły i za firany. Jego umysł skrupulatnie wszystko rejestrował i składał duszy meldunki. Przytłaczała go mnogość zdarzeń, oszałamiało go to, co zdawało się pojawić dopiero teraz. Przecierał oczy niczym zdumione dziecko, usta otwierał szeroko jak głupiec, który niczego nie pojmuje, a na koniec sam nie był pewien, czy śni, czy może stał się już Odyseuszem, który dopiero po dwudziestu latach powrócił do ojczyzny, do żony, dziecka i psa.

Ten bohater był jednak także niemieckim synem, któremu ojciec o skroniach przyprószonych siwizną zazdrościł siły młodości. Przecież ojczyzna mogła mieć pożytek jedynie z jego syna. Właśnie jemu wręczyła broń, która wrogów Niemiec miała nauczyć trwogi. To Otto, a nie jego odnoszący sukcesy, pewny siebie, wszystkowiedzący ojciec miał z wojny powrócić z gwiazdkami oficerskimi oraz orderem za odwagę. Miał wrócić do matki, która będzie mieć łzy w oczach, i tegoż ojca, który w końcu pojmie, jaka siła i upór drzemią w jego pierwotnym. A Josepha, która rozpieszczała jego młodszego brata Erwina tak, jakby był jej własnym synem i księciem Arkadii w jednej osobie, nikogo poza powracającym do domu bohaterem nie dopuści do babki z rodzynkami namoczonymi w rumie. „Zabieraj te ręce,

Erwinie, ciasto jest wyłącznie dla mojego chłopca” – powie.

Gdy Otto sporządzał bilans swego życia, które sześćdziesiąt minut później miało być jedynie wspomnieniem, jego skóra gorzała, w głowie buzowało. Ręce trzymał pod stołem, wzdłuż ud. Strzelił obcasami i otworzył oczy tak szeroko, że aż poczuł ucisk w oczodołach. Odkrywał meble i obrazy, których nie znał, a następnie wychwytywał zapachy, których jego nos nie potrafił niczemu przyporządkować. Otto, z honorami zwolniony z bycia dzieckiem, zwilżył usta. Wyczuł słodycz, która odurzyła wszystkie jego zmysły. A może była to ta zwodnicza słodycz, która jest nieodłącznym elementem pożegnania? To właśnie przed nią ostrzegał go Theo. Czy wrażliwy towarzysz życia Ottona, którego nic, a już na pewno nie słowa chełpliwych ludzi, nie mogło wprowadzić w błąd, wiedział więcej, niż chciał powiedzieć? Dlaczego zabrakło czasu, by postawić ostatnie pytanie?

Od kiedy szeszlony na lwich łapach miał niebieskie obicie? Czy w przejściu do ogrodu zimowego zawsze stał ten stołek w polne kwiaty, skąd pochodzi ta różowa konewka i kiedy odnalazł się ten mały czerwony wiatraczek? Starszy, życzliwy, zawsze cierpliwy brat za pradawnych czasów beztróskiego dzieciństwa skonstruował go dla młodszej siostry, która zachorowała na odrę i dostała czerwonej wysypki. „Nie płacz, Victorio, mój wiatraczek przegoni cały ból. Musisz w niego tylko dmuchnąć”.

Pełen niepokoju i bezradny młodzieniec, który właśnie miał zamiar ruszyć na podbój świata, który pachnieć miał jedynie oparami siarki oraz potem odważnych mężczyzn, zastanawiał się, czy pozostali, którzy znaleźli się w takiej sytuacji jak on, czuli się podobnie. Czy pożegnanie oznaczało opuszczenie ojca, matki, brata i sióstr po to, by narodzić się na nowo? Wojna jest ojcem i królem wszechrzeczy. „Sternberg, na jutro sto razy przepiszesz to piękne zdanie Heraklita. To oduczy cię gapienia się przez okno na lekcji historii”. Przez resztę swojego życia Otto Sternberg nie będzie już musiał żadnego zdania przepisywać sto razy. Nigdy więcej prac, obowiązku szkolnego ani zginania grzbietu przed pedagogiczną władzą zwierzchnią. Nie był już uczniem, był gotowy uczyć się w jednej tylko szkole, w szkole patriotyzmu.

– Otto, gdzie ty tak błędzisz myślami? – zapytała matka. Zadała to pytanie, choć znała odpowiedź. Wystarczył jej rzut oka na pokój syna, spojrzenie na twarz męża, zanim ten wyszedł z domu w takim pośpiechu, jakby goniły go wszystkie furie.

– Gdzie miałbym błędzić? – odparł wymijająco syn. Spakowanie w nocy tornistra i schowanie go pod łóżkiem było dobrym pomysłem, pochwalił sam siebie ten, który miał się za mądrego, rozważnego i już w tamtym momencie uważał się za bohatera.

– Nie zjesz bułki, Otto?

Szklana pszczoła rozpościerała brązowe skrzydełka na wieczku musztardowego garnka z miodem. Czy zaledwie dzień wcześniej Victoria nie obwieściła ustami czerwonymi jak truskawki, że pszczoła ma na imię Maja i należy do świty królowej Heleny VIII? Śliczniutka panienska Sternberg o błyszczących oczach, ulubienica wszystkich starszych ciotek i dobrotliwego wuja z zegarkiem na złotym łańcuszku i lśniącymi wąsami, skończyła niedawno sześć lat. W prezencie urodzinowym od ciotki Jettchen, która zawsze była na bieżąco, jeśli chodzi o literaturę dla najmłodszych, ponieważ sama chętnie ją czytała, dostała dopiero co wydaną piękną książkę Waldemara Bonselsa. Nawet Otto, który już wtedy był niezwykle zaprzątnięty tym, by dorosnąć szybciej niż pozostali chłopcy, przeczytał swojej młodszej siostrze jeden rozdział na głos.

– Jak nazywał się ten jadowity pająk? – zapytał, bo w zamyśleniu nie zdołał na czas umknąć mackom przeszłości.

– Tekla – odpowiedziała Victoria. Mlaskała, uśmiechała się szeroko i ani trochę się nie zdziwiła, że jej starszy brat przy śniadaniu nawiązał do Mai, choć przecież palił już papierosy, a podczas obiadu sam mógł nakładać sobie jedzenie z półmiska z warzywami i nigdy nie musiał jeść szpinaku. Księżniczka Victoria była zadowolona jak nigdy, bo przecież jako jedyna przy stole potrafiła odpowiedzieć na pytanie swego bystrego, dorosłego brata.

Uroczy słoć do miodu przywieziony z Pforzheimu, który swego czasu wywoływał też zachwyt Betsy oraz jej rodzeństwa, wyjmowano z kredensu przeważnie dopiero w połowie września. Jabłkami i miodem witano wówczas żydowski nowy rok i życzone sobie, aby okazał się słodki. Otto pomyślał, że może przedwcześnie pojawienie się szklanej pszczoły jest omenem, wskazówką losu, że on, rekrut Otto Sternberg, nie będzie w tym roku świętował Rosz Haszany z rodziną, chwila ta nie trwała jednak wystarczająco długo, by mogła naprawdę spowodować niepokój. Potrząsnął głową. Wmówił sobie z mocą, że przesady nie są odpowiednim towarzyszem drogi dla niemieckiego mężczyzny. – Nie – powiedział. Mówił tak cicho, że nikt go nie usłyszał, ale serce i tak waliło mu jak młotem.

Na małym drzewku pomarańczowym na parapecie ogrodu zimowego rośło siedem jędrnych, połyskujących w porannym słońcu owoców. Towarzyszyły mu dwie bujnie kwitnące, czerwone begonie. Na kwietniku obłożonym kaflami z Delftu stała zwodnica, której niebieskie kwiaty budziły w sercu otuchę. Zakwitła nawet fioletowo i dufnie roślina o szpetnej nazwie wymion, pilnie strzeżona przez ogrodowego krasnala w stożkowatej czapce i w zielonym fartuchu. Erwin życzliwie przemycił tu skrzata w garnku, by pocieszyć szlochającą młodszą siostrę. Z powodu jej rozzuchwalenia skarcono ją jak pospolitego łobuza.

Okna w salonie były otwarte. Świeżo wyprane tiulowe firany nadymały się niczym żagle. Dwie muchy w ostatnim momencie umknęły kołyszącej się fali czystości i skrobi ziemniaczanej. Cytrynowy zapach unosił się w powietrzu i płynął w kierunku stołu, na którym stały żółte kubki na mleko, z porcelany z Limoges. Kolorowy szklany dzban w chabry stał na angielskim okrągłym stoliku z masywnym blatem i filigranowymi metalowymi okuciami, które pewnego razu, jako dziecko, Otto, komendant wszystkich ołowianych żołnierzyków od Flensburga po Jezioro Bodeńskie, odkręcił, ponieważ potrzebował mostów dla swej kawalerii.

– Chabry – powiedziała ciotka Jettchen jeszcze poprzedniego dnia, czym wywróciła historię Prus do góry nogami – to ulubione kwiaty naszej czcigodnej królowej Luizy.

Otto uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, że nikt cioci nie poprawił ani się nie zaśmiał. Nawet Clara, mądrała po wsze czasy, po trzech surowych upomnieniach pojęła, że starsi ludzie mają niezbywalne prawo do wolności od niewyparzonych języków młodzieży. Na miejscu Johanna Isidora, którego nie mógł zająć nikt poza nim, siedział czarny pluszowy królik z czerwoną wstążką na szyi. Otto mocno zacisnął powieki. Czyżby jęknął? Starał się prawie nie oddychać, by nie rozpraszać myśli jeszcze bardziej. Nie tak dawno przeczytał imponującą rozprawę o zagrożeniach płynących z sentymentalizmu. Pomimo to przemógł się, by zebrać obrazy, które na obczyźnie przypominać mu będą o rodzinnym domu i mieście.

Josepha, lekko wysunąwszy brzuch, jak co rano stała w drzwiach, w ręce trzymała dzbanek z kawą.

Był seledynowy, ozdobiony malunkiem skaczącego jelenia. Otto, który tuż przed wakacjami musiał napisać wypracowanie o Gottfriedzie Kellerze, przypomniał sobie wers wiersza: „Pijcie, oczy, co się strzymać da”^[16]. Poczł ból, który zdawał się ostrą siekierą rozłupywać jego ciało. Był jeszcze zbyt młody, by wiedzieć, że to melancholia nim wstrząsnęła. Oczy skrzyły się gniewem. Nie nawykł do spotkań z literaturą, czuł się bezbronny i wykpiiony.

– Otto, jeśli nie wypijesz w końcu mleka – powiedziała matka – zrobi się kożuch i jak zwykle wszystko zostawisz. Jest wojna, nie można sobie już na to pozwolić. – W jej głosie zabrzmiała zwykła, codzienna przygana, jakby życie toczyło się jak zawsze. Tym razem to czoło Betsy gorzało.

– Pozwolić – zaskrzeczała papuga ciotki Jettchen.

– Twoje mleko ma już nawet gęsią skórkę – zameldowała Victoria. Chichotała, trzymając przy ustach kubek, ponieważ widziała wszystko, co umknęło pozostałym, i dzieliła z Ottonem tajemnicę. Aby jej sukienka i błękitny fartuszek zachowały nieskazitelność aż do rozpoczęcia lekcji w szkole, musiała się pod szyją zawiązaną wielką, białą serwetkę z adamaszku, zupełnie jak za najwcześniejszych dni dzieciństwa. Czyniła ona twarz dziewczynki jeszcze mniejszą i bardziej spiczastą niż była i tak. Oczy wydawały się duże, ciemne i smutne.

W pamięci Ottona wryły się właśnie te oczy młodszej siostry. Nie wiedział jeszcze, że ich wspomnienia nie da się już wymazać. Zasmuciło go, że robił sobie wyrzuty właśnie w tę ostatnią godzinę, którą spędzić mógł z najbliższymi. Czy nie zbyt rzadko zajmował się Victorią? Czy on ją w ogóle znał? Była tak inna, tyleż bardziej sympatyczna niż bliźniaki. Erwin i Clara nie dopuszczali do swego życia osób trzecich. Od samego początku, jeszcze jako niemowlęta w podwójnym wydaniu, wystarczali sobie nawzajem. Czworo oczu, dwadzieścia palców i każdy ząb powodowały u mamy okrzyk radości. U Josephy również! Nawet jako trzylatki nie rozumieli słówka „ja”. „Musimy iść do łazienki”, meldował Erwin, a gdy starszy brat choćby dotknął któregoś z nich, Clara wrzeszczała: „Otto nas uderzył”. Ach, jakież one urocze, te szkraby! Po prostu do schrupania. A ty jesteś przecież starszym bratem, prawdziwym małym mężczyzną. Musisz być dżentelmenem i pozwolić malcom bawić się swoimi rzeczami.

Otto się wzdrygnął. Jeszcze czternaście lat później wzdrygał się na to wspomnienie i czuł, że pozbawiono go dziecięcego szczęścia, na które składała się miłość rodziców i poważanie dorosłych. Spojrzał na bliźnięta, które nigdy nie dowiedzą się, że w godzinę pożegnania starszy brat zazdrościł im szczęścia podwójnych narodzin. Nikt nie przypuszczał, jak często Otto myślał o Kainie i pragnął mieć odwagę i stanowczość biblijnego bratobójcy. Czy kainowe znamię nosili na czole i ci, którzy nie wyciągnęli noża z pochwy?

Otto wlepił wzrok w białą zasłonę z koronkowym rantem. Tak wyobrażał sobie całun, biały, bez początku ani końca. Czy była to nieskończoność? A może nicość. Szkoda, że zabrakło czasu, by porozmawiać z Theem o uczuciach, które podstępem nachodzą mężczyznę i zamęczają go, zanim ten odda pierwszy strzał. Koszmar rozpoczął się tak niewinnie, tak zwyczajnie i spokojnie – od pluszowego królika i czarnych niczym węgiel oczu Victorii.

Otto począł zapewniać małą, że tak naprawdę pije kawę jak mężczyzna, a nie mleko jak chłopiec, ale szybko się z tego wycofał. W tych ostatnich chwilach, które mu pozostały, zanim zostawi za sobą dzieciństwo, to niewinne spiskowanie z młodszą siostrą nie wyszłoby na dobre ani jemu, ani jej.

– Uważaj, byś uniknął całego tego drobnomieszczańskiego ceremoniału pożegnalnego – powiedział Theo dzień wcześniej. O dziesiątej wieczorem, wywiedzeni w pole przez świetliki, siedzieli na ławce przy alei Günthersburga i debatowali nad ostatecznymi sprawami ludzkości. Światowcowi Theowi łatwo było obserwować wszystko z dystansu. Z powodu przebytej w dzieciństwie choroby płuc tymczasowo odroczonego mu służbę wojskową, ponadto fotografowie, jak się wywiedziało, wkrótce mieli ponoć zostać powołani do zadań specjalnych.

– Matki – dowodził Theo – da się łatwo wyprowadzić w pole i oszczędzić im niepotrzebnych zmartwień. Wystarczy tylko trochę wziąć się w garść i można trzymać je z dala od tego rozgardiaszu. Matki wierzą przecież tylko w to, w co chcą wierzyć. Zawsze tak było. Pomyśl tylko o matce miłościwie nam panującego. Posadziła chłopca ze szpotawą ręką na jakiejś chabcie i naprawdę myślała, że z tego słabowitego młodziana będzie cesarz.

Co Theo mógł wiedzieć o matkach? Jego matka zmarła, gdy miał sześć lat. Nigdy nie doświadczył matczynego strachu, intuicji, bezsilności ani siły. W nocy, gdy Otto przygotowywał się do pożegnania, Betsy Sternberg nie umknął żaden dźwięk dochodzący z pokoju syna. Słyszała każde jego westchnięcie. Jej serce szalało z rozpaczy, ale rozum działał jak zwykle i zabraniał jej bólu i łez. Ze mną nie pójdzie tak łatwo, drogi chłopcze. Żadne z moich dzieci nie wywiedzie mnie w pole. A twój ojciec jeszcze nigdy nie zdołał mi niczego wmówić.

Gdy zakradła się do pokoju syna, ten siedział przy stole nakrytym do śniadania. Do szarego tornistra, na którym niegdyś starannie wypisała atramentem nazwisko ucznia piątej klasy gimnazjum Ottona Wilhelma Sternberga, spakowała chleb, kiełbasę, ser, ugotowane na twardo jajka i cały zapas ucieranego ciasta Josephy. Do białej koperty włożyła agrafki, guziki do spodni raz krótki list, napisany na kremowym papierze czerpanym z monogramem Johanna Isidora. Matka błagała w nim, by Otto bardzo na siebie uważał; słowo „bardzo” podkreśliła dwukrotnie. Dodała, by na front zgłosił się dopiero, gdy będzie już zaznajomiony z okolicą, by wieczorem nie zapominał o płukaniu gardła i zawczasu cerował skarpety, bo „jeśli dziury zrobią się zbyt duże, to skarpet nie da się uratować”.

„Myślami – dodała Betsy – dzień i noc będę przy tobie, mój synu. Spakowałam ci tałes^[17] i tefilin^[18]. Twój błogosławionej pamięci dziadek życzyłby sobie tego. Zawsze powtarzał, że Żyd nie wyrusza w daleką podróż bez tałesu i tefilinu. Kto wie, mawiał, gdzie się spotka Boga”.

Podczas śniadania pani Betsy zauważyła oczywiście, że jej najstarszy syn zamiast mleka z trzema łyżeczkami cukru pił czarną kawę. Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, dlaczego nie tknął bułki. Widziała, że Otto, owo duże dziecko o przerażonych oczach, był niesamowicie błądy. W każdym jego oddechu słyszała to, co chciał przed nią zataić. Jakże mogłoby jej umknąć, że właśnie nadeszła godzina rozstania, której obawiała się od wielu dni? Otto siedział przy stole w marynarce z grubego materiału i jasnoszarych pumpach. O co matka powinna była wtedy, dziewiętnastego sierpnia, zapytać syna: czy wybiera się na przejażdżkę rowerową, pieszą wędrówkę, a może jest umówiony z kolegami ze szkoły? Albo też wyrusza na coroczną wycieczką do Königstein? Lub na piknik na przełęcz Fuchstanz? Nie było już pytań, które mogła zadać, nie pozostało już nic do powiedzenia.

Na małym stoliku w przedpokoju leżała brązowa czapka z daszkiem, którą Betsy wiosną zabezpieczyła środkiem na mole. A pomiędzy skarpetami i podkoszulkami Ottona, na dnie tornistra, spoczywała żółta broszurka wydawnictwa Reclam. Na jej okładce występna ręka Erwina wieki wcześniej namalowała

siedzącego na nocniku Goethego z dziecięcą trąbką w ręce i w tyrolskim kapeluszu na głowie. Wywołało to potężną reprimendę od ojca i potężny zatarg pomiędzy braćmi. Pani Betsy znalazła także i tę książeczkę, ponieważ jak każda kobieta, która martwi się o swoje dziecko, poczytywała ciekawość za matczyny obowiązek.

– Weź ze sobą *Fausta* – radził Theo. – Z *Faustem* pod ręką zapewnisz sobie beztruską przyszłość. Będiesz przygotowany na każdą życiową sytuację. W ostatnich dniach wciąż słyszałem to od ludzi, którzy wyruszyli na wojnę. Również od tych – uśmiechnął się szeroko – którzy nawet nie potrafią czytać.

– Ech, Theo. Nie mogę sobie jeszcze wyobrazić życia żołnierza. Tylko jednego jestem całkiem pewien: nigdy już nie przeczytam *Fausta*.

– Wszelka, mój bracie, teoria jest szara^[19].

Otto nie rozpoznał cytatu. Goethe był mu równie obcy jak Karol Wielki czy twierdzenie Pitagorasa. Jego, osiemnastoletniego mężczyzny, nikt już gnębić nie będzie. W każdym razie na pewno nie szkoła. Od ósmego sierpnia tego cudownego tysiąc dziewięćset czternastego roku młody Sternberg, przed wakacjami jeszcze uczeń przedostatniej klasy w Gimnazjum Klasycznym imienia Cesarza Fryderyka we Frankfurcie nad Menem, któremu ani jeden nauczyciel nie wróżył pomyślnej przyszłości, nie chodził już do szkoły. Pożegnany został z honorami i najlepszymi życzeniami całego grona pedagogicznego. Ottona Sternberga, którego duma, odwaga oraz pilność stłamszone zostały już pierwszego dnia szkoły, ponieważ nie potrafił wówczas jeszcze stać spokojnie, przeniesiono z przedostatniej do ostatniej klasy. Następnie śpiewając zdał pisemną część przyspieszonej matury dla poborowych, a już następnego dnia – część ustną. Ochotnik wojenny Sternberg był zdumiony. Niemalże nie potrafił pojąć swego szczęścia, gdy spoglądał w lustro i widział bohatera, któremu odtąd wolno będzie podążać za wezwaniem ojczyzny. Jakaż magia tkwiła w słowach „ochotnik wojenny”, jacy serdeczni byli nauczyciele, jakie proste pytania. Egzaminowany nie pozostawił żadnego z nich bez odpowiedzi. W jednej chwili uwolniono go od wszelkich młodzieńczych utrapień. Na zawsze. Niemiecki nauczyciel nie zadreślał Tacytem i Homerem czy francuskimi czasownikami nieregularnymi bojownika o honor ojczyzny. Na cóż mężczyźni, który miał trzymać w rękach broń, potrzebne były wzory matematyczne, dlaczego miałby udzielać informacji o Schillerze czy cechach gleb w Marchii Brandenburskiej?

Wspomnienia o czasach szkolnych zaczynały już stawać się słodsze. Klasowa wycieczka do Wilhelmsbadu udała się wspaniale – był kwiecień, śnieg oraz łyk jałowcówki z butelki schowanej w kieszeni spodni. Na zdrowie, panie dyrektorze! Dziś uczniowie ostatniej klasy się urzną. Po kokardę i z powrotem. Czy oni wszyscy nie byli jednak sympatyczni, panowie nauczyciele gimnazjalni oraz dyro, brodaci doktorzy oraz jękające się karły, ci z poczuciem humoru, a pod koniec również ci bez niego? Przecież wszyscy oni robili, co mogli. Naprawdę byli przekonani, że w szkołach uczniowie pobierali życiowe nauki.

– Położę się na chwilę – powiedziała pani domu – nie wiem dlaczego, ale nie jestem się w stanie obudzić. – Ziewnęła głośno, by zamaskować kłamstwo. Bliźnięta wstały i zaczęły szeptać, nachyliły się do siebie tak blisko, że wyglądały, jakby były zrosnięte głowami. Victoria zerwała z szyi serwetkę. Spoglądała to za odchodzącą matką, to na Ottona. Właśnie w tym momencie przestała być dzieckiem. Później rzuciła się do biegu.

Josepha zniosła do kuchni bułkę, która pozostała po śniadaniu. Gdy Otto nakładał czapkę, do

przedpokoju weszła ciotka Jettchen. Ona też była matką. Również potrafiła patrzeć sercem. Poklepała po ramieniu wyruszającego w drogę wojaka. Ze spuszczoną głową poszła do ogrodu zimowego i zaczęła uczyć papugę zdania „Otto chce bagietkę”.

Stojąc przy kutej żelaznej bramie domu rodzinnego, przyszły wojownik spojrzał w górę. Miał nadzieję, że jeszcze raz zobaczy Thea, lecz dostrzegł jedynie Josephę, która stała w zamkniętym oknie salonu. Odsunęła tiulową firankę. Otto położył rękę na czapce. Przypomniawszy sobie żonę Lota, która zamieniła się w słup soli, gdyż obejrzała się za siebie. Szedł szybciej, niż zamierzał.

Mimo że miał się stawić na Dworcu Wschodnim, z przyzwyczajenia poszedł w dół Burgstrasse. W chwili, w której zauważył swój błąd, dostrzegł Victorię. Nie poszła prosto do szkoły, co każdego dnia surowo jej nakazywano. Z szeroko rozpostartymi ramionami, poczerwieniałą twarzą i przekrzywioną kokardą we włosach stała na jednej nodze przed domem na rogu Martin-Luther-Strasse. Z tornistra na żywopłocie wystawała mała gąbka do szkolnej tabliczki. W pierwszym momencie Otto pomyślał, że jego siostra wyczynia te same co zwykle błazeństwa, by z wyprawy do szkoły mieć choć trochę przyjemności, wtedy jednak zauważył, jak czubkiem nowego bucika turlała przed sobą kamień. Wiecznie nieposłuszna Victoria nie była sama. Bawiła się w niebo i piekło z rówieśnicą, jasnowłosą Mariechen, córką zduna Schmidta z Höhenstrasse. Żółtą kredą dziewczynki narysowały na bruku dziwne koła do gry w klasy – niebo pokryte było jasnoniebieskimi liniami, słońce w piekle miało czarny kolor, gwiazdy – krwistoczerwony. Victoria zbyt mocno kopnęła kamień. Wbrew zasadom poleciał do góry, a jednak wylądował w okręgu.

– Wygrałam! – stwierdziła sprytna bojowniczką. Rzuciła lewym butem w stronę wroga. – Co cios, to Francuz! – wiwatowała.

– Co kopniak, to Angol! – wrzeszczała Mariechen.

Dziewczynki założyły plecaki i złapały się za ręce.

– Co strzał, to Rusek – śpiewały, idąc do szkoły tanecznym krokiem.

Właśnie dzięki temu młody bohater, który jeszcze przed chwilą opuszczał rodzinny dom przejęty ogromnym smutkiem, w radosnym nastroju, z lekkim sercem wyruszył rażno na wielką wojnę.

ŁZAWIĄCE SERCA

Frankfurt, wrzesień – listopad 1914

W pierwszą niedzielę jesieni nad domem przy alei Rothschildów 9 przelatywały wielkie chmary jaskółek. Następnego dnia pani Minchen Berghammer powiedziała Josephie, która przegapiła to spektakularne widowisko, że ptasie wędrówki oznaczały niegdyś srogą zimę. Dodała, że warto jak najszybciej rozejrzeć się za kartoflami. Josepha pomyślała o dobrze zaopatrzonej piwnicy Sternbergów i odpowiedziała uśmiechem, którego pani Minchen nie potrafiła zinterpretować: „Zapobiegliwemu zima niestraszna”.

Heskie bociany nie miały zaufania do łagodnych wiatrów niemieckiego babiego lata. Zawczasu wyruszyły w podróż do Afryki. Trzy wspaniałe ptaki wypatrzone we frankfurckim Nordendzie. Jerzyki odleciały wcześniej, w klasie Victorii dzieci nie śpiewały już „Wszystkie ptaki już tu są”, lecz „Piękniejszego kraju niż ten nasz jak okiem sięgnąć, nigdzie nie masz”. W ogródkach przed domami kwitły purpurowe i fioletowe astry, dalej chełpiły się swymi ciężkimi główkami, przy ogrodzeniach rosły okazałe słoneczniki. W Ostparku dojrzewały przez nikogo niezasadzone jeżyny, a w ogrodach w dzielnicy Seckbacher owoce troskliwie pielęgnowanych śliw oraz pigw. Dzieci posyłano do gospód z dzbanami na wino. To w pierwszej fazie fermentacji, zwane młodym, było już gotowe. Mówiło się, że właściciele gospód będą je później sprzedawać – wraz z gotowym winem jabłkowym – w tej samej cenie co za czasów pokoju.

Na ziemię spadały dopiero pojedyncze liście, jesień jeszcze nie nastrajała melancholijnie. Tak jak za czasów pokoju była to pora cichych smakoszy uroków życia. Już na początku roku szkolnego Clara musiała nauczyć się wiersza Friedricha Hebbła *To jest dzień jesienny, jakiego nie widziałem!* Wróciła do domu rozgniewana. Ponieważ zarzucała nauczycielce niemieckiego oderwanie od rzeczywistości oraz niewystarczający entuzjazm do wojny, podczas obiadu wdała się w sprzeczkę z matką i miała jeszcze tupet, by powiedzieć: „Robisz się coraz bardziej drażliwa”.

Na balkonie pierwszego piętra kwitło jeszcze tylko kilka wyk, które zaspokajały tęsknotę pana domu za wiejskimi ogrodami z jego dzieciństwa. Serduszcze Victorii w donicy pomalowanej przez Ottona nie groziły wichury ani mróz. Przed każdym podmuchem wiatru magiczne kwiaty nocą chroniła osłonka z zielonej gazy, a za dnia troska Josephy nie dała im wyschnąć. Roślinę nawożono fusami z kawy oraz tajemniczymi błogosławieństwami z księgi zaklęć należącej do ciotki, która – czego matce wiedzieć nie było wolno – czytała ją Victorii. W słoneczne dni na balkonie stały już dwie klatki. Papuga popielata o imieniu Otto oraz ufny kanarek rozumiały się równie dobrze jak Erwin i Clara.

W dni powszednie tylko gazety przypominały o wojnie i niemieckiej ofiarności. Betsy wyłożyła je na

dwóch stolikach przy kanapie i skarżyła się na nieporządek. Ten, kto chciał porozmawiać z panem domu, prawie zawsze mógł go znaleźć za rozłożoną gazetą. Co niedziela jego żona uderzała jednak pięścią w stół. W sprytny sposób udawało jej się wynosić wszystkie doniesienia o heroicznej odwadze oraz sukcesach zwycięzców do gabinetu męża, któremu wytykała, że sam Bóg po stworzeniu świata potrzebował jednego dnia odpoczynku.

W niedzielne popołudnia u Sternbergów unosił się zapach harmonii i spokoju, kawy ziarnistej i świeżego ciasta. W srebrnej cukiernicy po babce z Pforzheim znajdowały się kostki cukru, obok niej leżały posrebrzane szczypcy, prezent ślubny od pewnej niezamożnej kuzynki. W jadalni na czerwonym pomocniku kuchennym stały okazałe filiżanki ozdobione wzorem bluszczu i szeroką złotą obwódką oraz trzypiętrowa srebrna patera na barokowych nóżkach. Jednakże owo cudo nie było już wypełnione, jak kiedyś, ciasteczkami petit fours ani czekoladowymi eklerkami od jednego z najlepszych cukierników we Frankfurcie, lecz, bądź co bądź całkiem udanymi, rożkami orzechowymi i małymi okrągłymi bułeczkami jabłkowymi. Te ostatnie pieczono z dodatkiem cynamonu, rodzynek oraz, czego pan domu nie mógł się dowiedzieć, odrobiną rumu, i dekorowano lukrem z dodatkiem kakao w proszku.

W magazynach dla wytwornych pań pisano, że jedzenie ciasta co niedzielę wcale zdrowe nie jest, a kobiety i dzieci, które będą go sobie odmawiać, winny czynić to chętnie i myśleć przy tym o żołnierzach na froncie, którzy przecież też nie mogli go jeść.

Ale właśnie dlatego, że Josepha myślała o pewnym żołnierzu, co sobotę zagniała ciasto, a rodzynek moczyła w rumie oraz wodzie różanej. Żadna wzmianka o wojnie nie była w stanie odwieść upartej kuchmistrzynie od myśli, że kanonier Otto mógłby niespodziewanie dostać na froncie urlop i nagle stanąć w drzwiach, a pomimo niedzieli w domu nie byłoby ciasta.

– Żołnierze nie pojawiają się w drzwiach nieoczekiwanie, ot tak – wyburczał pan domu o poranku, po raz kolejny, zniecierpliwiony i rozdrażniony bardziej niż zwykle. – Zwłaszcza teraz. Świat oczekuje od nas, Niemców, że spełnimy swoją powinność.

– Nigdy nie wiadomo. – Pani Betsy stanęła po stronie Josephy. – W końcu Otto nie odzywał się już całe wieki. Wskazywać by to mogło na kilka dni urlopu. Ja w każdym razie nastawiam się na niespodzianki.

O ósmej rano ta optymistka nie mogła jeszcze przeczuwać, że trzecia niedziela września rzeczywiście stanie się dniem niespodzianek – a także dniem prawdy. Prawdy, która nie weszła na arenę z wielką pompą, lecz po cichu zakradła się do stołu, przy którym sączono popołudniową kawę. Była sadystyczną zjawą i nad wyraz niemiłe widzianym gościem. Zdezorientowała wszystkich obecnych: najpierw zbiła ich z tropu, a potem odebrała mowę. Zarówno pan domu, jak i jego skołowana żona przez wiele tygodni nie zdołali pojąć, jak trwająca pięć minut rozmowa mogła wywołać tak potężną lawinę. Betsy nawet wiele lat później, już jako babcia, pamiętała, jak w tamtym momencie łomotało jej serce. Żywe pozostały każde spojrzenie i każdy gest, przede wszystkim jednak westchnienia, które tłumiała, a cóż dopiero słowa, których nie umiała powstrzymać. Czowała się jak ogłupiała kobiecina, nieporadna i stara, taka, która już na siebie nie zważa, ośmiesza się na każdym kroku i za którą wstyd jest jej własnym dzieciom. Gdy bezlitosna pamięć zmuszała ją, by na powrót przebyła tę drogę, Betsy słyszała głos Johanna Isidora. Wówczas, tak jak wtedy, wznosiła do nieba błagania, by natychmiast zmądrzał i zamilkł, on jednak ani nie zmądrzał, ani nie zamilkł.

Był to dzień kontrastów – idylla w alei, urzekające pastelowe kolory, przelot ptaków, chybotliwy wóz dożynkowy wysoko załadowany burakami cukrowymi – wszystko to stanowiło wesołe interludium przed sceną finałową. Na scenie siedziała dwójka głównych bohaterów: małżonkowie z dziewiętnastoletnim stażem, którzy przez cały ten czas nigdy jeszcze nie rozmawiali o swoich uczuciach i obawach, a którzy w tym momencie to właśnie mieli zrobić.

Gdy Betsy przywoływała w myślach tę rozmowę, zdawało jej się, że patrzy na zdjęcie. Twarz Johanna Isidora o wyrazistych rysach i jasnym spojrzeniu wykrzywiła się w jednej chwili. Naiwne zdziwienie mężczyzny, który od pierwszego dnia małżeństwa żył w stabilnym świecie opartym na obowiązku i umiejętności wykazywania się, w ułamku sekundy przerodziło się w zdumienie pełne niedowierzania, szczególnie przykre dla jego żony.

– Chyba nie mówisz tego na poważnie, moja droga Fritzi – powiedział Johann Isidor i natychmiast zamilkł, zdawszy sobie sprawę, że pomylił imiona. Kawa wylała się na spodek. Odstawił ją, ale ręka nadal mu drżała.

Betsy jeszcze nigdy nie widziała swego męża tak zmieszanego i bezbronnego. Wydał się jej jak rycerz pozbawiony zbroi, jeździec, którego noga wyslizgnęła się ze strzemienia. Johann Isidor, zawsze opanowany i z gotową odpowiedzią na każdą okazję, runął z postumentu. Siedział z na wpół rozchyłonymi ustami i zamiast spojrzeć na swoją żonę, zaplótł dłonie niczym jakiś ubogi młodzieniec, który nie ma odwagi prosić bogatego ojca o córkę. Wyglądał przerażająco, jak zalęknione dziecko i starzec zarazem.

Ów bohater, który właśnie przeżył bolesny upadek, doskonale wiedział – nie było co do tego cienia wątpliwości – że matka czwórki jego dzieci za chwilę wyciągnie z kołczanu śmiertcioną strzałę. Żadna żona, młoda ani stara, mądra ani głupia, nie przepuściłaby okazji, aby udowodnić mężowi niewierność.

W chwili, która przesądzała o wszystkim, Betsy przyszła jednak w sukurs przekorna mądrość, która od zarania dziejów umożliwia kobietom życie z wiedzą, iż mężczyźni są omylni, a ich pożądanie silniejsze niż przekonania moralne. Z poczuciem triumfu, które ją otrzeźwiło i umocniło, uświadomiła sobie, że nigdy nie zapyta Johanna Isidora, tego przykładowego męża i niezmiernie troskliwego ojca rodziny, o osobę imieniem Fritzi.

Dzięki jej milczeniu sprawy nadal miały się dobrze. Sternbergowie wciąż potrafili rozmawiać tak, że on nie robił się błądliwy, a ona się nie czerwieniła. Z biegiem lat przyzwyczaiła się do niedzielnych dyskusji o rzeczach, które nie powinny dotrzeć do uszu dzieci ani służby.

– Ciotka Jettchen wyszła – uspokoiła męża Betsy. – Nie musisz się tak lękliwie rozglądać dookoła. Nie wszystko, co teraz mówi, ma rzeczywiście na myśli. Gdyby była u siebie, już dawno temu bym ją zawołała, by pomogła mi się wykaraskać z tarapatów. W przeciwieństwie do twojej żony cioteczka potrafi świetnie robić na drutach.

Mimo że w młodości Betsy miała dwie nauczycielki robótek ręcznych i nawet babkę przekonała o swoich niewystarczających zdolnościach manualnych, zajęta była nabieraniem oczek. Robiła szary szalik. Każda porządna Niemka wyrażała wprawdzie przekonanie, że do Bożego Narodzenia wojna się skończy, ale większość przyjaciółek Betsy zawzięcie dziergała zimowe ubrania. Zarówno one, jak i ich dorastające córki, wszystkie bez wyjątku, wywijają drutami dla dzielnych żołnierzy cesarza. Myśl, że szal z drogiej angory oraz pokładów matczynej miłości mogłyby uchronić jej syna od wszelkich

wojennych opresji, sprawiała, że Betsy, która dla żadnego ze swoich dzieci nie potrafiła uszyć zwykłego kaftanika, robiło się ciepło na sercu.

– Będzie wyglądał jak królik – zawyrokował Johann Isidor. – Żydowski królik w szaliku od jidysze mame. Z tego, co wiem, angora nadaje się jedynie na dziecięce swetry oraz lizeski dla starszych pań.

Gdy sięgał po papierośnicę, jego twarz się zachmurzyła. Kosmopolitycznie brzmiące nazwy marek po wybuchu wojny zostały niezwłocznie zastąpione niemieckimi. Johannowi Isidorowi wydało się to niegodne narodu świadomego własnej wartości. Firmy produkujące papierosy okazały się szczególnie wierne ojczyźnie. Jako pierwsze przemianowano marki Manoli oraz Gabàty, nazwę Gibson Girl zamieniono na Wimpel. Nazwa Chic była francuska, Niemcy mieli mówić Wyborowe. Z angielskiego Dandy zrobiono niemieckie Dalli.

Akcesoria do palenia leżały na małym, specjalnie na nie przeznaczonym okrągłym stoliku. Naklejka na papierośnicy informowała, że ulubiona marka Johanna Isidora Duke of York zmieniła nazwę na Hrabia Yorck von Wartenburg. Pan domu wziął papierosa, potrząsając głową.

– Również nasi wrogowie – zaczął tonem mentora ten zawsze dobrze poinformowany człowiek i uniósł duke’a – walczą za pomocą języka. Szanowny brytyjski dwór królewski zerwał wszelkie kontakty z rodziną Sachsen-Coburg-Gotha i od tamtej pory zmienił nazwisko na Windsor. Jeśli chcesz wiedzieć, to tak się żadnej wojny nie wygra.

– Zapewne – chętnie zgodziła się Betsy.

Jednakże zdecydowanie bardziej niż językowymi pomysłami bojowników martwiła się mężem. Zdawała sobie sprawę, że jego stałe przygnębienie i dopadające go co jakiś czas wyczerpanie brały się stąd, że nikt ważny nie pytał go o zdanie w żadnej sprawie. Liczne starania wytwornego i cenionego przedsiębiorcy Johana Isidora Sternberga o to, by służyć swej ojczyźnie, spełzły na niczym – w ostatnim czasie zabiegał wręcz o posadę w służbach kwatermistrzowskich w Bad Homburgu, które zajmowały się zagospodarowaniem używanych tekstyliów do celów militarnych. Znalazł tam zatrudnienie nawet stary Tichauer, właściciel sklepu z winami i od jakiegoś czasu emeryt, ślepy jak kret i nieumiejący odróżnić wełny od popeliny. Johann Isidor dowiedział się tego dopiero dzień wcześniej, w synagodze. Od wyjazdu Ottona chodził się tam modlić niemal w każdy szabas. Dla jego wrażliwej żony stanowiło to kolejny znak, że potrzebował pocieszenia. A może bał się o syna?

Betsy pochyliła się nad robótką, mozolnie zliczała oczka i za każdym razem dochodziła do innego wyniku. Uświadomiła sobie, jak bardzo niewłaściwa była to chwila, by wyjawić mężowi, że on, blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, chociaż nie może walczyć za ojczyznę, zachował wystarczająco dużo męskości, by znów zostać ojcem. Jak długo już zgrzytał zębami? I to na dodatek w środku dnia? Zacisnęła mocno wargi, spojrzenie utkwiała w drutach.

– Co ci jest? – zapytał.

– Nic. Przecież nie powiedziałam ani słowa.

– Właśnie.

Stara śpiewka, a jednak wciąż aktualna. W małżeństwie Sternbergów nic sobie nie wyjawiano, nie oczekiwano wyjaśnień, a już na pewno nie dyskutowano. Każdemu z nich dwojga wydawało się, że wie, co myśli to drugie. Nawyk małomówności determinował codzienność, czasami czynił ją bezbarwną, od czasu do czasu naznaczał samotnością, ale życie wciąż toczyło się swym torem. Rutyna była godnym

zaufania sprzymierzeńcem w obliczu przemian tamtych czasów. Szary kłębek wełny spadł z kolan Betsy i poturlał się pod komodę. Przypomniała sobie o Mince, śnieżnobiałym kociaku z Pforzheim, który nie potrafił oprzeć się żadnemu kłębkowi ani szpulce. Poczwała melancholię. Bolały ją plecy, kark zeszywniał. Jak na czterdziestodwuletnią matkę zareagują siostry, które „Sternberżynie” zawsze zazdrościły beztroskiego życia i majątnego, hojnego męża? A co, na Boga, powiedzą jej dzieci? Która będzie bardziej sarkać: Clara czy Victoria? Żadna z nich nigdy nie wykazywała gotowości do dzielenia się.

Betsy zastanawiała się, czy nie powinna więcej rozmawiać z córkami, ale kto w końcu rozmawiał ze swymi dziećmi, gdy te były zdrowe, co dzień znajdowały się nowe obowiązki, a mąż wciąż żywił obawę, że gdy pozwoli się im na zbyt wiele, staną się małymi roszczeniowymi snobami? Może przynajmniej Otto powinien był zawczasu zrozumieć, że należy dostosowywać się do życia.

Betsy wstała i podniosła kłębek. Mogła się jeszcze schylić, nie zwracając swoim stanem niczyjej uwagi. Odsunęła na bok zasłonę z wyszytym kwiatowym wzorem, wyjrzała przez okno w salonie i dostrzegła szybujący w kierunku ziemi złotożółty liść. „Piękny” – powiedziała. Czy to słowo brzmiało tak samo jak latem, czy może już nabrało innego zabarwienia? Czy matce, która nie wiedziała, gdzie przebywa jej syn i czy życie łaskawie się z nim obejdzie, wolno było w ogóle ucieszyć się na widok liścia kasztanowca?

Wokół panował taki spokój, jakby wojny nie było. Po ulicach nie maszerowali już żołnierze, którzy niczym uczniowie w dzień szkolnej pieszej wędrówki wyruszali z miasta z głośnym śpiewem na ustach i którzy nieśli kartonowe tabliczki i białe transparenty z hasłami „Na Boże Narodzenie z powrotem w domu”. Czy Otto też w to wierzył? Odkąd wyjechał, przysłał tylko dwie kartki i w żadnej nie dał znać, gdzie jest i jak się ma. Na tej drugiej napisane było drobnym, prawie że niemożliwym do odczytania pismem, które jego matce wydało się obce: „Wszystko jest zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem”. Rodzice spojrzeli po sobie i przyjęli to spostrzeżenie jako nieuniknione w życiu mężczyzny. Johann Isidor nawet się uśmiechnął i poklepał Betsy po plecach, by ją rozweselić. Wieczorem, leżąc jeszcze w łóżku i składając gazetę, wymamrotał: „Cóż, wielkim epistolografem to mój syn w tym życiu chyba nie zostanie”.

Aleją maszerowało dwóch chłopców, około pięcioletnich. Latem z łoskotem jeździli wokół domów na drewnianym czterokołowym rowerku. Wówczas bawili się w wojnę. Nosili spiczaste hełmy z gazet, uderzali w blaszane bębny i wymachiwali drewnianymi mieczami. Gdy nie śpiewali piosenek, wymyślali sobie od Serbów i Rusków, obrzucali się glinianymi kulkami do zabawy i poprzysięgali sobie nawzajem śmierć.

– Na zawsze – zagroził jeden z nich.

– Ale potem będę musiał iść do domu – uprzedził wróg.

W niedzielę ruch na ulicach był niewielki. Od czasu do czasu w kierunku śródmieścia przejeżdżała zaprzężona w konie dorożka, z rzadka jakieś auto. Zniknęli spacerowicze w odświętnych strojach. Zakochane pary i starsi mężczyźni pod rękę z ekstrawagancko ubranymi żonami, młodzi rodzice z całą ferajną, chłopcy w marynarskich ubrankach, dziewczęta w sukienkach z obszernymi rękawami – wszyscy oni stanowili w niedzielę nieodłączny element alei Rothschildów, tak jak drzewa, trawniki i krzaki róży. Teraz jednak niedzielne życie alei ustało, ponieważ młodzi mężczyźni wyruszyli na wojnę, a starsi

wstydzili się, że nie ma ich tam razem z nimi. Rzadko kiedy szczekał jakiś pies albo kot zakradał się w krzaki. Z pola widzenia zniknęły też niańki w sztywnych białych czepkach. Kobiety z Nordendu podszeptowały sobie szyderczo, że wytworne bony wolą podmywać tyłki młodych mężczyzn w lazaretach niż bachorów bogatych ludzi.

Na pierwszym piętrze domu przy alei Rothschildów 9 słychać było jedynie bicie dwóch zegarów oraz gruchanie i chrobotanie gołębi, które przesiadywały na szklanym dachu ogrodu zimowego. Nawet Otto był wyczerpany. Podczas obiadu wyskrzeczwał cały swój repertuar dwa razy bez przerwy. Spał też kanarek. Rano Victoria znów nie ściągnęła narzutki z klatki i pozbawiła go radości powitania nowego dnia. O szesnastej roił sobie, że jest jeszcze noc.

Zaniedbanie obowiązku przez panią Sternberg nie zostało jeszcze odkryte. Dlatego też matka pozwoliła jej pójść do zoo z ciotką Jettchen. Obie mocno postanowiły, że korzystać będą z wszelkich swobód, z których starszym paniom już, a dziewczynkom jeszcze korzystać nie wypadało. Victoria, sprytnie kierująca własnym losem, miała ponadto w głowie szczególny cel. Zaplanowała, że wizytę w zoo wykorzysta, by uprosić ciotkę o pilnie potrzebną pomoc. Uznała, że jako osoba wielkiego serca z pewnością zrozumie ona, jak upokarzająca dla sześciolatniej uczennicy jest niemożność ubrania lalek w stroje zgodne z duchem czasu. Lalka o imieniu Moritz natychmiast potrzebowała karabinu oraz munduru feldgrau. Matka tej szczęściary Mariechen uszyła od razu dwa. Po żmudnych negocjacjach Mariechen zadeklarowała gotowość oddania jednego z mundurów w zamian za pięć groszy i paczkę cukierków śmietankowych. Pani Betsy jak zwykle udaremniła ten interes i kategorycznie odmówiła pieniędzy swej nieszczęśliwej córce. Od tamtego momentu trzymała również pod kluczem cukierki śmietankowe.

– Cóż za cudowna cisza, gdy nie ma Clary i Erwina – powiedziała Betsy, gdy wróciła z szarym kłębkim wełny do ogrodu zimowego. – Odkąd Otto wyjechał, zachowują się czasami, jakby mieli po pięć lat. Tęsknią pewnie za poskromicielem, który nie pozwalał im zarzucać tego, co zaczęli.

– Tak – przyznał jej rację Johann Isidor.

Przypominał kogoś, kto właśnie ma się pożegnać, ale zostawił bagaż bez opieki.

Palce nieco mu drżały, gdy wyciągał z papierośnicy kolejnego papierosa. Zaczynało brakować wyrobów tytoniowych. Mimo to od wybuchu wojny palił więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Wydawało mu się, że tylko on liczy papierosy.

– Dobrze, że byliśmy stanowczy – wymamrotał i zgasił zapałkę – nie powinno im się wszystkiego puszczać płazem.

Pod wpływem ogromnego nacisku rodziców bliźnięta, rozzalone i wściekłe, wyruszyły do Westendu na zaproszenie Goldbergów, zaprzyjaźnionego małżeństwa. Ich dzieci, również bliźnięta, obchodziły piętnaste urodziny. Clara i Erwin nigdy nie lubili tamtej dwójki. W ostatnim czasie pogardzali młodymi Goldbergami i jednogłośnie oświadczyli, że nie można się z nimi nigdzie pokazać i nie narazić się na ośmieszenie. Stwierdzili, że są oni podłymi parweniuszami oraz marnymi lizusami i kujonami, które rzucają się na szyję nawet nauczycielowi w szkole religijnej, choć akurat jego przecież nikt na poważnie brać nie może.

– Dlaczego my musimy pokutować za to – sarknął Erwin, jeszcze gdy wychodził – że od lat znacie Goldbergów? Tak, tak, wiem, pani Goldberg ma znajomości w przemyśle cukierniczym, a to jest w obecnych czasach ważniejsze niż duma i honor. Wstyd nam zaprzedać duszę za kawałek tortu.

– Przezań wreszcie mówić za swoją siostrę. Już nawet Ottonowi to przeszkadzało. Nie jesteście przecież małymi dziećmi. I poczekaj no tylko, co będziesz myślał o torcie z kremem maślanym, gdy zapasy Josephy będą się wyczerpywać, mój synu. A jak się szanownemu panu wydaje, dlaczego Josepha znów jest w podróży?

Josepha, jak wówczas często bywało w niedzielę, tuż po obiedzie wybrała się do Bad Nauheimu. Znów nawiązała relacje z krewnymi, które za czasów pokoju uznawała za zerwane do sądnego dnia. Jej zdaniem w sklepach nie było wystarczająco dużo świeżych owoców i warzyw. Gdyby zawczasu nie rozpoczęła pertraktacji z „tymi z Nauheimu”, zagrożone mogły być przede wszystkim losy musu śliwkowego.

W wolne od pracy niedzielne popołudnia Josepha nakładała zatem butelkowitzony podróżny kapelusik i pakowała kilka rozpadających się czytadeł, które Hanna z Odenwaldu z pośpiechu zostawiła przed odjazdem w domu przy alei Rothschildów, a za które żeńska część rodziny z Bad Nauheimu oddałaby połowę jabłonki. Dochodziły do tego pieniądze, które Josephe udawało się uciuć przy okazji codziennych zakupów, oraz zapewnienie, że na Boże Narodzenie być może uda jej się przywieźć niepotrzebne już dziecięce ubrania. Potrzeba matką wynalazków – przytaczała ze swojego bogatego zasobu przysłów, gdy wyciągała ze spiżarni wiklinowy kosz.

– To grzech – zwykła ją upominać pani Betsy – mówić teraz o jakichś szczególnych potrzebach. Jak dotąd nie cierpimy biedy w najmniejszym stopniu. Co najwyżej się ograniczamy. Daj Boże, by tak zostało.

– Ale mnie serce pęknie – sprzeciwiła się Josepha – jeśli nie będę mogła wysłać naszemu Ottonowi musu śliwkowego na front. Potrzebuje też suszonych jabłek na trawienie. Chłopak musi jeść suszone owoce, niech pani nie mówi, że już pani zapomniała.

Na kuchennym stole Josepha położyła przygotowane na kolację chleb, masło, wędlinę pokrojoną w plasterki, pomidory i posiekaną cebulę, a na pękatym dzbanku z herbatą umieściła karteczkę z informacją, że reszta czekoladowego budyniu dla Victorii i puszka z herbatą z szaławii ciotki Jettchen są w spiżarni. Pani domu postanowiła, że najpóźniej przy śniadaniu pochwali Josephę za troskliwość.

Na oknie siedziała mucha. Betsy zastanawiała się, czy nie wstać i nie przywrócić jej światu, jeśli jeszcze żyła, ale nie wstała. Muchy wywoływały w niej strach, odkąd była dziewczynką. Dlatego też siostry z rozkoszą dokuczały pięknej rywalce, bracia bronili jej małymi brudnymi pięściami, a ojciec brał swoją ukochaną córkę na kolana i wyjaśniał, że tylko głupi ludzie się nie boją.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – powiedziała.

Jej głos wydał się jej samej słaby, obcy i śmiesznie dziecinny. Poczowała, jak wilgotnieją jej oczy, wzięła mały kawałek szarlotki, który stał przed nią na talerzu już od pół godziny, odłożyła na piętrową patere i głośno odchrząknęła. Nawet język miała suchy, sztywny niczym drewniany kołek.

Betsy zwróciła uwagę, że mąż zachowywał się osobliwie. Nie mógł usiedzieć spokojnie, wyprostował się, wyprężył plecy, wypiął pierś, założył prawą nogę na lewą. Czyli jednak ją usłyszał, prawdopodobnie nawet zrozumiał. Należał do tych, którzy pojmują wszystko w lot, gdy zachodzi taka konieczność, nie stronią od śmiałych knowań i liczą się z imponowaliamami. Betsy zdziwiła się, gdy mocno zacisnęła powieki niczym wędrowiec, który nagle napotyka ścianę mgły i nie potrafi już wskazać swego celu.

Johann Isidor nadal miał sokoli wzrok. Oczy i dobry słuch napawały go taką dumą, jakby zdrowe ciało

było zasługą jego własnej zaradności.

Pod osłoną obszernej bluzki Betsy rozluźniła pasek przy spódnicy, czego mężczyzna nie spostrzegł. Po raz pierwszy od narodzin Victorii nałożyła tę kremową bluzkę z żorżety, którą krawcowa z Sandweg uszyła jej dokładnie przed dziewiętnastoma laty. Delikatne tasiemki przy kołnierzyku związane były na kokardę. „Taka wstążka odwraca uwagę” – powiedziała wówczas krawcowa. „Od piersi i brzucha” – dodała.

Betsy zrobiła się czerwona. Gdy się ubierała, przyrzekłaby na wszystko, że jej mąż, obdarzony sokolim wzrokiem i wyczuciem, jeśli chodzi o damską odzież, od razu rozpozna tę bluzkę z naszytą falbaną, szerokimi rękawami i charakterystyczną kokardą. Wlepił wzrok w jej brzuch i zacisnął powieki, tak jakby nigdy jeszcze nie widział kobiety w stroju ciążowym. „Ach” – wymamrotał w końcu.

Jego żona wzdrygnęła się. Johann Isidor wypowiedział to przydatne, niewinne, chętnie stosowane przez małżonków słowo właśnie w tym momencie, w którym ostatecznie nastawiła się na to, że nie zareaguje już na zasygnalizowane przez nią wyznanie. W jej małżeństwie wciąż prowadziło się takie rozmowy. Ciągnęły się jak mamałyga i były dość niepomysłne. Gdy jakiś temat nie dotyczył Johanna Isidora, ten stawał się małomówny, niemrawy, czasem nawet nieprzyjazny. Zdawał się wtedy urażony, że żona w ogóle go zagadnęła, jakby bez pukania wparowała do jego gabinetu i wymiotła mu z biurka wszystkie rzeczy.

Betsy złożyła dłonie. Czuła się jak aktorka z jednej z tych przyjemnych współczesnych komedii, które tak chętnie oglądała, a które Johann Isidor uważał za upiorne. Zawsze to kobiety rozdawały w nich karty i to dzięki nim finał był pomyślny. Inaczej niż w życiu mężczyznom na koniec rzedła mina i – co również nie przystawało do rzeczywistości – śmiali się sami z siebie. Betsy zastanawiała się, czy nie powinna jednak po prostu przystąpić do rzeczy.

Jednakże wówczas uprzytomniła sobie, iż zamężna kobieta nie popełnia przecież występku, zachodząc w ciążę. Ta myśl tak ją oprzytomniła, że poczuła nieprzepartą chęć, by powiedzieć: „do tanga trzeba dwojga”, lecz jej odwaga prysła. Jak bańka mydlana. Zakłopotana wbiła wzrok w podłogę, na delikatnym kilimie dostrzegła szarą wełnianą nitkę i łeppek wypalanej zapałki, zdenerwowała się i znów odzyskała śmiałość. Rezerwowo zaproponowała:

– Może powinniśmy jednak znów się rozejrzeć za jakąś służącą. Josepha nie może robić wszystkiego sama.

Milczący małżonek wpatrywał się w obraz, który zawsze z uwagą studiował, gdy siedział w ogrodzie zimowym i nie miał nastroju do rozmów.

Była to współczesna praca przedstawiająca ogród w Königstein, w tle znajdowały się zwęglone mury oraz porośnięty bluszczem pawilon. Mimo że róże przedstawiono w pełnym rozkwicie, widok ten wywierał ponure wrażenie. Płótno, w nadzwyczaj skromnej ramie, zostało umyślnie powieszzone w taki sposób, że do połowy zasłaniał je przerośnięty sagowiec. Stanowiło wspólny prezent od wszystkich krewnych na pięćdziesiąte urodziny Johanna Isidora i nie podobało mu się już od momentu, w którym musiał rozpakować je na oczach wyczekujących gości. „Sto lat naszemu Josiemu!” – wiwatowali.

Nie zważając na powinności jubilata, powiedział, że wyprasza sobie, by rodzina nazywała go Josim. Zwłaszcza ci nic niewarci kuzyni, którzy przyjęli chrzest. „To wolno tylko matce. I mówię zupełnie poważnie!” – zakończył.

Johannowi Isidorowi przysłała do głowy myśl, że nadarzyła się właśnie sprzyjająca okazja, by wreszcie zdjąć ten obraz ze ściany. W czasie wojny ludzie prawdopodobnie rzadziej będą składać sobie wizyty. Całkiem mało prawdopodobne wydawało się zaś to, że ktokolwiek z rodziny zainteresuje się losem różanego ogrodu w Königstein. Wszyscy mieli w końcu zupełnie inne zmartwienia. Również synów krewnych wezwała ojczyzna. Johann Isidor wiedział, że jego dwóch siostrzeńców z Górnej Hesji wyruszyło do Belgii, chłopcy z Pforzheim byli już najpewniej we Francji.

Jego myśli powróciły do domu. O co też Betsy mogło chodzić? Spojrzała na niego tak, jakby zapomniała jej odpowiedzieć na zadane wcześniej pytanie, stara jak świat, dość podła sztuczka. Pewnie już Sara wypróbowała ją na Abrahamie. Zastanawiał się, czy syn przebywający z dala od domu nie zdradził w końcu swego ojca i po kryjomu nie napisał do matki. Takie rzeczy się zdarzały. Pewnie częściej, niż mogło się wydawać. Nikt przecież nie mógł dokładnie wiedzieć, co dzieje się w głowie osiemnastolatka, który opuścił dom pierwszy raz w życiu. Poza tym całkowicie szczery i ufny Otto doprawdy nie był mistrzem w przemilczaniu pewnych kwestii. W każdym razie jeszcze nie.

Być może to ostatnia godzina spędzona w rodzinnym mieście zbyt mocno obciążyla sumienie chłopaka, możliwe, że ten drobny męski spisek poczytywał jako winę i odczuł potrzebę, by włączyć w niego matkę. Cała ta sprawa, chociaż dość nietypowa, nie była jednak oszustwem, raczej etapem życia w czasach przełomu. Johann Isidor wcisnął rękę do kieszeni marynarki. Nie widział najmniejszego powodu, by uderzać się w piersi. Czyż miał żałować, że postąpił jak mężczyzna?

– Ja też – powiedział.

Mówił przez zaciśnięte zęby, co u Erwina doprowadzało go do szaleństwa i za co zawsze go ganił. Poczł, że swędzi go czoło. Dlaczego żona spoglądała na niego tak wyczekująco? Wyglądała tak inaczej niż zazwyczaj, jakoś tak dziecinnie i niepewnie zarazem, jak królik niezbyt szczęśliwie skrzyżowany ze stateczną matroną.

Może Betsy czuła się niezręcznie, ponieważ mu o tym liście nie powiedziała? Niektóre kobiety nie mają przecież zwyczaju skrywania przed mężem swoich tajemnic. Dla innych te drobne sekrety, które mogą wyszeptać przyjaciółkom do ucha, są niezwykle ważne. Również w życiu dojrzałych czterdziestolatek. Bluzka była najpewniej nowa, a on znów tego nie zauważył i odebrał biedaczce radość płynącą z otrzymania komplementu. Ale co, do czorta, miałby powiedzieć? Ów strój wyglądał koszmarnie. Po dziewiętnastu latach małżeństwa kobieta taka jak Betsy powinna przecież zapamiętać, że jej mąż nie znosi kremowych bluzek z falbanami. Ni pies, ni wydra, a wszystkie wyglądały tak, jakby uszyto je z wybrakowanych firanek. Kiepska wizytówka mężczyzny, który dorobił się majątku na handlu tkaninami.

– W końcu i tak byś się dowiedziała – powiedział. – Poza tym to chyba dobrze, że nie posłuchałem śmiałej prośby Ottona, by pozwolić mu wyruszyć samotnie. Człubym się nieswojo z myślą, że miałbym wyjść z aktówką z domu i siedzieć beczynnie na ławce w parku, podczas gdy mój syn wyjeżdżałby na wojnę. Moje serce zastrajkowało. Moje żydowskie, ojcowskie serce. Bez pożegnania, bez słowa, które pozostaje w pamięci. Ten chłopak przecież w ogóle nie wiedział, co mówi i o co nas prosi. Musiał mu to podsunąć mistrz Theo Berghammer, ten cwany mały czort, który swoją wielką jadaczką i drogim aparatem fotograficznym służy teraz ojczyźnie. Sprawozdawca kanonier Theodorich Rudolf Berghammer z pierwszego pułku. Dekownik melduje się do służby, panie kapitanie.

– Nie rozumiem ani słowa. Co chcesz mi powiedzieć, na Boga? I co to ma wspólnego z Theem? Przecież dopiero wczoraj go widziałam.

– Otóż to – odparł Johann Isidor.

Stało się dla niego jasne, że zaczął mówić za wcześnie i za wiele zdradził oraz że właśnie niemal zrobił z siebie potężnego głupca, idiotę, który nie potrafi trzymać gęby na kłódkę i popełnił niezwykłą gafę. Nic dziwnego, że nikt nie chciał go zatrudnić. Nawet po to, by w zarękwkach siedział na zapleczu. Kto podczas wojny znalazłby zajęcie dla skretyniałego gaduły? Na co zdałaby się męska odwaga, jeśli czas na to, by wykazać się jako mężczyzna, już minął? Otto nie napisał zatem do matki. Ta dobra kobieta była niewinna jak lilia. O niczym nie wiedziała i nigdy by się nie domyśliła, lecz jej arcyprzebiegły mąż właśnie odciął sobie odwrót. Musiał brnąć w to dalej. Próbował stłumić gniew, tak by nie wzbudzić podejrzeń Betsy.

– To przecież nie jest takie skomplikowane – powiedział.

Potrząsając lekko głową, zasygnalizował, że teraz to on nie wie, o co chodzi.

– Po prostu poszedłem na Dworzec Wschodni i tam czekałem na naszego syna.

– Kiedy? Jaki Dworzec Wschodni?

– Mój Boże, Betsy, nie patrz na mnie z takim przerażeniem. Można by pomyśleć, że ukradłem ci ostatnią koszulę. We Frankfurcie jest tylko jeden Dworzec Wschodni i z niego odjechał nasz Otto. Najpierw do Hanau, a stamtąd wkrótce potem prawdopodobnie wyruszył dalej. Z tego, co wiem, tak właśnie zaplanowano. Nawiasem mówiąc, było tam wielu ojców. I prawie żadnych matek. Możesz więc być spokojna. Wszystko przebiegło tak, jak powinno.

Od momentu, w którym jej mąż wyciągnął chusteczkę i nerwowymi ruchami ocierał czoło, jakby ścigał uciekającego złodzieja, minęły ledwie dwa przyspieszone uderzenia serca. Wówczas Betsy zrozumiała, że ojciec mógł pożegnać się ze swoim synem, a ona, matka, nie. Przypomniała sobie o liście, który napisała do Ottona jego ostatniego wieczoru w domu. Wspominała, jak na nowo pakowała jego tornister. Ten sam stary tornister, który zabierał na szkolne piesze wędrówki. Z plamą po soku malinowym, której nie dało się wywabić nawet tym porządnym szarym mydłem kupionym przy Sandweg. Betsy widziała siebie, jak wyciąga szal modlitewny i czarny aksamitny worek z sześcioramienną gwiazdą – Tarczą Dawida – wyszytą złotą nicią. Dała szal modlitewny synowi wyruszającemu w świat, w którym o życiu i śmierci rozsądzała wyłącznie broń. Była przekonana, że zacznie płakać. Czuła już ucisk w gardle, meble zaczął spowijać smutek, jakiego jeszcze nie знаła. Ostatni promień słońca stał się szary, lecz nic się nie wydarzyło.

Betsy Sternberg nie potrzebowała chusteczki, zbędny był silny, krzepiący ucisk dłoni. Nigdy nie okazywała słabości, zawsze czuła obawę przed narażaniem męża na widok łez. „Łzy kobiety to szantaż” – powiedział wieki temu podczas jednej z kłótni tak typowych dla młodych małżeństw. Było to na krótko przed narodzinami Ottona, gdy Betsy wbiła sobie do głowy zakup kołyski z baldachimem, a przyszedł ojciec odparł na to: „Kupowanie tego rodzaju rupieci przystoi jedynie cesarzowi i Rothschildom”.

Johann Isidor Sternberg, nieugięty przedsiębiorca, dla którego dyscyplina oraz wychowanie były w życiu równie ważne jak przyzwoitość i prawość, nie mógł znieść także płaczu swoich córek. Nawet sześciolletnią Victorię wysyłał do pokoju, gdy siedząc przy stole, nie potrafiła powstrzymać łez. Betsy rozluźniła szal, obciągnęła bluzkę. Ręce miała spokojne.

– Co tam się działo? – zapytała. – Na Dworcu Wschodnim? Otto był bardzo przejęty? Tego ostatniego dnia zachowywał się jakoś inaczej niż zwykle, takie miałam wrażenie. Nawet nie zjadł porządnie śniadania. Chodzi mi o to, że na dworcu też pewnie był zdenerwowany.

– Ani trochę. Wy, kobiety, macie zbyt dużo fantazji. Wydaje mi się, że cieszył go cały ten rozgardiasz, dziarscy oficerowie, mrowie radosnych chłopców, piosenki i śmiech. Pewna dziewczyna, śliczna jak z obrazka, wsunęła mu różę do plecaka. Większość mężczyzn miała kwiaty wetknięte w karabiny, ale on przecież jeszcze broni nie dostał. Był wtedy bez munduru. Być może zrobiło mu się trochę przykro z tego powodu, ale nic nie dał po sobie poznać. Byłem z niego dumny.

– Nie wiedziałam, że do karabinu można włożyć kwiaty – rzekła Betsy. – Mogliśmy mu dać różę z naszego ogrodu. Miałoby to w pewnym sensie bardziej osobisty wymiar.

– W pewnym sensie – powtórzył Johann Isidor. Poczł wielkie, obezwładniające zmęczenie i nabrał ochoty na koniak, nie odważył się jednak ziewnąć, a już na pewno nie miał tyle odwagi, żeby wstać i wyjąć z komódki butelkę.

Wpatrywali się w dzbanek do herbaty i pragnęli, by któremuś z nich przyszło do głowy jakieś zbawienne słowo, ale odezwała się tylko papuga. Od Erwina nauczyła się zwrotu „zamknij pysk” i powtarzała go bez ustanku. Chmury zmieniły kolor, słońce się skryło, ptaki zlatywały na drzewa. Betsy wstała, Johann Isidor podążył za nią tak ochoczo, jakby zawsze chodził śladami żony. Usiedli, co również było niespotykane, obok siebie na sofie w dużym salonie. Ich ręce się zetknęły. Betsy przypomniała się wizyta w operze rok temu, w listopadzie, na cudownym przedstawieniu *Fidelia*. Johann Isidor zasnął.

Jedwabne poduszki były miękkie i chłodne, ale nie działały na Johanna Isidora dość kojąco, gdyż rozgniewał się na Boga, że ten nie nauczył go rozmawiać z synem, gdy był na to czas. „Nie” – rzucił w ciszę. Brzmiało to tak, jakby krzyczał przez sen, a ktoś mu groził. Ten moment jego słabości ośmielił Betsy, by powiedzieć mu, że znów jest w ciąży.

Wtedy właśnie wyrzucił z siebie słowa: „Chyba nie mówisz tego na poważnie, moja droga Fritzi”, i zbladł niczym zjawa. Rozszerzyły mu się źrenice. Jego żona podjęła ostateczną decyzję, że nigdy nie będzie go wypytywać, dokąd i do kogo zblądził w owej chwili. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Rozległy się trzy długie, bardzo szybkie dzwonki. Jedynie członkowie rodziny i służba właściciela domu dzwonili w ten sposób, dumnie i z pewnością siebie.

Do domu wróciły ciotka Jettchen i Victoria. Obie wyglądały niczym małe szczęśliwe dziewczynki z książek z obrazkami, które umknęły więzom życia i tanecznym krokiem powędrowały ku słońcu.

– W zoo było precudownie – powiedziała ciotka Jettchen – zwierzęta są tak spokojne. Nawet te dzikie.

– Odłożyła kapelusz na małą konsolę w przedpokoju i poprawiła włosy. Nadal była piękna, a jej serce młode jak kiedyś w maju, gdy przysłuchiwała się słowikowi, a to dlatego, że nie liczyła już lat – ani tych, które minęły, ani tych, które jej pozostały.

– To był najpiękniejszy dzień w moim życiu – doprecyzowała Victoria.

Spojrzała na rodziców, z kieszeni aksamitnej sukienki koloru morskiego wyciągnęła pięćdziesiąt fenigów i podskoczyła z radości.

– Od mojej kochanej, kochanej cioci – powiedziała triumfująco. – A jutro dostanę od niej paczkę cukierków śmietankowych. Wtedy będę mogła kupić od Mariechen mundur i prawdziwy karabin dla

Moritza.

Nawet wówczas, gdy lalka miała już na sobie wojskowy strój i walczyła przeciwko Brytyjczykom, a Francuzom strzelała w plecy, Victoria dziwiła się, że tamtego niedzielnego popołudnia rodzice mieli tak niewiele obiekcji co do robionych przez nią interesów.

Choć w gazetach stale pisano, że poczta działa tak samo sprawnie jak za czasów pokoju, a niemieccy żołnierze są przywiązani do swych rodzin zdecydowanie bardziej niż wróg i bardziej je cenia, to w październiku do Frankfurtu doszły od Ottona jedynie dwie kartki. Obie wprawiły jednak w zachwyt całą rodzinę. Pierwsza przedstawiała niemieckich żołnierzy w schronie, siedzieli przy stole nakrytym obrusem w kratkę, grali w karty i pili piwo. Drugą pozwolono Victorii przymocować kolorowymi szpilkami do ściany w jej pokoju. Przedstawiała ona bosego chłopca we francuskiej czapce oficerskiej, ze smoczką i bronią, a podpis pod nią głosił: „Najmłodszy oddział Francji”.

Obie napisane zostały we wrześniu. Na pocztówce z piątego września Otto poinformował:

Jutro odbędą się ćwiczenia strzeleckie na poligonie, pojutrze jedziemy na front. Nie wolno mi wyjawiać dokąd. Wszyscy są w radosnych nastrojach, cieszę się bardzo na swój chrzest bojowy.

Dwudziestego siódmego września napisał:

W Rosz Haszana odbyło się nabożeństwo dla Żydów. Po nim rabin rozdawał chleb, kielbasę i specjalne modlitewniki przygotowane dla żołnierzy. Chlebem i kielbasą podzieliłem się z kompanami. Gdy będziecie do mnie pisać, przyslijcie mi niepsujące się jedzenie, środek na biegunkę i wasze zdjęcie. Wszyscy mają tu zdjęcia swoich rodzin. Wasz kochający syn i oddany brat Otto.

Była to ostatnia wiadomość od kanoniera Ottona Wilhelma Samuela Sternberga. Zginął jedenastego października tysiąc dziewięćset czternastego roku pod Ypres. Zawiadomienie dotarło do jego domu rodzinnego dziewiątego listopada o czternastej. Podpisał je podporucznik Henning von Brauweiler. „Państwa syn zginął na polu chwały” – napisał. „Oddał życie za cesarza i ojczyznę. Mogą Państwo być z niego dumni”.

Wówczas Victoria po raz pierwszy widziała, jak matka płacze. Słyszała, jak pyta jej ojca: „Jesteś teraz zadowolony?”, i dziwiła się, że ten nie odpowiedział, tylko poszedł do swego gabinetu. Dziewczynka pobiegła do kuchni. Josepha klęczała przed piecykiem i robiła znak krzyża. Gdy wydmuchiwała nos w czystą adamaszkową serwetkę, Victoria z przerażeniem zamknęła oczy. Na palcach zakradła się na balkon. Otworzyła drzwi najciszej, jak było to możliwe. Przez jakiś czas tępo wpatrywała się w serduszkę okazałą.

Cudowne kwiaty posiadające magiczną moc chronienia przed każdą ludzką niedolą opadły, kilka listków pozostało jednak nadal zielonych i silnych. Tak jak latem, gliniana doniczka, na której Otto wymyślnymi drukowanymi literami napisał specjalnie dla swojej młodszej siostry „Królowa Victoria”, stała na wysokim kwietniku obłożonym żółtymi kaflami. Victoria policzyła do dziesięciu. Była pewna, że przy dziesiątce, tak jak zwykle, usłyszy głos Ottona. „Musisz patrzeć w niebo, gdy myślisz życzenie, Vicky, Boga łatwo urazić” – powtarzał zawsze. I skubał jej ucho. Bardzo delikatnie, jakby muskał je wiatr.

Świat zamilkł. Tylko kruk krakał. Victoria podniosła doniczkę z literami błyszczącymi na czerwono.

Przez chwilę trzymała ją nad głową. Następnie cisnęła nią z balkonu.

DECYZJA

Frankfurt, 1914

Coraz więcej rodzin musiało informować o śmierci mężów, synów i braci. W tym samym czasie wystąpił też pierwszy deficyt papieru. Właśnie dlatego nekrolog kanoniera Ottona Wilhelma Samuela Sternberga, który poległ jedenastego października, mógł się ukazać we frankfurckim „General-Anzeiger” dopiero dwa miesiące później. Po kolejnych trzech dniach opublikowano go we „Frankfurter Zeitung”. Johann Isidor nie potrafił się zdecydować, czy pójść za propozycją działu anonsów „General-Anzeiger”, by nad tekstem umieścić dopisek „Stała się wola Boska...”, co w pierwszym roku wojny było całkiem powszechne. Ograniczył się do zgodnego z duchem czasu zawierzenia się Wilhelmowi II.

Zamieszczony w „General-Anzeiger” nekrolog Ottona znajdował się pomiędzy dwoma zawiadomieniami o śmierci młodych podoficerów, którzy również złożyli pod Ypres ofiarę ze swojego życia. We „Frankfurter Zeitung” nekrolog Sternbergów także został umieszczony w reprezentacyjnym miejscu – obok klepsydry znanego w całym Frankfurcie profesora uniwersyteckiego. W wieku pięćdziesięciu lat zmarł on w swoim rodzinnym mieście, była to jednakże śmierć mało efektowna, ponieważ nastąpiła wskutek upadku z roweru.

Słowami: „Jako oddany syn narodu niemieckiego zginął na polu chwały za swego umiłowanego cesarza i umiłowaną ojczyznę”, osiemnastoletni Otto został pożegnany przez świat pełen zagadek, na których rozwikłanie zabrakło mu czasu. Nekrolog podpisany był przez jego „kochających rodziców Johanna Isidora Sternberga oraz Betsy, z domu Strauss, jego damę”, którzy zapewniali czytelników, że ich niezapomniany syn na zawsze „pozostanie żyw w ich sercach”. Każde z „wdzięcznego rodzeństwa” zostało wymienione z imienia.

– A niby za co mamy być mu wdzięczni? – zapytał Erwin. – Że wystarczyła jedna jedyna sekunda, by go uśmiercić? Albo za to, że był na tyle głupi, by zgłosić się na ochotnika?

Żałobny nastrój panujący w domu nie pozwolił ojcu ukarać syna, który pozostał jego jedynym męskim potomkiem, a którego racjonalizm i drobiazgowość miały w przyszłości drażnić go jeszcze bardziej niż fantazjowanie i duchowa nieobecność Ottona. Tak czy owak Johann Isidor i Betsy byli wstrząśnięci tą śmiercią. Zarówno zecer z „General-Anzeiger”, jak i z „Frankfurter Zeitung”, nie spytawszy ich o zdanie, postawił przy nazwisku Ottona krzyż. Ten mieszczański zwyczaj mógł u żydowskich czytelników wywołać podejrzenie, że Otto przeszedł na chrześcijaństwo, a być może postąpiła tak nawet cała rodzina Sternbergów.

Już z tego powodu Johann Isidor postanowił, że w następnym piątkowy wieczór pójdzie do synagogi przy parku Friedberger Anlage, by odmówić za pierwородnego syna tradycyjną modlitwę za zmarłych.

Ku własnemu zdziwieniu robił to przez cały rok, co w pozostałych zasymilowanych rodzinach nie uchodziło za taką znów oczywistość. Mimo to wielu mężczyzn, zarówno w synagodze, jak i w wydawnictwie oraz w banku, jeszcze kilka tygodni później pytało go o krzyż w nekrologu. Nawet doktor Meyerbeer, który w związku ze stanem Betsy częściej niż zwykle pojawiał się przy alei Rothschildów, czynił niestosowne uwagi.

Zaopatrzone się w dwa egzemplarze każdej z gazet. Jeden trafił do księgi rodzinnej o eleganckich, złoconych brzegach, którą czytana pani domu prowadziła już czwarty rok, odkąd natknęła się na *Buddenbrooków* Thomasa Manna. Wgląd do niej dawała jedynie mężowi i nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że bliźnięta przeczytały każde zapisane w kronice słowo. Drugie zawiadomienie naklejono na kremowym papierze czerpanym i wysłano do rodziny w formie kurendy z prośbą o przekazanie go dalej.

– Nie mam koach^[20], żeby powiadamiać każdego członka miszpaczu^[21] z osobna – wyjaśnił żonie Johann Isidor. Na jego prawdziwy stan ducha wskazywała tylko ta jedna wypowiedź, a jeszcze bardziej poszukiwanie schronienia w języku ojców – czynił to bowiem, tylko jeśli naprawdę się denerwował. Johann Isidor Sternberg, który od dnia mobilizacji i mowy balkonowej cesarza modlił się o zwycięstwo sprawy niemieckiej i błagał, by jemu również dane było umrzeć słodką śmiercią za ojczyznę, złorzeczył swojemu losowi. – Nawet nie miałem dość czasu, by poznać swego chłopca – westchnął wieczorem tego samego dnia, gdy zgasił nocną lampkę. W tej właśnie chwili niepostrzeżenie otworzył maluteńką komorę swego serca.

– Ledwie osiemnaście lat – odparła Betsy. Pod osłoną nocy wzięła rewanż za wielkie męskie słowa, które padły w jej małżeństwie. Johann Isidor miał się nigdy nie dowiedzieć, że jego żona, która przyrzekała mu dozgonne posłuszeństwo i pokorę, co noc modliła się o córkę. Córkę, od której nikt nie będzie oczekiwać, że w wieku trzech lat poleci ołowianym żołnierzynom maszerować po parkiecie, a w wieku lat osiemnastu odda życie na polu chwały.

Jeden z nekrologów mogła zachować Victoria. Ciotka Jettchen nakleiła go na kawałek tektury. Drukowanymi literami napisała: „Naszemu niezapomnianemu Ottonowi”, a pod wycinkiem dopisała tytuł gazety i datę jej wydania. Dziewczynka opatrzyła dzieło gwiazdą Dawida namalowaną czerwonym tuszem i obrazkami dwóch świeczników chanukowych namalowanymi tuszem zielonym. Kolaż postawiła przy nogach lalki w mundurze feldgrau. Zabawka powróciła z wygnania jedynie po to, by chronić ten drogocenny przedmiot kultu. Gdy otrzymano wiadomość o śmierci Ottona, popadła w niełaskę i trafiła do zielonego worka, w którym jeszcze pół roku wcześniej Otto przechowywał strój do gimnastyki.

Victoria była zachwycona, widząc swoje nazwisko w gazecie. Gdy ojciec pokazał jej zawiadomienie, na wstydliwą chwilę, w której jej matka, załamawszy ręce, z wyrzutem pokręciła głową, dziewczynka zapomniała, że w ich domu nie wolno się już było śmiać. Z radości aż lekko podskoczyła, o mały włos nie przewróciła ojcowskiego krzesła i użyła niestosownego słowa, którego zaledwie dzień wcześniej nauczyła się od dwunastoletniego brata swojej przyjaciółki Mariechen.

Dopiero na drugi dzień, po uwadze Erwina, Victoria uświadomiła sobie, że w nekrologu nie wspomniano o jej ukochanej cioteczce. Ciotka Jettchen siedziała w bujanym fotelu przy oknie, na kolanach trzymała otwartą książkę. Victoria dotknęła jej głowy tak ostrożnie i czule, jakby wiedziała, jak wątpa jest ta starsza kobieta, która nie ma odwagi wybiegać myślami dalej niż do wieczora.

– O tobie – westchnęła sześćioletnia pocieszycielka – nigdy nie będą pisać w gazecie. Masz przecież

tylko córki, a dziewczynki nie mogą umierać na wojnie.

– To one pozwoliły umrzeć mnie – odparła ciotka. Była tak wzburzona, że skóra piekła ją jak w młodości. Obrazy przepełnione bólem pędziły prosto na nią. Jej filigranowe, sympatyczne córki w fartuszkach ozdobionych koronką i w kokardach pod kolor oczu biegly w jej kierunku z bukietem stokrotek, lecz odwróciły się w chwili, w której rozłożyła ramiona. – Nie – wyszeptała, ciężar wspomnień odpierając rękami, które odmawiały posłuszeństwa – już nie.

– Otto – skrzeczała papuga. Dziobem chwytala za pręty swojej klatki.

Jettchen zaczęła płakać, ale dobroć nie pozwoliła jej na łzy. Gdy dostrzegła przerażoną twarz Victorii, otarła oczy. Sześciolatka jako jedyna przeczuwała, jak bardzo jej droga cioteczka czuła się wykluczona z życia rodzinnego, odkąd w domu Sternbergów rządy zaczęła sprawować żaloba.

– Nie płacz – uspokajała ją Victoria – przecież masz mnie. I Ottona – dodała.

Była zmieszana, wypowiadając imię, którego wypowiadania każdy w domu unikał, i ze strachem wskazała na papugę.

– Jego – uściśliła. – Miałam przecież na myśli tylko jego.

Tego dnia ciotka Jettchen postanowiła, że da córkom jedynie to, do czego zobowiązuje ją prawo, a pozostały pokaźny majątek zapisze wnuczce siostry, Victorii.

– Czy twój tata ma rejenta? – zapytała, ponieważ mimo swych lat i rozczarowań, które rozdzierały jej serce, była kobietą obrotną, która nie zwlekała, gdy słowa należało zamienić w czyn. – Więc twój tata nie ma rejenta? – powtórzyła.

– Przecież wciąż jest przeziębiony – zdziwiła się Victoria. – Chyba dlatego nie może też zostać żołnierzem. Czemu się śmiejesz?

– Bez ciebie i ziemniaków z Nauheimu, które przywozi Josepha – uświadomiła sobie ciotka – życie nie byłoby warte funta kłaków. Chodź, my, dwie piękności, pójdziemy do miasta i prze hulamy ostatni grosz.

– A wolno nam to zrobić?

– Znam nie takich ludzi, którzy to robią.

Po raz pierwszy od otrzymania wiadomości o śmierci Ottona babka i wnuczka nałożyły wyjściowe ubrania. Za jedną powiewały aksamitna peleryna w kolorze mchu oraz mieniące się czernią pióra przy kapeluszu z salonu najbardziej znanej modystki z Darmstadt, za drugą – płaszcz z lodenu, którego rękawy i brzegi zręczna matka tydzień wcześniej przedłużyła kawałkiem bordowego pledu. Tak samo jak tamtego bajkowego lata w Baden-Baden zanurzyły się w świat, który nie wiedział, co to brzemię wieku ani uniesiony palec wskazujący skierowany do młodych, nie znał łez kobiet w bluzkach czarnych jak noc ani śmierci tych, którzy zanosili do okopów sztandar nadziei. Czar zaczął działać już na Höhenstrasse. Wystarczyło się obejrzeć, aby objąć wzrokiem ostatnie z pelargonii radośnie kwitnących na balkonie. Ciotka Jettchen, która w młodości nie przegapiła w Darmstadcie żadnej premiery, nuciła piosenkę *Kiedy w Tyrolu róży kwiat z Ptasznika z Tyrolu*. Słowo po słowie przypominała sobie teksty szlagierów i opowiadała przysłuchującej się z uwagą wnuczce, która dotąd karmiona była wyłącznie frazami z niemieckich bajek oraz umoralniającymi opowieściami biblijnymi, jak to Christel, urzędniczka pocztowa^[22], omal nie poślubiła niewłaściwego księcia elektora. Wesoła gawędziarka była tak zachwycona obrazami i melodiami, które odkrywała w pamięci, że mało brakowało, żeby znów zaczęła

płakać.

– Nie wyobrażasz sobie, jaka byłam wówczas szczęśliwa. Teatr dworski to wspaniała rzecz. W Darmstadcie ludzie potrafili żyć. Nasz Ernest Ludwik poślubił przecież jedną z wnuczek królowej Wiktorii.

– Otto napisał „Królowa Victoria” na mojej doniczce, ale ona zeskoczyła z balkonu. Dużo wcześniej, jak byłam jeszcze mała.

– Tylko nie mów tego matce, moje dziecko. Brak jej fantazji, jeśli chodzi o sprawy poważne.

– Tobie też?

– Ach, Vikusiu, gdy człowiek się starzeje, zaczyna mu raczej brakować rozumu.

Niespiesznym krokiem ruszyły w dół Bergerstrasse. Niektóre ze sklepów przystrojone były bożonarodzeniowo, ale inaczej niż poprzedniego roku: nie kolorowymi bombkami, piernikami przypominającymi obwarzanki i ślicznymi drewnianymi aniołkami z Rudaw, lecz pojedynczymi gałązkami jodły, oprawionymi w ramki obrazkami ze starych czasów i domkami dla lalek, w których zawsze mieszkali ojcowie, synowie i bracia. A na stole stała babka. Zatrzymawszy się przed jedną z piekarni przy Merianplatz, babka i wnuczka aż ochryły od chichotu. W witrynie samotnie tronował dwufuntowy chleb z papier mâché. Miał brodę z waty, stał wyprostowany na małej skrzynce, a w trójkątny kapelusz z gazety piekarz obdarzony wisielczym humorem wetknął gałązkę jodły. Zwisiała z niej atrapa granatu.

Powoli, niczym uczennice, które ociągają się w drodze do domu, ponieważ to ci punktualni zawsze muszą nakrywać do obiadu, flanerowały przez rozległy park Friedberger Anlage. Nawet w miesiącu, w którym przypadało Boże Narodzenie, pałętało się tam jeszcze babie lato. Drzewa miały korony z pożółkłych liści, na trawnikach rosły stokrotki. Wiewiórki o ognistoczerwonych kitach radośnie przygotowywały się na niedostatek, który przynosiła zima. Mali chłopcy, niczego nieświadomi, bawili się glinianymi kulkami i wysokimi głosami spierali się, czy zwycięstwo odniesione podczas jednej tylko bitwy oznacza sławę do końca życia, czy jedynie wygrane starcie. Ponurzy starsi mężczyźni, którzy przeczuwali, co przyniesie przyszłość, trzęśli się na ławkach i w milczeniu kurzyli niedopałki papierosów. Tymczasowe życiowe wagarowiczki udały się na plac Konstablerwache, skubiąc na zmianę jeden kawałek ciasta drożdżowego z sacharyny oraz mieszanki mąki razowej i zmielonego grochu, cienko pociągniętego sztucznym miodem, które mimo wszystko wyczarowywało na języku błogość sytych czasów. Tam po raz pierwszy zobaczyły żołnierzy o twarzach niczym z wosku, z przepaskami na głowach. Wspierali się na grubo ciosanych kulach. W „General-Anzeiger” pisano, że ranni szybko dojdą do zdrowia w licznych lazaretach otwartych we Frankfurcie po wybuchu wojny oraz że spieszo im bardzo do powrotu na front do swoich kompanów. Żołnierze, paląc papierosy, stali przed wozem, gdzie sprzedawano jakiś gorący napój. Kule wroga odroczyły ich śmierć, lecz ich oczy były już martwe.

– Biedni chłopcy – wzdrygnęła się ciotka Jettchen. – Tacy młodzi, a już naznaczeni. Na wieki.

– Czy Otto również miał przepaskę na głowie?

– Nie sądzę. Przeważnie wszystko dzieje się bardzo szybko.

– Nie lubię wojny – ukradkiem wyszeptwała Victoria i zamknęła oczy. – Lecz nasza nauczycielka powiedziała, że wymyje nam usta mydłem, a potem przyjdzie po nas diabeł, jeśli będziemy mówili takie okropne rzeczy.

– A skąd ona chce wziąć to mydło? Już teraz jest go bardzo mało.

– Pani Schäfer to przecież czarownica z Francji – krzyknęła Victoria z odwagą. – Jest szpiegiem i ma zatrute zęby. Przecież każdy to wie.

Dziewczynka podskoczyła do nieba i natychmiast opadła. Stary lodenowy płaszcz z nowym bordowym obrębieniem wirował wokół jej nóg. Nieustraszonej skoczkinie nietrudno było uzyskać matczyną zgodę na wyjście do miasta w najzwyczajniejszy czwartek. Od śmierci Ottona Betsy rzadko pytała swoje dzieci o zadania domowe albo o godzinę powrotu z eskapad, na które wyruszały. Mniej stanowczo niż w poprzednich latach nalegała jesienią, by piły tran, z rana płukały gardła solanką oraz nakładały znieawidzone długie wełniane skarpety i pogardzaną bieliznę z gryzącej wełny. Matka popuszczała im cugli szczególnie w te dni, w które – słyszały – wzdychała, zanim jeszcze usiadła do śniadania, a ojciec wcześniej wychodził z domu. Wydawało się, jakby nigdy nie obstawała przy zasadach i dyscyplinie, jakby nigdy nie była energiczna i surowa, lecz zawsze skłonna do uległości. Często gwałtownie uciniała dyskusje z Erwinem czy prawione Clarze morały. Miała zaczerwienione oczy; nocami wyciągała z szuflady niedokończony szary szal i przyciskała go do szyi. Wszystkich wprawiało to w zakłopotanie. Zdarzało się też wówczas, że Betsy przykładła dłoń do czoła albo – coraz częściej – do piersi i pytała: „Ale po co?”. Lub mówiła głosem, który wydawał się nie należeć do niej: „Niech tak będzie” i „A niech tam”. Żadnego z tych zwrotów nigdy wcześniej nie używała, wyrażała się zawsze jasno i precyzyjnie. Nawet jej najmłodsza córka, której wieczorem nadal jeszcze czytała opowieści o pracowitym krasnoludku i grzecznych biedronkach, które latem radośnie świętowały przy kolorowych lampionach, zauważyła zmianę matczynego usposobienia. Dostrzegła również, że matka poruszała się często jak stara kobieta, a jej ciało zrobiło się nabrzmiąte, lecz nie miała odwagi zapytać o powód tych zmian choćby ciotkę Jettchen czy Josephę. Mimo to w mig nauczyła się wykorzystywać możliwości, które niosła ze sobą nowa sytuacja.

Również owego pamiętnego popołudnia zręczna taktyczka bez wahania czerpała z rogu obfitości podsuwanego przez fortunę tym, którzy potrafią docenić decydującą chwilę. Opłotła ramionami szyję matki, delikatnie niczym niemowlę i z uśmiechem niewiniątka, choć przestała nim być, odkąd straciła wiarę w cudowną moc serduszki okazałej, zapewniła ją o swej wielkiej miłości, a na pożegnanie wycisnęła jej na czole głośnego całusa. Stojąc już na klatce schodowej, pomiędzy pierwszym piętrem a parterem, ten szczwany lisek wyjawiał swoje nietypowe życzenie uległej cioteczce, która nie nauczyła się zawczasu opierać proszącym dziecięcym oczom.

W witrynie sklepu z artykułami dla plastyków i wyszukany przyborami szkolnymi przy Töngesgasse, który nadal miał w ofercie imponujące zapasy solidnego przedwojennego towaru, od trzech tygodni leżał wspaniały drewniany piórnik. Nawet matka, która nie zważałaby na pieniądze ani obowiązujące od czasów Seneki prawdy pedagogiczne, pokręciłaby głową, gdyby jej dziecko wyciągnęło rękę po tak kosztowny przedmiot. Victoria dowiedziała się o nim dzięki Mariechen, ona jednak nie miała najmniejszych perspektyw na to, by choć małym palcem tknąć owo ekstrawaganckie przedwojenne чудо. Victoria z oszołomieniem przyciskała nos do witryny.

– Czegoś tak pięknego jeszcze nie widziałam – wyszeptwała. Poprosiła ciotkę, by położyła jej rękę na piersi i poczuła, jak głośno bije jej serce.

Przesuwane wieko pysznącego się na zielonej aksamitnej serwetce podłużnego etui było starannie

pomalowane i polakierowane: kawalerzyści odziani w kolorowe stroje, z Wilhelmem II na czele, wyruszali na manewry. Cesarz, w mundurze, na siwku, przypominał pomnik. Również wizerunek konia – z uniesionym łbem i wielkimi oczami – stanowił istne arcydzieło. Nawet ciotka Jettchen rozpromieniła się na widok tego majstersztyku. Z minuty na minutę wzmagало się w niej pragnienie przemysłnego dobicia targu. Rozsądny właściciel sklepu dał jej poznać, że się waha. Po cichu zwrócił uwagę na to, że ów niezwykły piórnik stanowi rodzinną pamiątkę.

– Powierzyła mi go pewna znana w całej Hesji arystokratyczna rodzina – wyjaśnił sprzedawca, któremu mniej chodziło o „interes”, a bardziej o „zaufanie, które okazał mu ten szacowny ród”.

Miał siwe włosy oraz oczy, które ciotka Jettchen, przywiązująca dużą wagę do swej intuicji co do ludzi, uznała za szczere. Zaoferowała zdecydowanie więcej, niż oczekiwał, i okazała mu tyleż samo serdeczności. Ponieważ wartość marki znacznie spadła, a w obiegu były już monety z żelaza, cynku i aluminium, pomysłowa ciotka zaproponowała w końcu, że rozstanie się z jedną ze swych bransolet, wąską obręczą ze złota. Niezdecydowany sprzedawca skinął w końcu głową, wyrażając aprobatę. Z życzliwym uśmiechem zapakował piórnik. Pochwalił Jettchen za dobry gust i zrozumienie dla sztuki. Wieczorem pochwalił także kartoflanę, choć niechętnie ją jadał, a zaskoczonej żonie powiedział, że ów dzień był dla niego wyjątkowo dobry.

Ciotka Jettchen wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie i poleciła Victorii dygnąć. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że drewniane cudeniko z wizerunkiem cesarza, który konno podążał w kierunku blasku nadchodzących zwycięstw, mogłoby być niemile widziane w rodzinie, skoro temuż cesarzowi oddała ona chłopca, w którym pokładała nadzieję.

– To dowodzi – podsumowała zadowolona ciotka Jettchen podczas długiej drogi powrotnej do domu – że jeśli nadarzy się okazja, należy ją wykorzystać.

– Wydawało mi się – odrzekła jej powiernica, która lubiła łapać innych za słówka – że tylko żołnierzami można dowodzić.

– W przyszłości nikt ci nie dorówna, moje dziecko! Jesteś przecież mądrzejsza niż chłopiec.

– Ale nie mądrzejsza niż Otto – zastrzegła oddana siostra.

Radosne obieżyświatki były tak zachwycone swoją wycieczką oraz wspianą zdobyczą, że po powrocie nie znalazły nawet chwili, by zgodnie z domowym zwyczajem zamienić buty na filcowe pantofle. Victoria wparowała do kuchni niczym landsknecht plądrujący wszystko, co napotka na swojej drodze, a za nią weszła zziajana, rozpalona ciotka Jettchen, nadal w pelerynie i kapeluszu.

Betsy, strażniczka domowego ogniska, właśnie zamierzała rozdzielić do kolacji chleb, którego zapasy akurat na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, były bliskie wyczerpania, podobnie jak zapasy kartofli. W białym fartuchu, z dużym żąbkowanym nożem w ręku, stała zwrócona plecami do drzwi i próbowała wyjaśnić odpornej Josephie, która na zmianę uderzała ręką o drewniany stół i lekko tupiała nogą, że resztką pożywej kiszki wątrobianej przeznaczona jest wyłącznie dla pana domu. Johann Isidor stracił na wadze i często skarżył się na bóle żołądka. Po tym wątpliwym zwycięstwie Betsy przekonywała, że Erwin i Clara mogliby wieczorem z powodzeniem pić napar z pokrzywy zamiast mleka oraz że z pewnością nie zaszkodziłoby im, gdyby jedli kiełbasę z dodatkiem ziemniaków w mundurkach. Rzeźnik z Burgstrasse określił ją ostatnio jako „wyśmienicie doprawioną wędlinę”. Oburzenie Josephy rosło.

– Nasz Erwin przecież jeszcze rośnie – obruszyła się – czyż nie powinien być duży i silny?

– W naszych czasach to ci słabsi uchodzą z życiem. Słabsi i dekownicy.

– Spójrz tylko – nudziła Victoria – no spójrz, co kupiła mi ciocia Jettchen.

Pociągnęła matkę za rękaw i niecierpliwie szurała stopami; licząc na reakcję, odwinęła z miękkiej bibuły nowy piórnik, zaczęła odsuwać wieko i wolno zasuwać je z powrotem. Migoczący płomień świecy, którą od niedawna zapalano co wieczór, by oszczędzić prąd, rzucał łagodny blask na piękny łeb cesarskiego siwka.

– Koń będzie galopował bardzo szybko, jeśli mu każę – powiedziała dziewczynka obdarzona bujną wyobraźnią. – Patataj, koniku, patataj!

Klaskała w dłonie i przyśpiewywała, żeby wprowadzić się w odpowiedni nastrój.

– Leć, chrabąszczu, leć dostojnie, kiedy tata tam na wojnie.

Zbyt późno zorientowała się, że świat zadrżał w posadach. Twarz matki zrobiła się ognistoczerwona, na jej czoło wystąpił pot, usta drżały. Betsy, niczym w transie, pchnęła bochenkiem chleba szklanę z wodą. Naczynie upadło na kamienną podłogę. Rozległ się potężny huk. Wszędzie leżały odłamki.

– Ojej – jęknęła ciotka Jettchen i schyliła się, by je pozbierać.

– Niech ciocia to zostawi! – ofuknęła ją Betsy.

Pchnęła ciotkę w kierunku drzwi, nożem do chleba z wściekłością uderzyła o brzeg małej metalowej miseczki i gwałtownie wyrwała piórnik osłupiałej córce. Victoria się zachwiała. Przez przerażający moment wydawało jej się, że ta odmieniona, niesprawiedliwa, miotająca się i pastwiąca nad dziećmi matka zaraz ciśnie o podłogę kosztownym prezentem od ciotki, tak jak wcześniej zrobiła ze szklanką. Wtedy burza ustała. Z właściwą sobie rozwagą troskliwej pani domu Betsy odłożyła piórnik na kuchenny stół.

Jęknęła, rozdierana bólem, opadła na krzesło i zaczęła się wpatrywać w obrus. Jej spojrzenie, skrzące się jadowitą zielenią, było w odczuciu Victorii coraz bardziej obce i groźne. Powietrze zdawało się uchodzić z piersi pani Betsy. Oddychała ze świstem, spostrzegłszy to, przestała i zakryła dłońmi szkarłatną ze wstydu twarz, lecz po jej drżących ramionach dziewczynka poznała, że matka płacze. Widziała to po raz pierwszy od czasu, kiedy do domu przy alei Rothschildów nadeszła z frontu wiadomość o śmierci Ottona.

– Nie chciałam, żebyś była zła – powiedziała wystraszona Victoria. – To przecież tylko głupie pudełko z głupim koniem.

Dziewczynka spostrzegła, że matka jej nie rozumiała. Betsy przyciągnęła bochenek do siebie i objęła niczym dziecko, które upadło i potrzebuje pocieszenia. Płaczliwym głosem, który jej córkę przeraził jeszcze bardziej niż łzy, wyrzuciła z siebie:

– Nie chciałam tej wojny. Nigdy. I nie chcę urodzić kolejnego syna, który pewnego dnia napisze mi: „cieszę się na swój chrzest bojowy”, a potem zostanie ustrzelony jak kaczka i nie będzie miał nawet grobu.

– Jak kaczka – wyszeptała Victoria.

– Nie – powiedziała Josepha.

Przez chwilę głaskała panią Betsy po głowie, czego nigdy nie robiła, gdyż należała do tych, którzy

potrafią uszanować granice.

– Nie teraz. Nie przy dziecku – dodała cicho.

Rozejrzała się dookoła. Czuła się zazenowana własną śmiałością, z roztargnieniem rozwiązała, a potem związała troczki fartucha, z kamiennego zlewozmywaka wyciągnęła szmatkę, by zetrzeć mokrą podłogę. Uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie musiała zbierać odłamków szkła, ale jej ręce nie uspokoily się jeszcze na tyle, by mogła to zrobić. Zwróciła uwagę na oczy Victorii – pomimo pobłyskujących w nich jeszcze łez mówiły wiele. Josepha podejrzewała, że dziewczynka odziedziczyła matczyną zdolność przeczuwania, co się święci. Niepokojem napawało ją to, że nie mogła się do niej uśmiechnąć. Mała niby to nie zauważyła, jak ciało jej matki zaczęło się zaokrąglać, i utwierdzała ją w mocnym przekonaniu, że wciąż wierzy w bociana w czerwonej chustce na szyi i z zawiniątkiem z niemowlęciem w dziobie, a jednak kiedy pani Betsy wybuchła, dziewczynka nie wątpiła ani przez chwilę, że mówiąc o synu, bynajmniej nie miała ona na myśli Erwina.

Nowy piórnik, który Victoria od tamtej pory nosiła do szkoły, o czym matka ani nie wiedziała, ani o to nie wypytywała, przynosił jej szczęście. Już w kolejnym tygodniu usilne starania dziewczynki w nauce pięknego pisma Sütterlina^[23] nagrodzone zostały oceną bardzo dobrą przez nielubianą panią Schäfer.

Praca sporządzona na grubym, białym papierze, który dzieci miały przynieść z domu, pomyślana była jako bożonarodzeniowy prezent dla rodziców i zawierała aktualne przesłanie: „Kto czerstwy chleb je z apetytem, tego głód nie oburzy. Kto troski ma i pieczeń je, temu posiłek nie posłuży”. Pozostawiono do wyboru dzieci, czy podawać będą długie nazwisko autora. Ugodowa Victoria przepisała z tablicy drukowanymi literami „Johann Wolfgang von Goethe”, a jej nieokrzesany brat drobniutkim, koślawym pismem nabazgrał ołówkiem na marginesie: „Chłopak z Frankfurtu, który nigdy nie służył w wojsku”.

W tamtym roku po raz pierwszy w salonie nie stała bogato przybrana choinka z dmącymi w puzony aniołami i połączanymi orzechami. Tak zarządził pan domu. Jego dzieci nie miały śmiałości zapytać go o powód. Betsy przeczuwała, z czym miało to związek, lecz powiedziała jedynie: „ech”. Następnego dnia dodała: „Mój ojciec się ucieszy”.

Tak jak wiele żydowskich rodzin, dla których właśnie za czasów cesarstwa poczucie przynależności do Niemiec i asymilacja z chrześcijańskim otoczeniem znaczyły więcej niż własne pochodzenie i tradycja, Johann Isidor i Betsy żyli w złudzeniu emancypacji i równości. Obchodzili ważne żydowskie święta i czasami też szabas, posłali synów na bar micwę, a całą czwórkę na lekcje religii ojców. Z przyzwyczajenia pościli w Jom Kippur, a także czuli wstręt do wieprzowiny. Zapewniali się nawzajem, że ani w głowie im nie postanie, by przejść na chrześcijaństwo. Życzyli sobie również żydowskich zięciów, ponieważ sami widzieli, jak córki ciotki Jettchen, które zawarły chrześcijańskie małżeństwa, oddalają się od matki. Mimo to w śnionych na jawie snach tęsknili za światem, w którym na pytanie dotyczące wyznania odpowiadano jedynie „ewangelickie” bądź „katolickie”.

Nie wstydzili się swojego pochodzenia, lecz wysyłając Ottona i Erwina do synagogi, napominali ich, by głowę nakrywali dopiero na miejscu, a nie gdzieś na ulicy, oraz by „nie zwracali na siebie niepotrzebnie uwagi”, gdyż, jak twierdzili, odbiłoby się to przecież na nich wszystkich. Chętnie przyjaźniliby się z ludźmi innych religii, lecz to marzenie prysło wcześniej. Niemniej jednak Johann Isidor i Betsy często myśleli o tym, że może przynajmniej ich córkom uda się trafić do warstwy społecznej, której obawy mniejszości są równie obce jak nawyki żywieniowe Indian.

Macę spożywaną podczas Paschy przynoszono do domu pod nieuwagę sąsiadów. Na Boże Narodzenie Josepha faszerowała gęś jadalnymi kasztanami.

Gospodyni, która w swym rodzinnym domu nauczyła się przygotowywać karpia na słodko, mieszać ćwikłę z chrzanem, na szabas zaplatać w warkocz chałkę z makiem, a w piątkowy wieczór odmawiać błogosławieństwo nad świecami, włożyła do pieca blachę pierniczków i pogroziła Victorii, że jeśli nie posprząta w swoim pokoju, to Mikołaj będzie się gniewał.

W salonie, niecały metr od szabasowych świeczników, które niegdyś należały do dziadków, na paterze przyozdobionej jodłą leżały korzenne pierniczki oraz marcepanowe ciasteczka ze zmielonych migdałów i cukru pudru. W Wigilię na choince sięgającej pod sufit paliły się świece. Pani domu także w kwestiach mniej ważkich miała zamiłowanie do estetyki, dlatego ułożyła pod drzewkiem prezenty na wzór martwej natury, co sprawiało, że nawet sceptyczna Clara zwykła wzdychać z podziwem.

– To dla naszej służby. Nie powinna przecież czuć się wykluczona tylko dlatego, że pracuje w żydowskim domu – wyjaśniła pani Betsy, gdy na jej nieszczęście w grudniu odwiedził ją ojciec. – A i dzieci też nie powinny czuć się pokrzywdzone, skoro ich szkolni koledzy będą obchodzić Boże Narodzenie.

Dobroduszny, wyrozumiały mężczyzna wypytywał córkę, wychowaną przecież na osobę świadomą tradycji, dokąd zmierza i co właściwie obiecuje sobie osiągnąć. Był przy tym nieprzyjemnie bezpośredni.

– Powinnaś – polecił jej podczas pożegnania – zawczasu zamówić złotego cielca, moje dziecko. Niebawem z pewnością ich zabraknie, jeśli więcej z nas będzie myśleć jak ty. O, wtedy dopiero twoje biedne dzieci będą się czuć potwornie wykluczone.

Wzburzona Betsy szukała pociechy u męża, lecz Johann Isidor tylko dolał oliwy do ognia. W ordynarny sposób uszczyptała żonę w policzek, zaśmiał się rubaszenie, jakby opowiedziała mu jakiś sprośny dowcip, i powiedział:

– Nie potrafię mieć temu staruszkowi za złe, że mówi prawdę prosto w oczy.

Ową życzliwą opinię madame Betsy co do tego, że powinno się uszanować tradycje religijne służby niebędącej pochodzenia żydowskiego, podzielało wiele osób o poglądach podobnych do jej zapatrywań. Żydzi, którzy dążyli do asymilacji, obśmiewali ortodoksyjnych braci w wierze oraz religię nieprzystającą do czasów, w których żyli. Byli dumni z samodzielnie wypracowanej wolności, pragnęli mieć blond włosy i niebieskie oczy i marzyli, by dostać się do warstwy społecznej zabraniającej utrzymywania kontaktów z Żydami nawet służbie. Ciągnęło ich do świata, który nie chciał ich przyjąć, i bez skrępowania zaglądali do kościołów. Z lubością cytowali słowa Heinricha Heinego, że chrzest jest „biletem wstępu do europejskiej kultury”, mało kto jednak zdawał sobie sprawę, że po przyjęciu tego sakramentu powie: „Teraz znienawidzony jestem i jako Żyd, i jako katolik”.

Niemieccy Żydzi, którzy wierzyli we własne iluzje, dzieciom nadawali imiona Siegfried, Sigismund oraz Dietlinde. Stroili je w ludowe sukienki i marynarskie ubranka i ze wzruszeniem pokazywali odlaną z brązu Germanię z pomnika w Niederwaldzie. W rocznicę bitwy pod Sedanem^[24] pełnym głosem śpiewali z maluchami *Niech nam żyje cesarz*, a na Boże Narodzenie posyłali je do kościoła razem ze służbą, by mogły podziwiać żłóbek. Gdy w odwiedziny przyjeżdżali rodzice, którzy nadal przestrzegali koszerności, a synom i córkom przypominali o ich pochodzeniu, ci – zasymilowani – ze skrępowaniem pozbywali się szynki i jak najdyskretniej pytali ich o dzień odjazdu. Każdy z nich chlubił się swą

ukochaną niemiecką ojczyzną i był niezbitcie przekonany, że ojczyzna ta nigdy już nie wykluczy żydowskich obywateli i na zawsze przygarnie ich do serca – byle tylko odcięli się od korzeni i przystosowywali do nieżydowskiego otoczenia.

Życie w domu na pierwszym piętrze przy alei Rothschildów 9 zmieniło się dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset czternastego roku, gdy Johann Isidor dowiedział się, że jego pierworodny syn poległ na froncie, i powodowany potrzebą, której do swych ostatnich chwil nie potrafił sobie wytłumaczyć, w każdy piątkowy wieczór chodził do synagogi i wspominał tam Ottona. Grające na puzonach anioły z zażenowaniem wyniesiono na strych, a dzieci nie zachęcano już do śpiewania kolęd. Z wygnania powrócił ośmioramienny srebrny świecznik, który Johann Isidor otrzymał z okazji bar micwy. Od tamtej pory w czasie Chanuki ustawiano na nim świece. Chanuka zaś przypadała zwykle mniej więcej w czasie Bożego Narodzenia.

– I przypomina o zwycięstwie Machabeuszy nad Grekami, którzy chcieli Żydom gwizdnąć ich wiarę – wyjaśnił Erwin zdezorientowanej Josephie. – Mój ojciec po prostu na kilka lat o tym zapomniał. Teraz przykro mu z powodu tego nieporozumienia i chce się stać innym człowiekiem. I my też musimy się stać innymi ludźmi, i będziemy obchodzić nasze własne święta. Nie musisz już piec dla nas gęsi na Boże Narodzenie.

– Jakby w ogóle można było te gęsi kupić! Przestań w końcu robić sobie żarty ze starej kobiety, bezczelny nicponiu.

– Nie robię sobie z ciebie żartów, Josepho. Szukam po prostu kogoś, kto zacznie się dziwić wraz ze mną.

– I właśnie do mnie z tym przychodzisz? Mnie już od dawna nic nie dziwi.

Betsy nigdy się nie dowiedziała, co spowodowało u jej męża tę zmianę poglądów, która tyleż ją dezorientowała, ile budziła w niej lęk. Gdy w nocy słyszała jego pojękiwanie, nawet nie przeczuwała, jakie zmory go nachodzą. Nie domyślała się ani przez chwilę, że mężczyzna wyznaje grzechy, których nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

– Powinieneś znów przyjmować sodę – radziła mu po nocach, gdy cierpiał katusze – przecież zawsze ci to pomagało.

– Dobry pomysł – zgadzał się Johann Isidor. Rozmawiając, uciekali od siebie spojrzeniami, kierowali wzrok za okno.

Nie doskwierały mu cielesne cierpienia. To dusza i sumienie odbierały mu spokój. Udręczony wciąż zadawał sobie to samo pytanie: czy śmierć Ottona była boską karą dla ojca, który nie nauczył syna wierzyć? Dzień po dniu wyczytywał w zaczerwienionych oczach Betsy ten sam zarzut: był ojcem, który osiemnastolatka poświęcił na ołtarzu własnych patriotycznych ideałów. Czy w ogóle był dla Ottona ojcem naprawdę, nie tylko z nazwy? Czy go znał, kochał, dał odczuć ojcowską dumę, która mu się należała?

Johann Isidor Sternberg czuł się tak, jakby postawiony mu zarzut wypisano na ścianach wszystkich domów, przytwierdzono do każdego drzewa. Nieustannie tylko napominał syna, ganił, karał, wymagał od niego szacunku i posłuszeństwa. Nie okazywał miłości, nigdy nie krył rozczarowania, że jego potomek nie będzie taki jak on sam, tak pracowity, ambitny, wytrwały i skuteczny, nie stanie się mężczyzną, któremu powodzi się w życiu i przed którym wszyscy uchylają kapelusza. Czy zatem Bóg karał ojca, który

nie dostrzegł w porę, że obojętność i buta są grzechem?

Skrucha załamane go człowieka była potężna. Nie wstydził się spuścić głowy i przysiągł sobie, że raz jeszcze obierze drogę swego przeznaczenia. Erwin jednak, rozważniejszy, wrażliwszy i już w wieku lat czternastu dojrzałszy niż jego zmarły brat, przejrzał ojca i wiedział, że to jemu próbuje zrekompenzować krzywdy wyrządzone Ottonowi. Ten odmieniony ojciec wypytywał go życzliwie o plany po ukończeniu szkoły. „I po wojnie” – dodał prędko.

– Być może zostanę malarzem – odrzekł średni syn Johanna Isidora.

Nie podniósł wzroku znad kartofli, które właśnie pokroił na sześć równych plastrów i skropił sosem cebulowym.

– Fach w ręku zawsze się ceni – pochwalił go zdumiony ojciec.

W cichości pochwalił też siebie samego, gdyż nie pokazał po sobie zdziwienia.

– Nie mam na myśli malowania ścian – wyjaśnił Erwin. – Zastanawiam się raczej nad tym, żeby ściany pokrywać obrazami.

– Jak Rembrandt?

– Jak Rembrandt. Tylko bardziej nowocześnie.

– *Pardon* – mruknął ojciec.

Nie zaczerwienił się. Był też pewien, że nie zrobił z siebie głupca przed kilkunastoletnim synem, czuł jednak ból. Miało upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim ze swoimi dziećmi będzie mógł rozmawiać równie swobodnie jak z klientami czy partnerami w interesach.

Poważany pan Sternberg, który swoim dzieciom stale przypominał o moralności ludzi prawych i w każdej życiowej sytuacji zalecał żołnierską dyscyplinę, również jako mąż zbroczył z właściwej drogi. Uległ grzechowi niczym całkiem zwykły człowiek, który nie wie, co to honor, przyzwoitość ani względ na klasę społeczną oraz rodzinę. Melancholijny siwowłosy mężczyzna szukał w sobie młodzieńca, którym nigdy nie był, raz jeszcze chciał poczuć siłę swych lędźwi i na błogą chwilę zapomnieć o tym, co zbyt wcześnie odebrały mu ambicja i zabiegi o uznanie i władzę.

Chciał usłyszeć śmiech beztroskiej kobiety, doświadczyć namiętności. Ten, który zszedł na manowce, chciał poczuć jędrne piersi, zobaczyć podwiązkę z ciemnoczerwonego aksamitu na udzie, a nie opatrunek z białej gazy wokół kostki. Chciał leżeć obok kogoś, kto nie nakładał siatek na włosy, by nie zniszczyć fryzury, i kto nie zanudzał go stopniami dzieci z łaciny nawet w łóżku.

Gdy trwał ów cud, zamiast zuchwałych roszczeń praczki oraz niestosownych uwag impertynenckiego rzeźnika Johann Isidor wysłuchiwał komplementów młodej namiętnej kobiety. Zapewniała go o swej miłości po kres czasu i wierzyła w bajki. Jej oczy przypominały gwiazdy, usta miały barwę wiśni, i nikt nie wmówił jej, że oddawanie się mężczyźnie to jej kobiecy obowiązek.

Odurzony Johann Isidor nie zamierzał wdawać się w romans. Potrzebował jedynie tego ożywczego uznania, które starzejącego się mężczyznę doprowadza do jego początków, lecz wizyty u młodej uzdrowicielki weszły mu w nawyk. Początkowo odbywały się w każdą środę po południu, zawsze po naradzie z zarządem wydawnictwa.

– Dziwne – powiedziała pewnego razu Betsy, która coś przeczuwała, ale odczekała chwilę, jak to mają w zwyczaju ludzie mądrzy – przecież wcześniej te narady nie odbywały się tak regularnie.

– Nie masz pojęcia, co się u nas dzieje, odkąd do planu wydawniczego włączyliśmy kartki humorystyczne. Muszę ci koniecznie kilka przynieść. Uśmiejesz się do łez.

– Z pewnością – odparła.

Dziewięć miesięcy później jej mężowi wystawiono rachunek. W czerwcu tysiąc dziewięćset ósmego roku został ojcem dwóch zdrowych córek. Dziewczynki urodziły się w odstępie jedynie trzech tygodni, a z Anną, tą starszą, biologiczny ojciec nie był z prawnego punktu widzenia spokrewniony. Dzięki umiejętności roztropnego planowania nie został nawet zobowiązany, by łożyć na jej utrzymanie. Matka dziecka zgodziła się nie podawać nazwiska Sternberg w urzędzie stanu cywilnego dopóty, dopóki będzie on w wystarczającym stopniu opiekował się nią i ich córeczką. Johann Isidor wywiązywał się z tej obietnicy. Był uczciwym kupcem. Nie musiał niczego deklarować na piśmie. Dotrzymywał umów zawartych ustnie i wykazywał się gestem i niezawodnością, za którą wszyscy go cenili. Po narodzinach Anny swoje cotygodniowe odwiedziny porzucił na rzecz krótkich wizyt co trzy miesiące.

Victoria, jego dziecko z prawego łóża, wykańczała go nerwowo. Czemu odczuwał ten ostry ból, skąd brało się poczucie winy, gdy tylko spojrzał na tę rezolutną, przemądrzałą i uroczą dziewczynkę? A bliźnięta? Nigdy nie wiedział, co myślały i dlaczego spoglądały na siebie, a nie na niego, gdy z nimi rozmawiał. Zdarzały się dni, kiedy tak bardzo gubił się w gąszczu własnych emocji, że on, mężczyzna, który dopuścił się zdrady małżeńskiej, winą za swoją niewierność obarczał Betsy i poczytywał śmierć Ottona za boską karę za grzech cudzołóstwa.

Gdy powodowany ciężarem zwątpienia, zaczął uciekać z mieszkania, zwierzył się pewnemu starszemu mężczyźnie, którego nazwiska nawet nie znał. Nie sięgał mu on nawet do ramion, był chuderławy i miał białą jak śnieg brodę; najwidoczniej należał do ludzi pobożnych, którzy nie opuszczają żadnego nabożeństwa. O każdej porze roku starzec chodził w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Mówił niewiele, lecz z jego oczu Johann Isidor wyczytywał gotowość do wysłuchania, której łaknął jak spragniony wody. Co piątek po zachodzie słońca siadał w synagodze przy parku Friedberger Anlage obok tego człowieka, o którego pochodzeniu ani życiu nie wiedział nic.

Słyszał oddech, sapanie i modły małomównego nieznajomego. Czytając wersy w modlitewniku, starzec poruszał ustami niczym dziecko, które dopiero co poznało litery. W trakcie modlitwy jego wątłe ciało kołysało się w przód i w tył. Majętny pan Sternberg zazdrościł temu lichu ubranemu mężczyźnie, jak nie zazdrościł jeszcze nikomu, ponieważ nie był on w domu Boga zbłąkanym jak on sam, nie był przygodnym gościem, który tylko przypadkiem nacisnął klamkę u drzwi swego gospodarza. Ten pokorny rozmodlony człowiek o oczach pełnych oddania rozumiał to, co wierzący rozumieć powinien. Johann Isidor jednak wlepił wzrok w modlitewnik, nie pojmując sensu hebrajskich liter. Słyszał śpiew oraz modły, lecz stał się jak głuchy, który niczego już nie wie – w drodze do wyższych sfer wyparł to, czego nauczył się jako dziecko. Starszy mężczyzna i jego zatroskany sąsiad od czasu do czasu podnosili głowy w tym samym czasie. Odmówiwszy modlitwę za zmarłych, uśmiechali się do siebie, nieco zawstydzeni, niczym dzieci, które się nie znają i którym matki poleciły – za ich aprobatą – nawiązać przyjaźń. W jednym z takich momentów Johann Isidor zwierzył się starcowi.

– Skoro On chciał ukarać za grzech właśnie pana – zapytał mędrzec – to dlaczego nie strzeże również synów ludzi, którzy nie grzeszą?

– Ale ja nie wiem, co począć.

– Moja żona – przypomniał sobie starzec – wciąż powtarza, że głowę trzeba wymiatać równie porządnie jak kuchnię.

– I panu to pomaga, gdy coś pana trapi?

– Czasami tak, a czasami nie. To zależy od tego, czy miotłę trzyma sam Wszechmogący.

– A kiedy tak jest?

– Wydaje mi się, że wtedy, gdy widzi, że ja sam już zacząłem pracę.

Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem nowego roku Johann Isidor podjął decyzję, by spisać na nowo przynajmniej ten rozdział życia, który jeszcze nie został zredagowany. Listownie powiadomił panią Friederike Emilie Haferkorn, że zamierza ją odwiedzić.

Na adresatkę listu w kręgu przyjaciół mówiono Fritzi, panią Haferkorn nazywali ją zaś sprzedawcy w Sachsenhausen, nauczycielka córki, lekarz rodzinny, dozorczyńni i służąca. Nikomu, wyłączając nauczycielkę, która przecież musiała mieć w dzienniku informację o jej stanie cywilnym, nie przyszłoby do głowy, że ta piękna dwudziestosekstoletnia blondynka nie miała męża.

Każdy, kto ją znał, a było tych osób wiele, ponieważ lubiła ludzi, a ludzie lubili ją, uważał Fritzi za niezwykle dzielną wdowę, której należało okazać współczucie i której mąż, marynarz, zginął, jak na ironię, akurat w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei. Zaradna kobieta na utrzymanie swoje i małej córki, w co również nikt nie wątpił, zarabiała pracą chałupniczą.

Ta zgrabna bajka łatwo się przyjęła – Fritzi przeprowadziła się na Textorstrasse dopiero po narodzinach Anny i przezornie odcięła się od przeszłości. Na dodatek była osobą, która niechętnie oglądała się za siebie – wolała raczej spoglądać przed siebie. W tej kwestii przypominała ciotkę Jettchen, której sprzedawała kiedyś bordiurę w kolorze ultramaryny do obszycia aksamitnych zasłon. Zanim pewnego chłodnego zimowego wieczoru panią Haferkorn poddała się burzy i naporowi swego pracodawcy, była bowiem ze wszech miar cenioną sprzedawczynią w pasmanterii Sternberg przy Hasengasse. Dzięki swemu wczesnemu macierzyństwu oraz poczuciu odpowiedzialności ze strony Johanna Isidora Fritzi od siedmiu lat nie musiała pracować na własne utrzymanie. Chciał ją poślubić pewien dobroduszny mistrz malarski, który mało mówił, ale nie zadawał też wielu pytań, a już na pewno nie o to, kto jest ojcem jej dziecka. Często ponawiał oświadczyń, lecz Fritzi nie spieszyło się do małżeństwa. Niepokoiła ją myśl o tym, że ich szczodry dobroczyńca mógłby w takiej sytuacji nie chcieć już opiekować się swą córką tak samo troskliwie jak dziećmi z prawego łóża.

Mała Anna była potulną, grzeczną i refleksyjną dziewczynką, równie piękną jak jej przyrodnie siostry z alei Rothschildów, która tak jak one wcześniej wydorosła, okazała się jednak mniej przemądrzała i gadatliwa. Podczas swoich wizyt ojciec dostrzegł u niej, o czym jej matce nie wspominał, ciemne oczy Victorii o równie melancholijnym wyrazie, ostro zarysowany nos Ottona i własną śniadą cerę. Podobieństwo Anny do dzieci, które urodziła mu Betsy, było oczywiste, a dla Johanna Isidora wzruszające, mimo że długo wzbraniał się to przyznać.

W odróżnieniu od wielu mężczyzn, którzy nie potrafili się oprzeć pokusie chwili, nigdy nie podał w wątpliwość swojego ojcostwa. Victoria i Anna jako niemowlęta wyglądały uderzająco podobnie. Obie miały loki i dołeczki, ząbkowały w tym samym czasie i wypowiedziały pierwsze słowo, gdy miały po dziesięć miesięcy. Później Anna odkryła, podobnie jak kiedyś Clara, słowo „jabłko”. Swego ojca nazywała wujem Johannem. Dygała, gdy przychodził, i dygała, gdy sobie szedł, odpowiadała na każde

pytanie, które do niej kierował, nigdy jednak nie rozmawiała z nim, gdy nie musiała. Oczywiście nie znała też jego nazwiska.

Troskliwy wuj trzymał istnienie swojej córki w tajemnicy i rozpieszczał ją prezentami, których matka nigdy nie mogłaby jej kupić, gdyby poślubiła mężczyznę ze swojej warstwy społecznej. Johanna Isidora cieszyła własną szczodrością. Ze sklepu przy Oeder Weg, a więc z dzielnicy, do której jego Betsy nigdy nie chodziła, polecał wysyłać Annie owoce i słodycze. Posłaniec, który nie potrafił wypowiedzieć dwóch składnych zdań, przynosił jej drogie ubrania, czasem nawet sprowadzone z Paryża lub Wiednia. Johann Isidor polecał dostarczać je do pasmanterii. Jego dawna pracownica nigdy nie żałowała, że posłuchała przełożonego. On zaś był jej wdzięczny, że ich córce opowiedziała wyłącznie o nieszczęsnym ojcu marynarzu, którego wydarł jej sztorm.

Zbliżające się negocjacje z Fritzi przysparzały Johannowi Isidorowi poważnych trosk. Nastawił się na prośby i łzy, wątpił w siebie, szukał pomocy u doktora Meyerbeera i rzadko oponował, gdy wieczorem Betsy nalegała, by napił się naporu z waleriany. Ku swojemu zdumieniu nie napotkał żadnej z trudności budzących obawy każdego mężczyzny proponującego kobiecie ostateczne rozstanie. Nie padły też zarzuty, których się spodziewał i które w jego odczuciu byłyby całkiem słuszne. Mając w pamięci swego wpływowego, dobrodusznego mistrza malarskiego – od przyjęcia sylwestrowego w klubie karnawałowym czuła do niego większą niż wcześniej skłonność – Fritzi Haferkorn powiedziała z ujmującą bezpośredniością: „Wszystko zależy od tego, co mi pan zaproponuje”.

Chwilę wcześniej ojciec jej dziecka zapytał, czy odpowiadałoby jej, gdyby zerwał kontakty z nią i małą Anną, jeśli wspomagałby je odpowiednią sumą.

– Przynajmniej na razie – dodał jako ostrożny taktik.

Zatroskany zwrócił uwagę, że tak czy owak zdobycie dobrych dziecięcych ubranek, owoców i słodyczy stało się bez mała niemożliwym, a do tego coraz ciężiej jest mu dotrzeć na Textorstrasse.

– Lat mi nie ubywa – powiedział, ocierając pot z czoła.

– Już dobrze – uspokoiła go Fritzi – dość już zjadła bananów. A jeśli wyrośnie z sukienek, można przecież spruć zakładki.

Godzinę później wspięła się na palce i dała Johannowi Isidorowi Sternbergowi pożegnalnego całusa. Jego propozycja przytłoczyła ją. Słowny przedsiębiorca nie tylko wyznaczył sumę, która wystarczyć miała do końca nauki Anny w szkole. W sposób wiarygodny zaręczył, że chce zabezpieczyć Fritzi przed inflacją przewidywaną przez specjalistów. Jeszcze w lutym miała otrzymać ziemię w Schotten, o której pani Betsy nie wiedziała. Trzy godziny później Fritzi obiecała mistrzowi malarskiemu, że za niego wyjdzie. Uczcili to wydarzenie butelką szampana Feldgrau z frankfurckiej wytwórni Feist. Rok wcześniej Johann Isidor podarował ten trunek Fritzi na Boże Narodzenie, ona jednak schowała prezent na wyjątkową okazję. Anna piła z kieliszka dla lalek. Także jej ojciec uważał ten dzień za wyjątkowy. Był wprawdzie zbyt roztropny i szczery, by wmówić sobie, że uwolnił się od grzechu, lecz po raz pierwszy od siedmiu lat mógł bez wstydu i nie czyniąc sobie wyrzutów myśleć o Betsy. Ponieważ z czystym sumieniem powracał na łono rodziny, spieszno mu było do domu. Wiał lodowaty, przejmujący wiatr. Dmuchał w nos i powodował, że łzy napływały mu do oczu. Mimo to Johann Isidor stawiał kroki długie i pewne, były to kroki mężczyzny, który nie waha się i przed nikim nie trwoży.

Jak wszyscy skruszeni grzesznicy, również on odczuwał potrzebę, by zobaczyć uśmiech osoby, wobec

której zgrzeszył. Kwaciarnia obok pasmanterii była jednak zamknięta, podobnie jak znany mu sklepik z czekoladą – przed wojną można było w nim dostać ulubione praliny Betsy, pistacjowe kostki ze śliwkami moczonymi w araku. Jedna z księgarni miała w ofercie „nowości wydawnicze dla niemieckiej młodzieży”. Oddany, troskliwy ojciec kupił Victorii pięknie ilustrowane wydanie *Małego kanoniera*, a bliźniętom broszurki *Nasi lotnicy* i *Wielka wojna*.

Wychodząc, zauważył porcelanową paterę. Wyjątkowo mu się spodobała i uznał ją za doskonałą pod względem artystycznym hołd dla tych, w których rękach spoczywał los narodu. Wieniec z drobnych czerwonych róż okalał portrety Wilhelma II oraz cesarza Austrii Franciszka Józefa – mężczyzn, za których jego osiemnastoletni syn dobrowolnie poszedł na śmierć.

Johann Isidor kupił paterę, choć kosztowała sześćdziesiąt marek i jak na prezent z okazji, o której przecież nie będzie mógł powiedzieć, wydała mu się nieco za droga. Postanowił, że wręczy ją Betsy jeszcze przed kolacją, cieszył się na myśl o wyrazie jej twarzy i własnym radosnym nastroju. Zamarznięta kałuża, nie większa od kobiecej dłoni, pokrzyżowała mu jednak plany.

Potrzebował zbyt wiele siły, by jako człowiek honoru uporządkować przyszłość małej Anny i uwolnić sumienie. Wychodząc ze sklepu, skupił się wyłącznie na swym głosie wewnętrznym, a nie na solidnym oparciu, którego wymaga życie. Przewrócił się przy Bergerstrasse na wysokości Merianplatz, i to akurat przed sklepem mięsnym, w którym Betsy co piątek robiła zakupy. Jego kończyny nie doznały szwanku, tylko na rękawie płaszcz zrobiła się paskudna plama. Ucierpiała jednak jego duma. Pewna śliczna młoda dziewczyna z grubymi warkoczami, co najwyżej w wieku Clary, pomogła mu stanąć na nogi tak ostrożnie, jak gdyby upadły mężczyzna był starcem poruszającym się o lasce.

– Tydzień temu mój dziadek też się tak fatalnie przewrócił – pocieszało go to niczego niepodejrzewające dziecko.

Najbardziej ucierpiała droga porcelanowa patera. Podarek skruszonego grzesznika dla wyrozumiałej, złąconej z nim w wierności małżonki rozbił się na trzy części. Chociaż Johann Isidor od razu zdał sobie sprawę z tego, że w jego gniewie nie ma krzty logiki, przeklął wszystkich niemieckich cesarzy. A później też austriackich.

– Źle wyglądasz – powiedziała Betsy podczas kolacji. – Mam nadzieję, że nie dostaniesz gorączki. A może masz kłopoty?

– Nie większe niż zwykle – odparł.

KAŻDY WEDLE SWYCH SIĘ

Frankfurt, 1 stycznia – 31 grudnia 1915

Rok tysiąc dziewięćset piętnasty rozpoczął się u Sternbergów od błogich nadziei, które osładzały pierwszy dzień roku, oraz od oszukanego pasztetu. Na rosenthalowskim półmisku do mięs prezentował się on, pomimo przybrania z natki pietruszki i małego kartonowego kominiarza, niczym dziewczka od bydła w jedwabnych trzewikach. „General-Anzeiger”, który w latach tłustych zajmował się tematami kuchennymi jedynie w wyjątkowych przypadkach, w numerze na drugą niedzielę adwentu opublikował przepis na erzac pasztetu. Potrzebne było dwieście gramów wątrobianki, dwa pęczki włoszczyzny przepuszczonej przez maszynkę do mięsa, filiżanka dobrze namoczonej kaszy, dwie łyżki stołowe margaryny, zamiennik pieprzu oraz „cebula, majeranek i cząber wedle zapasów”. Do tego podano kiszoną kapustę oraz kluski z ciemnego chleba. Kaszę jęczmienną, którą pomysłodawca przepisu, piekarz, polecał do opatentowanego przez siebie wynalazku, Josepha odkładała przez cały tydzień. W „General-Anzeiger” dodatek warzyw nieszczególnie polecano z powodu niepisanej zasady obowiązującej we Frankfurcie od nowego roku. Stwierdzono tylko oględnie, że o kiszoną kapustę „może być obecnie trudno”.

Josepha dostała kapustę od swych krewnych z Bad Nauheimu w zamian za dwa staromodne kapelusze – niebieski słomkowy po pani Betsy oraz własny z granatowego filcu. Nie nałożyłaby go, nawet gdyby szła tylko na targ po cebulę, lecz żegnając się z kuzynką, fuknęła, że za „tak zacną rzecz” nie zdoła jej się odwdzięczyć nigdy.

Kiszona kapusta – przyprawiona jagodami jałowca, które można było jeszcze dostać u sprzedawcy warzyw przy Vogelsbergstrasse, oraz liśćmi laurowymi z własnych zapasów – już w trakcie gotowania pachniała wolnością i błogostanem oraz piękną mieszczańską tradycją, na której tak długo można było polegać. Josepha, wnosząc do jadalni pękatą misę, w której swego czasu podawano warzywa dla siedmiu osób, a której teraz nie mogła wypełnić choćby do połowy, z dumą pani domu, właściwą kobietom, które nie poddają się bez walki, oświadczyła:

– Kto w Nowy Rok nie je we Frankfurcie kiszonej kapusty, ten przez kolejnych dwanaście miesięcy nie będzie miał pieniędzy. Wiedzą to nawet przyjezdni nie wiadomo skąd.

Ten drobny żart robiła pierwszego stycznia każdego roku w samo południe, lecz w roku tysiąc dziewięćset piętnastym, wbrew temu, co zwyczaj nakazuje ludziom, którzy chcą sprawić przyjemność służbie, pan domu się nie zaśmiał. Wpatrywał się posępnie w swój talerz i odparł:

– W czasach wojny nie ma to absolutnie żadnego znaczenia, Josepho. Nie jest już ważne, czy mamy pieniądze czy nie. Ważne jest jedynie to, co można za nie kupić, a żeby to zobaczyć, już dziś potrzebujemy szkła powiększającego.

Johann Isidor zazwyczaj nie rozmawiał z domownikami o bieżącej sytuacji materialnej, tym razem jednak nie tylko był przygnębiony, ale i źle się czuł. Kiszona kapusta nie służyła mu nawet wówczas, gdy cieszył się dobrym zdrowiem, a w tamtej chwili skarb z Bad Nauheimu drażnił jego kiszkę, zanim jeszcze do nich trafił. Gospodarz westchnął, ale natychmiast wyjaśnił, że musiał odchrząknąć. Absolutnie nie zamierzał ganić Josephy. Widział jednak, jak ją uraził – poczerwieniała jak piwonia i mocno zacisnęła wargi. Johannowi Isidorowi było wstyd, a w gardle poczuł nieprzyjemne pieczenie. Aby uczynić zadość uprzejmości należnej dniowi świątecznemu, uśmiechnął się do kucharki. Ta stała w drzwiach z masywną salaterką mocno przyciśniętą do brzucha.

– Cóż przyniesie nam ten nowy rok? – zapytał ją.

– Najpewniej świat chwiać się będzie jeszcze bardziej niż teraz – odparła Josepha ponuro.

– Brawo, Kasandro! – wypaliła Clara. Jej brat wstał i pomachał serwetką na wiat. Victoria swoją wepchnęła do buzi, by stłumić chichot. Matka spojrzała na nią i powiedziała karcąco: „Siedź prosto!”.

Mroczna przepowiednia Josephy nie odbiegała od prawdy ani trochę. W połowie miesiąca gazety doniosły, że trzęsienie ziemi zniszczyło duże obszary południowych i środkowych Włoch. Życie straciło trzydzieści tysięcy osób. Johann Isidor poinformował o tragedii podczas posiłku.

– To kara boska za to, że ci szubrawcy walczą po niewłaściwej stronie – skwitował Erwin.

Każdy, kto lubił dzieci, wyczytałby z jego łagodnej twarzy, że nie powiedział tego serio, chciał tylko raz jeszcze spróbować chłopięcej zuchwałości, ojciec określił jednak tę uwagę jako „ordynarną impertynencję” i teatralnym gestem kazał synowi wstać od stołu. Owego czwartku podano akurat kluski z suszonymi owocami, które poniżony jadał wyjątkowo chętnie, Josepha jednak zrekompensowała to swemu pupilkowi w kuchni – podwójną porcją owoców. Ponadto tylko kluski Erwina zostały posypane cynamonem. Ojcu, tłumaczyła Josepha, wymachując łyżką, należy współczuć. I tak, dodała, ma zbyt dużo na głowie.

– A za mało w głowie – sarknął Erwin.

Kilka dni później w niełaskę popadły jego siostry. Tydzień od osiemnastego do dwudziestego czwartego stycznia ogłoszono w Rzeszy Tygodniem Wełny. W zakładach pracy, podczas spotkań gospodyń domowych oraz w szkołach uczestnictwo w zbiórce na rzecz wojska określano jako „obowiązek wobec ojczyzny”. Clara, niespytawszy matki o zgodę, przekazała do punktu zbiórki przy Scheidswaldstrasse dwie pary znieawidzonych wełnianych majtek i bieliznę jednoczęściową. Towarzysząca jej Victoria oddała „biednym, zmarzniętym żołnierzom” swój nowiuteńki szlafrok uszyty z wełnianego koca oraz długie brązowe wełniane skarpety, które pasowałyby na nią jeszcze przynajmniej przez rok. W podobny sposób dzień później pozbyła się białej lnianej koszuli i wstrętnych pończoch noszonych razem z nią. Ciężarna matka dziewczynek, bardzo zatroskana o to, czy zapasy węgla wystarczą do wiosny i radująca się z każdej sztuki ciepłej bielizny w szafie dzieci, o owej samodzielnej inicjatywie dowiedziała się z ust ich samych. Łzami przesiąkły trzy chusteczki i jeszcze o północy ciotka Jettchen musiała parzyć jej herbatę z krwawnika.

Betsy postanowiła przykładowie ukarać Clarę za to, że niewinną młodszą siostrę namówiła do występku, a inicjatywę dobroczynną wykorzystała do własnych celów. Następnego dnia dowiedziała się jednak, że pomysł, by w ten właśnie sposób rozstać się z uprzykrzonymi elementami garderoby, wyszedł od Victorii i to Clara dała się omotać.

Wydarzenia wojenne również Erwinowi przysporzyły niezatartych wspomnień. Gdy coraz więcej nauczycieli zamiast na katedrze musiało służyć ojczyźnie na froncie, w Gimnazjum Klasycznym imienia Cesarza Fryderyka lekcje rysunku połączono z lekcjami historii. Specyfika czasów spowodowała, że te pierwsze zajęcia nie były już w takim stopniu jak wcześniej ukierunkowane na piękno natury i romantyczny charakter malarstwa. W styczniu tysiąc dziewięćset piętnastego roku Erwin Sternberg spędził trzy i pół tygodnia, rysując krążownik pancerny „Blücher”. Zanim jeszcze ukończył pracę, pochwalono go za nadzwyczajny talent realistycznego przedstawiania detali technicznych. Blisko siedemdziesięcioletni nauczyciel gimnazjalny, doktor Gisbert Hartmann, którego z sielskiego zacisza w Bensheim przy uroczej Bergstrasse wojna wezwała z powrotem do życia szkolnego, powiedział nawet, że „być może widziałby go jako malarza marynistę”. Tego samego dnia, dwudziestego czwartego stycznia, Blücher został zatopiony podczas bitwy morskiej z udziałem niemieckich oraz brytyjskich krążowników liniowych na ławicy Dogger. Głos Hartmanna przybrał tonację molową. Ze smutkiem wypisanym na twarzy nauczyciel polecił swym uczniom „na znak szacunku” przerwać pracę nad rysunkiem.

Wróciwszy do domu, Erwin zrelacjonował te zdarzenia, a że już wszędzie mówiło się o zagrożeniu wojną z użyciem okrętów podwodnych, wysnuł pewne podejrzenie.

– Prawdopodobnie Grizzly każe nam rysować już tylko łodzie, które tak czy owak są pod wodą – powiedział.

Choć utrata Blüchera bardzo ojcem wstrząsnęła, tym razem nikt nie kazał chłopakowi wstać od stołu. Niemiecka marynarka wojenna zdecydowanie nie była wyłącznie dumą cesarza.

Luty przyniósł lepsze wiadomości. Drugiego doniesiono o porażkach Brytyjczyków w Mezopotamii, piątego – o klęsce rosyjskiej ofensywy na Bukowinie, a dwudziestego siódmego zameldowano, że Rosjanie ponieśli ogromne straty w Karpatach. Na szkolnych dziedzińcach wiwatowano. Victoria wróciła do domu z rysunkiem – listem gończym rozesłanym za carem „Mikołajem Świnorusem, podpalaczem i zabójcą oraz byłym pomagierem kata”. Nabyła to dzieło za kanapkę cienko posmarowaną margaryną z kminkiem. Ciotka Jettchen pochwaliła jej przedsiębiorczość. Matka zganiła, lecz niezbyt stanowczo. Dwudziesty ósmy lutego przyćmił zaś w rodzinie Sternbergów nawet wydarzenia wojenne.

W liście, który dzień wcześniej posłaniec dostarczył do biura pasmanterii Sternberg, pani Friederike Haferkorn informowała Johanna Isidora, że przepisanie na nią jego działki w Schotten nie przebiega bez komplikacji. Pytała, czy ma go odwiedzić i gdzie. Jej niegdysiejszy szef i kochanek zdał sobie sprawę, że musi działać natychmiast. O ósmej rano wyruszył w rodzinne strony wynajętą dorożką, woźnicy musiał wypłacić wynagrodzenie w postaci dziesięciu funtów mąki oraz małego pudełka cygar. Żonie powiedział, że ma ważną naradę w Moguncji i wróci najwcześniej późnym wieczorem.

Myśl o tym dniu napawała doktora Meyerbeera strachem. Nastawiony wyłącznie na leczenie ciężkich chorób sezonowych połączonych z gorączką, który dotąd zetknął się tylko z czterema przypadkami czerwonki, o dwunastej w południe dowiedział się o nadchodzącym rozwiązaniu w domu Sternbergów. Przez paraliżującą chwilę, której wspomnienie jeszcze długo później przyprawiało go o ból głowy, doktor pragnął natychmiast i na zawsze rozpląnąć się w powietrzu. Znalazł się w typowych dla tamtych czasów tarapatach. Choć jako lekarz traktowany był przez władze w sposób uprzywilejowany, już od wielu dni nie mógł dostać benzyny do swego adlera. Jazdy na rowerze się nie nauczył, a dłuższe trasy,

zwłaszcza jeśli nie dało się ich pokonać w tempie odpowiadającym siłom starszego pana chorego na reumatyzm, stanowiły dla niego udrękę.

Gdy Josepha, w fartuchu i filcowych pantoflach, z rozpuszczonymi włosami i całkowicie zasapana, wpadła do jego gabinetu i krzyknęła: „Akuszerka nie mogła przyjść, a łaskawego pana nie ma w domu”, długoletni lekarz rodzinny Sternbergów uzmysłowił sobie natychmiast, że będzie musiał pieszo pokonać drogę od swojego gabinetu przy Humboldtstrasse do alei Rothschildów.

Co więcej, w najlepszym razie do pomocy będzie miał niezamężną, rozhisteryzowaną kucharkę, która o rodzeniu dzieci nie miała pojęcia.

Meyerbeer nie miał nawet chwili, aby sprawdzić zawartość torby. Były w niej brom, belladona, jod i aspiryna, środek na kolkę, który rzadko kiedy skutkował, oraz składana prowizoryczna szyna do unieruchamiania złamanego stawu, maść cynkowa i olej rycynowy. Kiedy jednak bez kapelusza i w rozpiętym płaszczu gnał za sapiącą Josephą, świadomy, że w każdej chwili może się przewrócić na oblodzonym chodniku, uzmysłowił sobie, że zapomniał stetoskopu. Ponadto w jego gabinecie próżno by szukać kleszczy porodowych, choć każde niemieckie dziecko wiedziało, że jakkolwiek trwale okaleczono nimi ramię czcigodnego cesarza, to jednak właśnie temu przydatnemu narzędziu zawdzięczał on życie.

Doktor Adolf Meyerbeer, solidny, zdecydowany oraz zachwalany przez swych pacjentów jako rozważny diagnostyk, był lekarzem ogólnym. Jeszcze nigdy nie przyjmował porodu. Służbowo ostatni raz miał do czynienia z rodzącą w trakcie piątego semestru studiów – i stał wówczas tak daleko, że ledwo mógł dojrzeć tył głowy lekarza prowadzącego. Wówczas jednak uświadomił sobie, że zdecydowałby się raczej zostać szamanem wśród Indian niż ginekologiem w Niemczech.

Doktor Meyerbeer zaplanował, że w wieku sześćdziesięciu pięciu lat wycofa się z wyczerpującego życia zawodowego i w końcu z czystym sumieniem poświęci się swej kolekcji znaczków oraz dziesięcioletniemu wnukowi. Wojna oraz poczucie obowiązku – był przecież urzędnikiem państwowym – uniemożliwiły mu jednak usunięcie się w sferę prywatną. Meyerbeer co noc jeździł do wezwań, i to w wieku, w którym sam niejednokrotnie musiał skonsultować się z kolegą. Ręki też nie miał tak pewnej jak kiedyś.

Już na początku tysiąc dziewięćset piętnastego roku krucho było z opieką medyczną poza obszarem walk. Otwierano coraz więcej lazaretów, w których potrzebowano lekarzy, a równocześnie wzrastała liczba chorych wśród ludności cywilnej, źle odżywionej, z dnia na dzień coraz bardziej zatroskanej o swoich bliskich na froncie. Młodzi doktorzy służyli w wojsku, starsi byli często przeciążeni. Rozterki przeżywali w szczególności lekarze rodzinni, nie bez powodu sami określający się przecież przez całe swoje życie zawodowe jako toiowolodzy, gdyż nagle wymagało się od nich umiejętności, które niegdyś leżały w kompetencji specjalistów.

Doktor Meyerbeer, jakby przeczuwał, co czeka go w domu Sternbergów, już od czwartego miesiąca ciąży pani Betsy wielokrotnie i z zapałem zalecał jej poród w szpitalu. Dobitnie i elokwentnie argumentował, że wiele kobiet w ostatnich czasach nie wydawało dzieci na świat w domu, a ich odczucia z tym związane były przeważnie jak najlepsze. Jako przyjaciel rodziny „wuj Adolf”, jak nazywała go Victoria, a nawet jeszcze bliźnięta, kilkakrotnie pozwolił sobie wręcz na uwagę, że pani Betsy „nie jest już w wieku, w którym zazwyczaj zachodzi się w ciążę”. Za każdym razem, gdy madame Sternberg słyszała tę wypowiedzianą w dobrej wierze opinię, niczym prosta kobieta składała ręce nad

zaokrąglającym się brzuchem i nieprzyjemnie głośnym tonem kontrowała: „Jeśli moje łóżko było wystarczająco dobre dla czwórki dzieci, piąte też będzie musiało się nim zadowolić”.

Doktora Meyerbeera to trapiło. Uważał, że z takim uporem do twarzy byłoby jeszcze piętnastoletniej córce Betsy, jednakże w przypadku czterdziestotrzylatki, która miała problemy z woreczkiem żółciowym i nie mogła nawet jeść bitej śmietany do ciasta śliwkowego, ta przekora wydawała mu się bezczelnością. „Zwłaszcza w stosunku do lekarza” – skarżył się żonie w trakcie kolacji. „Oby tylko nie wpadła na pomysł, by mnie wezwać, gdy zaczną się skurcze. Kto nie chce słuchać, musi poczuć”. Pani Meyerbeer wyjątkowo się z nim zgodziła. Była zdania, że mąż wykończy się dla Sternbergów, a oni i tak nigdy wystarczająco mu się nie odwdzięczą.

Usta Erwina zrobiły się sine, drżał, przytrzymując lekarzowi drzwi. Przez trzy kwadransy stał na ulicy i go wyglądał. Równie krucho było z samym doktorem, który dźwigał marnie wyposażoną torbę lekarską. Już na parterze z trudem łapał powietrze, usłyszawszy jęki rodzącej dobiegające z pierwszego piętra. Jemu też chciało się jęczeć. Czuł się słabo i nędznie, a zamknąwszy oczy na ułamek sekundy, zobaczył profesora Buchheima w białym kitlu i z rozczochranymi włosami. Lekarz krzyczał ostrzegawczo: „Moi panowie, niech się panom tylko nie wydaje, że trawa przykryje każdy panów błąd”. Pacjent leżący na tragach w sali wykładowej ryczał ze śmiechu, studenci nie wazyli się poruszyć.

Sień była pogrążona w ciemności, oświetlenie na klatce schodowej nie działało. Meyerbeer z trudem szedł na górę, przytrzymując się poręczy. Na nogach jak z ołowiu dotarł do przedpokoju, zobaczył bladą Clare, która pędziła w kierunku kuchni, i potknął się o swoją lewą stopę. Zdenerwowany tarł guziki płaszcza, a Josepha niecierpliwie szarpała go za rękawy. Trzasnęły któreś drzwi. Przez korytarz przemknęła jakaś kobieta. Wówczas stał się cud.

Doktor Adolf Meyerbeer, któremu niestraszne były śmierć, diabeł ani gangrena, lecz który położnictwo już w wstępie wykluczył z repertuaru swych usług medycznych, usłyszał głos, który rozpoznał od razu. Był ostry niczym pęknięte szkło, zbyt apodyktyczny, by uchodził za przyjemny w ogólnie przyjętym znaczeniu, doktorowi jednak owo donośne brzmienie zdawało się anielskim śpiewem. Dobiegający go głos należał do akuszerki, panienki Grete Neger.

Dziękując Stwórcy za wybawienie od koszmaru i tarapatów, w które wpadł, medyk wyciągnął ręce do nieba. Poklepał Erwina po ramieniu tak mocno, że chłopak się zachwiał, nazwał go wspaniałym urwisem i uszczęśliwiony pogładził swój płaszcz. Omal nie wzięłyby w objęcia nadal jeszcze zawodzącej Josephy. Chwilę później usłyszał jednak diaboliczny wrzask – skrzek stworzenia, w którym rozradowany lekarz nie potrafił jeszcze rozpoznać ani głosu człowieka, ani głosu zwierzęcia.

Sam polecił Sternbergom siostrę Neger jako najlepszą położną w całym mieście. To, że wbrew temu, co twierdziła Josepha, owa solidna akuszerka, przy której bezpiecznie czuli się i bogaci, i biedni, i której nigdy nie nachodziły wątpliwości ani zwątpienie, była na miejscu oraz wnosząc po sile głosu, w gotowości do działania, dodawało Meyerbeerowi tyle otuchy, że doktor roześmiał się gromko niczym dostawca piwa. Poniosło go tak bardzo, że niczym podpity marynarz ryknął „uhu!”, wyciągnął z torby bandaż i otarł nim czoło.

Był szczęśliwy jak uczeń w pierwszy dzień wakacji. Rozluźniony, co najwyżej nieco skołowany, wyglądał skrzeczącego stworzenia. Nie dostrzegał niczego ani nikogo. Dopiero gdy po raz drugi skierował spojrzenie na ogród zimowy, zauważył papugę ciotki Jettchen. Siedziała w klatce i wyglądała

tak, jakby szeroko się uśmiechała. Przerażliwie głośno skrzeczała na zmianę: „Otto to kochany chłopak” i „Otto umarł”.

Doktor Meyerbeer był zaskoczony i wściekły. Miał wrażliwą naturę, a w dziedzinie psychologii wyprzedzał swoją epokę. Przez całe życie zajmował się nie tylko ludzkim ciałem, lecz także duszą. W tamtym momencie z przerażeniem wyobraził sobie, co może czuć matka, gdy nieustannie słyszy imię swego syna dopiero co poległego na wojnie.

– Nie pozwalaj sobie, ty parszywcu! – rzucił groźnie w stronę ogrodu zimowego.

Trzy minuty później doszło do groteskowego nieporozumienia. Kiedy papuga wykrzyczała swoje „Otto umarł” po raz czwarty od przyjścia Meyerbeera, pani Betsy wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Josepha pospieszyła do sypialni z garnkiem parującej wody, rozplakała się akurat przy łóżku leżącej w połogu kobiety i zrobiła znak krzyża.

Spokojny, zawsze opanowany lekarz stał w drzwiach do kuchni. Cierpliwie czekał, aż Josepha wróci z sypialni. Skrzyżował ręce na piersi, dłonie wsunął pod pachy, i lekko kołysał ciałem. Gdy był wściekły, z zasady zniżał głos, dlatego nadzwyczaj cicho powiedział:

– Proszę tej kreaturze uzmysłowić, że marnie z nią będzie. Jeśli natychmiast nie zamknie swego przeklętego dzioba, jeszcze dziś wyląduje na patelni.

Zamiast przykryć klatkę kocymkiem, co natychmiast uciszyłoby rozradowaną papugę, Josepha pospiesznie się oddaliła. Poślizgnęła się na frędzlach leżącego w jadalni dywanu, blada popędziła do ciotki Jettchen, która z wystraszoną Victorią siedziała w salonie, i przerażona powtórzyła końcówkę pierwszego zdania z groźby doktora Meyerbeera, bo w zdenerwowaniu tylko tyle zrozumiała. Victoria usłyszała, jak kucharka szepcze jej ukochanej ciotce do ucha: „Marnie z nią będzie”. Dziewczynka spostrzegła, że górna warga i ramiona ciotki Jettchen zaczęły drżeć, i natychmiast oraz ze szczegółami przypomniała sobie dzień śmierci Ottona. Wtedy to najpierw usłyszała szept dorosłych, a następnie zobaczyła twarz matki, obcą i zastygłą jak twarz lalki. Josepha krzyczała „to niemożliwe!”, a ciotka skurczyła się w sobie i zaczęła kwilić niczym malutkie dziecko.

Wróciwszy do domu późnym popołudniem, ojciec zobaczył, że jego córka siedzi na kolanach ciotki i szłocha. To z ust Victorii usłyszał tę straszną wiadomość. On także zaczął cały drżeć. Wsparł się o poręcz bujanego fotela, krzyknął głośno „nie” i skrył twarz w dłoniach. Ciotka Jettchen, której na zbawienny moment udało się oderwać od tragedii dziejącej się w sypialni, postawiła Victorię na podłodze. Nie roniąc ani jednej łzy, wstała i objęła przerażonego pana domu. Victoria także przestała płakać. Gdy zobaczyła, że ojciec się uspokoił, zawstydzona wystawiła język przez szczyrbę między zębami i próbowała się uśmiechnąć. Nie była już wówczas najmłodszym dzieckiem w domu Sternbergów.

– Proszę tutaj – zawołał z sypialni doktor Meyerbeer. – Jak długo chcą państwo jeszcze tam tak sterczeć?

Jeszcze tego samego wieczoru Betsy udało się odmówić modlitwę dziękczynną. Jej piąte dziecko nie było synem, którego musiałyby wychować na porządnego Niemca i któremu pewnego dnia stałoby się pilno, by na polu chwały umrzeć za ojczyznę. Zadowolona matka przytuliła do piersi trzecią córkę. Uśmiechała się jak młoda kobieta i zapomniiała już, że nie chciała tego dziecka.

– Wspaniałe małeństwo – powiedziała pani Neger. Komplement ten kierowała jedynie do

bogatych rodziców. Biedni ludzie w najlepszym razie słyszeli: „Dziecko jest zdrowe”, oraz napomnienie, by dbali o jego higienę i nie uspokajali wódką.

Najmłodszy członek rodziny Sternbergów ważył pięć i pół funta i mierzył pięćdziesiąt jeden centymetrów. Jego oczy były niewinnie błękitne jak u wszystkich noworodków, lecz maleństwo przyszło na świat już z włosami, i to czarnymi jak u jego ojca. Głosem miało dorównywać papudze najdalej sześć miesięcy później. Na uwagę zasługiwało to, że dziecko, odkąd tylko pojawiło się w rodzinie, która nie była przygotowana na nowe życie, okazało się taktowne i przykładowie energiczne. Pchało się na świat szybciej i śmieiej niż pozostałe rodzeństwo. Matka leżała w bólach porodowych tylko pięć godzin.

Dziewczynka otrzymała imię dopiero trzy dni po narodzinach. Jej rodziców zupełnie nie zaprzętało pytanie, jakie imiona w owych ciężkich nadawać się będą dla chłopców z mieszczańskich rodzin czy dziewcząt z dobrych domów. Matka zaproponowała, by nazwać ją Anna, gdyż to zwięzłe i proste imię podobało jej się od zawsze. Johann Isidor rozpiął górny guzik koszuli. Nie chciał się na to zgodzić. Poirytowana Betsy dostrzegła zarówno ten nerwowy gest, jak i zdecydowany wyraz twarzy. Tylko dlatego przypomniało jej się owo niedzielne popołudnie otulone łagodnym jesiennym słońcem, kiedy na wiadomość o ciąży jej mąż zareagował tak osobliwie i odparł: „Chyba nie mówisz tego na poważnie, moja droga Fritzi”. Zachowała w pamięci każde słowo po kolei, każdy gest i chrząknięcie. Uśmiechnęła się.

– W takim razie może Fritzi – zaproponowała, gdyż należała do kobiet pokroju Gromiwoi^[25]. Również jako matka pięciorga dzieci gotowa była igrać z ogniem, nawet jeśli miałyby się przy tym sparzyć. – Nazwijmy ją po prostu Fritzi – powiedziała – to przecież takie przyjemnie krótkie i praktyczne imię, brzmi tak radośnie.

– Nie – zaproponował Johann Isidor. Głos miał twardy niczym żelazo, w oczach ani odrobiny strachu. Był mężczyzną, a czasami nawet bohaterem, który nie lękał się wyruszyć w bój z otwartą przyłbicą.

Zakończyli wojnę, zanim jeszcze zaczęli ją na dobre, gdyż od ich ślubu minęło dwadzieścia lat i wiedzieli, że w małżeńskich bojach nie ma zwycięzców, są jedynie zwyciężeni. Później wykazali się taktem oraz talentem dyplomatycznym, które męża i żonę spajają mocniej niż złote obrączki i przysięga wierności składana w dzień zaślubin. Johann Isidor delikatnie pogładził odsłonięte ramię Betsy i czule spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się i nie powiedziała ani słowa. Osiągnąwszy owo piękne porozumienie właściwe ludziom roztropnym, powierzyli zaszczyt wyboru odpowiedniego imienia dla leżącego w kołysce dziecka ciotce Jettchen i Victorii.

Pokrzepienia i otuchy potrzebowała zarówno ciocia, jak i jej cioteczna wnuczka. Pierwsza z nich niczym powszedniego chleba pragnęła potwierdzenia, że życie rodzinne Sternbergów byłoby bez niej bez smaku, że jest kochana i szanowana przez wszystkich. Od kiedy wybrała imię dla dziewczynki, która ssąc kciuk, leżała w kołysce Victorii, ostatecznie przestała liczyć zmarszczki na twarzy i pozostałe jej dni. Nigdy też już nie proponowała, że przeprowadzi się z powrotem do Darmstadtu, by zrobić dziecku więcej miejsca.

Victoria zaś po raz pierwszy w życiu cierpiała z powodu zazdrości, która z ludzi czyni swych zakładników. Podczas śniadania skarżyła się na ból gardła, w trakcie obiadu – na jednookiego olbrzyma, który zdybał ją przed mleczarnią przy Höhenstrasse i zagroził, że rozdepcze w drobny mak jej koraliki. Od chwili, w której wraz z ciotką Jettchen wybrała imię dla nowo narodzonej siostry, nie trzeba jej było

jednak pocieszać przygotowaną przez Josephę galaretką na miarę tamtych czasów: z mączki sago, okruchów razowego chleba i marmolady z berberysu. Potrafiła znieść widok rywalki leżącej w ramionach matki, nie łapiąc się przy tym za brzuch, a podczas mówienia przestała wpadać w monotennie śpiewne tony jak małe dziecko. Już pięć dni później przyniosła małej szydełkowy kaftanik z różowej angory i pasującą do niego czapeczkę. Trzy lata wcześniej obie rzeczy przeszły w posiadanie jej lalki Käthe. Przede wszystkim jednak porzuciła początkowe podejrzenie, że jej młodsza siostra to tak naprawdę dziecko czarownicy przysłane przez zabójców Ottona, by ją i bliźnięta zwabić do spowitego mrokiem, upiornego lasu i otruć marcepanowymi ciasteczkami.

Victoria, mając na uwadze dobro całej rodziny, podczas wyboru imienia wykazała się rozsądkiem oraz skłonnością do kompromisów. Bez sprzeciwu zrezygnowała z obydwu swoich propozycji – Roszpunki i Różyczki. Podczas pamiętnej narady z cioteczką, w której dostrzegała przecież zdecydowanie większą mądrość niż większość ludzi, rozbudziło się jej zainteresowanie historią.

– Alice – zaproponowała ciotka. – Jak nasza Alicja, niezapomniana żona ukochanego wielkiego księcia Ludwika. – Jej pupilka, zaledwie pierwszoklasistka, i to nie pochodząca przecież z Darmstadtu, początkowo nie wiedziała, o kogo chodzi, lecz opowiedziana przez ciotkę historia jej idola wywarła na niej wrażenie. – Była prawdziwą księżniczką – zachwycała się ciotka – i to przepiękną. Była córką słynnej królowej Wiktorii i przysłała na świat w pałacu Buckingham. W ciągu jedenastu lat urodziła swemu ukochanemu małżonkowi siedmioro dzieci. Była też ciotką cesarza Wilhelma II.

– I jemu też kupiła taki piękny piórniki jak ty mnie?

– Ach, dziecko, ona zmarła już dawno temu, ta nasza Alicja, chociaż na zawsze zachowamy ją we wdzięcznej pamięci. – Rozważna babunia przemilczała fakt, że ta ceniona wielka księżna Hesji i Renu, która z oddaniem opiekowała się swoimi chorymi na dyfteryt dziećmi, zaraziła się od nich i zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat. Uznała, że życie i tak wymogło na jej ciotecznej wnuczce zbyt wczesne zetknięcie ze śmiercią.

Alice Sternberg, która swoje imię nauczyła się wymawiać dopiero w wieku czterech lat, nazywano przeważnie Lilli – nikt w domu nie wiedział dlaczego. Pomimo nędznej sytuacji żywieniowej rosła zdrowo niczym chłopskie dziecko i wyglądała jak kupidyny z pałacowych ogrodów. Jej sześciolatnia siostra ciągała ją ze sobą wszędzie, pocieszała, zanim popłynęła pierwsza łza, hołubiła i kochała tak mocno, że Betsy na powrót nauczyła się wierzyć w cuda. Victoria czuwała nad snem małej niczym pies podwórzowy. Odkładała dla niej własny skąpy przydział ciasteczek i kostek cukru, gdy dziecko karmione było jeszcze piersią. Bujała siostrę w kołysce, aż obu kręciło się w głowach, obiecywała jej, że z narażeniem życia będzie ją chronić przed Francuzami, Brytyjczykami oraz Rosjanami, i śpiewała jej każdą piosenkę, której się kiedykolwiek nauczyła. Jesienią, gdy w uśmiechu Lilli połyskiwał już jeden ząb i gdy nauczyła się ona zacierać rączki, co świadczyło o jej pogodnej naturze, pewnego ranka o siódmej – rodzice jeszcze spali – rozległ się najnowszy przebój w wykonaniu Vicky. Szlagier ten pochodził z wciąż poszerzającego się repertuaru jej starszego brata i przyjaciółki Mariechen.

Szesnastolatek z klasy siódmej na wojnę ruszyć chce,

Lekarz sztabowy jednak na pierś wąską krzywi się.

„Szeroka jest dla kuli dość – chwatał rzeczce, pnać się wzwyż –

A gdy Pan Niebios zechce, to i na Żelazny Krzyż”.

– Jeśli mama to usłyszy, dom będzie drzeć w posadach – ostrzegła Clara. – Czy nie możesz temu dziecku choć raz zaśpiewać porządnej piosenki, Vicky? Na przykład *Ody do radości*? Albo *Co szeleści w słomie*?

Pytanie było retoryczne, ponieważ Clara nie miała ani czasu, ani ochoty, ani nawet najmniejszego zamiaru zajmować się rozwojem muzycznym beniaminka. Wciąż nie pogodziła się z narodzinami drugiej siostry. Każda łza Alice, jej śmiech i gaworzenie, które wszystkich pozostałych zachwyciły, niczym strzały godziły w jej wrażliwą psychikę. Panienska Sternberg miała bowiem nad wyraz jasne wyobrażenie o tym, jak powinny się zachowywać pary małżeńskie w średnim wieku, i była zdania, że przez pojawienie się dziecka jej sędziwi rodzice ośmieszyli całą rodzinę.

– Bądź co bądź są już w takim wieku, że mogliby mieć wnuki – skarżyła się bratu.

– Powiedz jeszcze, że coś w tym kierunku planujesz – odparł Erwin, nie psując puenty choćby delikatnym uśmiechem. – Theo? Coś takiego mi się obilo o uszy.

– Wydaje ci się, że jestem równie głupia jak nasza matka. Rodzi kolejne dziecko w czasach, gdy nie wie, jak wykarmi trójkę pozostałych.

– Z tego, co wiem, Alice jest produkcji przedwojennej. Ledwie co, zdradziła mi to Josepha.

Clara, dziewczyna o kąśliwym języku, wcześniej rozkwitła i stawała się piękną. Ubrania jej matki, których pozbyto się za czasów dostatku, zostały przyniesione ze strychu, a krawcowa od dawna pracująca dla Sternbergów przerobiła je tak, żeby pasowały na ich najstarszą córkę. Nie minęło nawet dziesięć lat, odkąd zwinna mistrzyni igły zaczęła jej szyć ciemne fartuszki szkolne i białe sukienki z obszernymi rękawami przeznaczone na niedzielne spacerki. Na piętnastolatce, którą trudno już było nazwać podlotkiem, suknie madame Betsy, jej spódnice i bluzki ze szlachetnych materiałów opierające się działaniu czasu równie skutecznie jak duma i uprzedzenie w niemieckich domach mieszczańskich, wyglądały uroczo.

– Niczym z paryskiego salonu – skomentowała matka z dumą.

Clara, dziewczyna o jedwabistych włosach, ulubienica wszystkich nauczycieli i właśnie dlatego niezbyt lubiana przez nauczycielki i koleżanki ze szkoły, pomimo troskliwej pieczy swego zazdrosnego brata bliźniaka powoli wkraczała w samodzielne życie. Począwszy od października tysiąc dziewięćset piętnastego roku, nadzwyczaj często urzędowała na balkonie pokoju rodziców, skąd tęsknie wyglądała jednego z najemców ojca. Gdy tylko nadarzała się okazja, by zasmakować grzechu, Amor, który nie troszczył się ani o wojnę, ani morale obrońców ojczyzny, wysłuchiwał modłów złąknionej życia dziewczyny i sięgał do swojego kołczana.

Krótko po tym, jak udawało się jej wypatrzyć obiekt swojego pożądania, Clara zjawiała się na klatce schodowej. Stawała pod tekturową tabliczką jeszcze z czasów przedwojennych, która mieściła harmonogram sprzątnięcia schodów, piwnicy i strychu na bieżący tydzień oraz komunikat o tym, że także w czasie wojny należy zachować ciszę w porze obiadowej. Do szesnastej winno się zaniechać gry na pianinie oraz śpiewu. W czasie gdy – jak sądziła jej niczego niepodświadoma matka – Clara miała przebywać na pożytecznym kursie szycia i robienia na drutach przy ulicy Prüfling, dziewczyna zamykała zielone jak u kota oczy. Ściągała pełne usta, stawała na czubkach palców i uszczęśliwiona poznawała

uciechy pierwszej miłości.

Jej wybranek nazywał się Theodorich Rudolf Berghammer. Był dwudziestoletnim doświadczonym mężczyzną, całkiem dobrze znanym rodzinie Sternbergów, chociaż od dawna niemiłe widzianym przez Johanna Isidora. Pamiętać należy, że swego czasu młody Berghammer pokazywał uroki życia najstarszemu bratu Clary. Ofiarny przyjaciel Ottona, który ostatecznie uwolnił się od przedwczesnych pieszczot depresyjnej macochy, zaopiekował się teraz jego młodszą siostrą.

Czasu na podobne uciechy przystojny Theo miał wówczas pod dostatkiem – na początku wojny był wprawdzie fotoreporterem, został jednak wyznaczony do zadań wymagających więcej niż tylko dobrego rozeznania i pewnej ręki. Jako żołnierz, którym stał się wbrew swej woli, został ciężko ranny na froncie zachodnim i przeżył normalną podczas wojny odyseję: najpierw wylądował w lazarecie w Giessen, a potem wypuszczono go stamtąd z bezwładną prawą ręką i bez lewej stopy.

Początkowo wyglądało na to, że już nigdy nie będzie mógł utrzymać aparatu, nie mówiąc już o broni. Młodą, piękną dziewczynę mógł jednak nawet lewą ręką objąć tak mocno, że oba serca biły w takt na trzy czwarte. Niedługo później zakochani uwolnili się od tego, co stanowiło fundament ich zażyłości. Coraz rzadziej rozmawiali o Ottonie, a o jego ofierze za ojczyznę, którą zawsze kochał dużo bardziej niż Theo, nie mówili prawie w ogóle. Młody Berghammer, o czym wiedział w domu każdy, wcześniej zaczął się skłaniać ku socjalizmowi. Zamiast krawata zawsze nosił czerwoną chustkę.

Choć widoki na przyszłość były nie najlepsze, Clara i Theo dyskutowali o szczęściu i wolności. Czasami w ich rozmowach zjawiała się też para nowożeńców na siwym koniu. O zmierzchu, gdy na podwórzu zapadał błogi zmrok i chronił ich od spojrzeń zagrażających każdej młodej miłości, Theo recytował wiersze Heinricha Heinego, których żadna piętnastoletnia uczennica nigdy na lekcji niemieckiego by nie usłyszała i których by też nie zrozumiała. Mimo to oczy Clary wilgotniały. Gdy bez przed domem zaczął w kwietniu wypuszczać pączki, w maju zakwitła pierwsza róża, a w mieście unosił się zapach, za którego sprawą w niepamięć poszedł erzac śledzia i kapuśniak, rozmawiali już wyłącznie o miłości i wzdychając, rymowali wyrazy „serce” i „w rozterce”.

W nocie takie jak tamte Clara czytała podręcznik do ginekologii, który po śmierci Ottona wyciągnęła spod jego materaca i schowała na później pod bielizną. Podobnie jak swego czasu jej bratu, jej również sprawiało niemałe trudności interpretowanie ilustracji i rozumienie fachowych terminów. W tym ekscytującym czasie wielokrotnie przychodziło jej wymuszać na Erwinie śluby milczenia.

– W przeciwnym razie – uprzedzała przebiegle – mogłoby mi się kiedyś wymyknąć, że mój braciszek zupełnie poważnie myśli o tym, aby zostać drugim Rembrandtem.

– Nie – zaprzeczył kiedyś nieustraszony młodzieniec, którego poza malarstwem mało co na świecie interesowało. – Drugim Kandinskim, ale ty masz go najpewniej za polskiego Żyda, a *Błękitnego jeźdźca* za kapę dla konia.

– I co w tym złego? – zapytała Clara. Wyglądała czarująco w brązowej wełnianej matczynej spódnicy, którą krawcowa ozdobiła zieloną aksamitną lamówką z pasmanterii Sternberg. Nawet jej rodzony brat uznał, że jej widok cieszy oko.

Drugą tajemnicę Clary początkowo znał jedynie Erwin, ów wierny towarzysz dziecięcych czasów, którego żaden mężczyzna nigdy nie mógłby pozbawić miejsca w jej sercu. Po niemałych wysiłkach, pomimo młodego wieku i dzięki renomie swej rodziny, udało się jej zdobyć pracę w charakterze

sanitariuszki w szpitalu gminy żydowskiej we Frankfurcie, gdzie stawiała się dwa razy w tygodniu. Kurs szycia i robienia na drutach, pożyteczny pod każdym względem, również wtedy okazał się przydatny, by wytłumaczyć jej regularne nieobecności w domu. Szpital żydowski przy Gagerstrasse, dla młodych nóg oddalony od alei Rothschildów o niecałe dwadzieścia minut, otwarto w pierwszym roku wojny. Nowoczesna lecznica, wyposażona w najlepsze technologicznie sprzęty, stała się we Frankfurcie symbolem postępu w medycynie. Oddział dla rannych musiano wciąż rozbudowywać.

Ku złości i rozczarowaniu matki Clara okazała się zdumiewająco nieporadna w opiece nad niemowlęciem. Zajmowała się nim niechętnie i sprawiała wówczas wrażenie nadąsanej. Mała Alice, która głośno radowała się na widok Victorii, krzyczała wniebogłosy, gdy jej najstarsza siostra zamierzała choćby zmienić jej pieluchę. Tymczasem z dorosłymi mężczyznami ręce dziewczyny obchodziły się umiejętnie, delikatnie, działały kojąco, tak jak tego łaknęli bohaterowie Niemiec. Wielu z nich uszło śmierci jedynie o włos. Najmłodszych wojna dosłownie wyszarpała z rodzinnych domów. Pograżeni byli w czarnym morzu bólu, strachu i zwątpienia, lecz gdy Clara stawała przy ich łóżkach, ich oczy na chwilę powracały z mroku.

– Ona jest aniołem – usłyszał Johann Isidor, gdy zdekonspirował córkę jako nieposłuszną oszustkę, którą, jak sądził, zostawiał pod czujnym okiem matki lub chociaż przy maszynie do szycia. Musiał jednak z dumą przyznać, że takiej córce należał się szacunek.

Mimo że prawdę o tymże aniele objawił surowemu ojcowskiemu oku zwykły przypadek, Johann Isidor bynajmniej nie skazał Clary na potępienie.

– Po prostu nie można czynić dobra i trzymać tego w tajemnicy przed ludźmi, którzy również spełniają swój obowiązek – podsumował w rozmowie, dzięki której w końcu także matka ochoczej młodej bohaterki o wszystkim się dowiedziała.

W drugim roku wojny, za sprawą działalności dobroczynnej, także on mógł się poczuć Niemcem, który wiernie służy państwu. Sternberg, poważany przedsiębiorca, już nie dość młody ani wystarczająco zdrowy, by zostać żołnierzem cesarza i umrzeć słodką śmiercią za ojczyznę, nie czuł się już wykluczony z kręgu ludzi gotowych do poniesienia ofiary. W końcu znów mógł z zadowoleniem spoglądać w lustro, a idąc ulicą, trzymał głowę wysoko i wypręzał pierś. Został jednym z głównych członków Komitetu Pomocy Żydowskim Wdowom po Żołnierzach i Sierotom i cieszył się tam znacznym poważaniem. W tym charakterze odwiedził żydowski szpital i napotkał tam swoją córkę w śnieżnobiałym kitlu, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu, z przedziałką pośrodku. Właśnie ona starała się przekonać gorączkującego gefrajtra, przy którego łóżku stała, że i z jedną nogą życie warte jest tego, by je przeżyć.

Johann Isidor nigdy nie widział Clary w fartuchu. Postawiłby połowę majątku na to, że nie umiałyby odróżnić czajnika od garnka na zupę ani wytrzeć do sucha podłogi. To, że przy łóżku żołnierza zastał ją z wypiekami na twarzy, z głową pochyloną niczym u pięknych, młodych sanitariuszek z rycin w gazetach – motyw ten cieszył się dużym powodzeniem wśród ilustratorów – z wielką męską dłonią w drobnej ręce, było naturalnie szokiem dla patriarchy, któremu wydawało się, że o swojej rodzinie wie wszystko. Gdy ją zobaczył, nie powiedział ani słowa. Lekko się tylko zaczerwienił, jakby zboczył z drogi prawości. Bolały go plecy i utykał, gdy wraz z kolegami z komitetu opuszczał scenę tych zaskakujących wydarzeń.

Mężczyzna, by zapomnieć o swoich potknięciach, potrzebuje spokoju, dlatego też Johann Isidor, którego po rozstaniu z Fritzi Haferkorn nadal dręczyło sumienie, bardzo dbał o to, by rodzinie poświęcać

nie mniej uwagi niż sytuacji Niemiec. Zanim na nowo określił przyszłość Clary, siedem nocy minęło mu w zadumie. Ósmego dnia opowiedział żonie, gdzie spotkał córkę. Uprzedzając dezaprobatę Betsy, pochwalił samodzielność i inicjatywę Clary, choć początkowo nie zamierzał tego robić.

– Pojęła – powiedział z patosem, który za jego plecami bliźnięta pogardliwie określały „powszednim chlebem kołtuna” – że teraz potrzebne są każde ręce.

Clara mogła więc nadal pracować w szpitalu, o ile nie ucierpią na tym jej zadania domowe. Ta sytuacja okazała się dla jej ojca dużo przyjemniejsza, niż przypuszczał w pierwszym momencie. Od dłuższego czasu dręczyło go, że Betsy, w przeciwieństwie do żon większości jego przyjaciół i znajomych, nie mogła się przyczynić do budowania pomyślności Niemiec. Początkowo cięża, a później opieka nad Alice uniemożliwiały jej wszelką działalność dobroczynną. Teraz, gdy tematem rozmów było zaangażowanie dzielnych niemieckich kobiet, którym w ojczyźnie udaje się zdziałać tak samo wiele jak bohaterom na froncie, Johann Isidor mógł z dumą wspominać o piętnastoletniej córce. W przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników Clara nie przygotowywała bandaży ani nie dziergała skarpet dla żołnierzy w okopach. Nie wycierała nosów wojennym sierotom ani nie pomagała ich pogrążonym w żałobie matkom szorować podłóg i słać łóżek.

– Dźwiga ciężar odpowiedzialności dorosłej kobiety – powiedział jej ojciec do doktora Meyerbeera.

– Niebawem poślubi więc jakiegoś lekarza – odparł tamten sucho.

Clara nigdy nie opisywała swojego zajęcia w podniosłych słowach, których wówczas używano. Z całego serca cieszyła się tymi dwoma popołudniami w szpitalu. Poniedziałek i czwartek przynosiły jej długo wyczekiwaną wolność oraz oszałamiające potwierdzenie kobiecości. Przez wzgląd na wiek nie dopuszczano jej do umierających, lecz tym, którzy dochodzili do zdrowia, zawracała w zabandażowanych głowach. Także niejeden lekarz wpadał na chwilę w rozmarzenie, gdy przemykał obok niego ten uśmiechnięty anioł. Pewien poeta, ze stetoskopem zamiast osiodłanego pegaza, nazwał Clarę światełkiem w mroku i poprosił ją o rękę. „Jeśli łaskawy ojciec raczy pozwolić” – zastrzegł.

Łaskawy ojciec pokręcił głową, dowiedziawszy się o oświadczeniach. Jeszcze mniej zrozumienia wykazał, gdy córka poinformowała go, że albo zadba o to, żeby wolno jej było po maturze studiować medycynę, albo niezwłocznie odejście ze szkoły.

– Jeśli chcesz, wypiszę cię choćby jutro – oświadczył Johann Isidor. – Żaden ojciec nie zmusi dziewczyny w twoim wieku, by chodziła do szkoły. To dużo kosztuje i niczemu nie służy. W tej rodzinie nie będzie sawantki, od której na dodatek czuć karbolem, tak że uciekają od niej wszyscy mężczyźni. Poza tym to twój brat będzie robił doktorat.

Johann Isidor, nawet jeśli czuł pewną awersję do dyskusji z kobietami i zbyt często już musiał pokazywać Clarze, gdzie jej miejsce, nie był niezadowolony. W pomyślne dni uważał nawet, że nauczył się traktować śmierć Ottona jako ofiarę, na której poniesienie każdy niemiecki ojciec musi być gotowy. W noc sylwestrową ten przykładowy obywatel pozwolił sobie nawet na rozmyślenia o przyszłości. Wciąż należał do ludzi wiernych cesarzowi, którzy nie liczyli porażek, lecz drobne chwile szczęścia. Ufał niemieckim oficerom i stawiał na niemiecką odwagę. Johann Isidor Sternberg był przekonany o zwycięstwie Niemiec i o tym, że wojna już długo nie potrwa.

Jako człowiek interesu potrafił jednak skrupulatnie kalkulować. W dobie długów państwowych, przemian gospodarczych i dewaluacji pieniądza nie inwestował już w złoto. Wierzył jedynie we

własność gruntową.

– Jeszcze nasze dzieci błogosławić będą dzień, w którym kupiliśmy dom przy alei Rothschildów – powiedział, gdy Josepha wnosila do salonu wazę z sylwestrowym ponczem.

Ojciec, w masywnym uszaty fotelu z wysokim oparciem, prorokował i palił cygaro, a wokół niego, jak w starych książkach z obrazkami, stały dzieci. W bujanym fotelu siedziała ciotka Jettchen i przytakiwała z aprobatą. Jej mąż również pozostawił niezadłużony dom, który miał przetrwać wojnę. Na piersi Betsy pysznił się motyl o szmaragdowych oczach – prezent z Pforzheim, wykonany specjalnie dla niej przez ojca. Victoria była przekonana, że nigdy nie będzie już tak szczęśliwa jak w tej chwili, trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Po raz pierwszy mogła powitać nowy rok o północy, a nie pierwszego stycznia o poranku.

– Od dzisiaj – oznajmiła – nie jestem już dzieckiem.

– Bardzo się pani myli, baronowo von Sternberg – oznajmił brat. – Tran już podano.

W milczeniu i dufnie Victoria wskazała na trzymaną w ręce szklanke. Jej też wolno było napić się ponczu. Josepha, mistrzyni improwizacji, zaparzyła herbatę z mieszanki liści jeżyny i jarzębiny, dosłodziła sacharyną, doprawiła cynamonem i goździkami, a dzięki szklance araku pochodzącego jeszcze z przedwojennych zapasów, który przechowywano wyłącznie w celach leczniczych, sprawiła, że całość stała się zacnym sylwestrowym trunkiem, odpowiednim dla tej szacownej rodziny.

Na paterze leżały drożdżowe ciastka z dwoma węzełkami symbolizującymi stary i nowy rok, tradycyjnie wypiekane we Frankfurcie na sylwestra. W cukierniach już ich nie sprzedawano, co frankfurtczycy uważali za bardzo zły omen. Nie było białej mąki, wystarczających zapasów tłuszczu oraz cukru, brakowało także węgla do pieców kuchennych. Josepha upiekła ciastka z mieszanki ciemnej mąki, kartofli, płatków owsianych i zamiennika jaj, który dopiero co wszedł do sprzedaży. Pomysłowa kucharka dosłodziła wszystko sztucznym miodem i dwiema łyżkami syropu z buraków cukrowych. Jej oczy rozblęły młodością, gdy pani domu ją pochwaliła. Nawet Erwin po pierwszym kęsie nie miał serca, aby się skrzywić.

O północy pan domu zaczął nalegać, by Josepha, Betsy i ciotka Jettchen wypily z nim kieliszek szampana. Był to szampan Feist-Feldgrau, tej samej marki co ten, którego butelkę swego czasu wręczył Fritz Haferkorn. Mimo to uśmiechnął się.

– Intucja mówi mi – powiedział, pijąc zdrowie żony, gdy usłyszał bicie dzwonu na wieży kościoła luterńskiego – że rok tysiąc dziewięćset szesnasty przyniesie przełom.

SEN ULATUJE

Frankfurt, 1916–1917

W przeciwieństwie do reszty rodzeństwa mała Alice nie miała wydatnego nosa swego ojca. Rodzice uważali uroczy zadarty nosek najmłodszej córki za pokrzepiającą wróżbę na przyszłość. Gdy nie musieli przy świadkach tłumaczyć się ze swoich ambicji i zanim jeszcze dziewczynka zaczęła nawiązywać z rodzicami kontakt, dość swobodnie rozmawiali o jej możliwym awansie społecznym, który od żydowskich mężczyzn wymagał majątności Rothschildów, a od ich córek odpowiedniego posagu.

– Ale czarne włosy po prostu ma – zwykła narzekać Betsy na początku rozmowy. Przyzwyczajenie, by w pierwszej kolejności szukać dziury w całym, a dopiero potem zajmować się przyszłością, podczas wojny w pełni się w niej rozwinęło.

– Być może – pocieszył ją mąż – pewnego dnia czarne włosy będą uchodzić za modne. Wtedy blondynki zaczną się przefarbowywać, a nasza córka poślubi księcia Hesji.

– Mówisz to na poważnie?

– A jak myślisz?

Pomimo lichej jakości wojennego mydła loki Alice lśniły niczym czarna tafta i choć jabłka pojawiały się rzadko, a sucharów od długiego czasu w ogóle brakowało, wyrosły jej już cztery zęby. Wszystkie przepiękne, proste i śnieżnobiałe niczym skóra Królowy Śnieżki. Ciotka Jettchen była przekonana, że wybrane przez nią z miłością i rozwagą imię angielskiej księżniczki przynajmniej po części przyczyniło się do tak wyjątkowej urody wnuczki. Jednakże powodowana uzasadnioną obawą, że mogłaby urazić swoją ulubienicę Victorię, jeśli pochwaliłaby kogoś innego niż ją, cioteczka dyplomatka pilnowała się, by nawet o tym wspomnieć.

Późne dziecko Sternbergów nie było jedynie piękne. Wszyscy, których oczarowywało uśmiechem, uważali jego naturę za promyk słońca w ponurych czasach. Wyjątku nie stanowiła nawet sceptyczna siostra Alice, Clara, ani – na szczęście dla całej rodziny – mleczarz z Höhenstrasse. Gdy pomalowany na biało wiklinowy wózek z roczną dziewczynką zostawiano przed drzwiami jego sklepu lub gdy maleństwo w ramionach mamy piszczało, wymachując szmacianą lalką, sprzedawca, mający wśród pozostałej klienteli opinię mizantropa, z zasady wlewał do bańki madame Sternberg więcej, niż jej przysługiwało.

Alice potrafiła wprowadzić w pogodny nastrój nawet Johanna Isidora. Odkąd tylko nauczyła się przemieszczać na czworaka od jednego fotela do drugiego, przechodząc obok stołu na lwich łapach, co wieczór z niewymuszoną kokieteryą starała się zwrócić na siebie uwagę ojca, tak żeby wziął ją na prawe kolano i pozwalał jej się bawić intrygującymi klapkami i brzęczącym łańcuszkiem złotego zegarka kieszonkowego. Nie miał jej nawet za złe, że opluwała jego kamizelkę z butelkowozielonego aksamitu.

Bez ogródek nazywał ją flejtuchem i głaskał po brodzie. To niewiniątko wpływało także kojąco na duszę matki. Przez rok od narodzin Alice Betsy nauczyła się skrywać ból po najstarszym synu tak głęboko, że znów potrafiła się śmiać z dwójki najmłodszych dzieci. Czasami śpiewała pogodnej córeczce piosenki z *Jasia i Małgosi* Humperdincka, które zachwyciły już Victorię, a z fortepianu, nieużywanego od tak długiego czasu, sporadycznie płynęły utwory muzyczne, które niegdyś chciała ćwiczyć z opornymi w nauce bliźniętami. Przemiana Betsy istotnie okazała się małym cudem. Jej najmłodsza córka na pokój lekcyjny wybrała sobie bowiem ogród zimowy, a na lektora – papugę. Pierwszym zrozumiałym słowem dziewczynki było więc „Otto”. Odtąd Alice ćwiczyła to wywołujące ból imię z wytrwałością właściwą badaczom, którym wydaje się, że w ręce trzymają klucz do nieznanego świata.

Na pierwsze urodziny Alice zaplanowano przyjęcie, rzecz jasna skromne – ze względu na trudności dnia codziennego. Mieli przyjść doktor Meyerbeer z żoną oraz Theo Berghammer, który od powrotu z frontu okazywał Sternbergom urzekającą serdeczność i chęć pomocy. Choć ów nieszczęsny młodzieniec z trudem mógł utrzymać w ręce aparat, zrobił małej Alice przepiękne zdjęcia – a Clarze cudowny portret w ogrodzie zimowym, z kwitnącą żółtą begonią w tle. Dziewczyna niespodziewanie wróciła do domu właśnie w momencie, w którym Theo dzwonił do drzwi.

Na przyjęcie urodzinowe została również zaproszona siostra Grete Neger. Ku zdumieniu Sternbergów od narodzin Alice łączyła ją z nimi przyjaźń. Na życzenie dzielnej akuszerki wdzięczny pan domu nie wynagrodził jej bowiem papierową walutą, za którą można było kupić coraz mniej, lecz ze wszech stron pożądanymi naturaliami.

– I to nad wyraz hojnie – zwykła relacjonować siostra Neger w kameralnym gronie. W towarzystwie osób zaufanych, które zdawały jej się pokrewne duchem, spoglądała nawet w kierunku nieba, jakby prosiła Boga o rozgrzeszenie, po czym dodawała z pięknym reńskim zaśpiewem: „Żydów przecież na to stać”.

W pobliżu Frankfurtu rozegrała się rzecz podobnie niespodziewana. W lutym, na siedem dni przed niewielkim przyjęciem na cześć rocznej Alice, doszło do okropnej, zupełnie nieoczekiwanej kłótni rodzinnej w Bad Nauheimie. Dla kobiety, która tej wojny nie rozpętała, jej skutki miały się okazać tak samo fatalne jak strzały w Sarajewie. O ile te ostatnie doprowadziły do światowej katastrofy, o tyle następstwa walk na froncie domowym ograniczyły swój zasięg do mieszkania na pierwszym piętrze przy alei Rothschildów 9. Batalię w Bad Nauheimie początkowo uznano jednak tylko za rozczulający dowód lojalności Josephy Krause wobec rodziny, dla której przeszło piętnaście lat gotowała, smażyła i piekła, wraz z którą się śmiała i cierpiała i którą już od dawna uważała za własną.

Po zwykłych trudnych negocjacjach z ponurą szwagierką Paulą, która wszędzie wokół miała złą sławę osoby zawistnej, Josephie udało się wymienić komplet szklanek do kruszonu na worek ziemiaków, a męską marynarkę z prawdziwego szkockiego tweedu na mąkę, cukier i trzy słoje domowej, zawekowanej wątrobianki. Gospodyni Sternbergów, która wybór rzeczy na wymianę pozostawiała w zasadzie Betsy, była bardziej niż zadowolona – z samego interesu i ze swojego talentu negocjacyjnego.

Szklanki do kruszonu przywlekła na trzynaste urodziny Clary kuzynka ze strony ojca („będziesz mieć do posagu, moje dziecko” – skomentowała). Sternbergowie z trudem zachowali powagę. Od tamtej pory jubilatka alergicznie reagowała na wszystkie rzeczy, które miały wejść do jej posagu. Jak jeszcze nieraz w późniejszym wieku, rozplakała się wówczas w łazience. Szklanki z obrzydliwego grubego, zielonego

szkła z toczonymi uchami, do których z trudem dało się dotrzeć ścierką, nigdy nie zostały użyte. W domu Sternbergów podawano bowiem jedynie, co Josepha zwykła podkreślać, „czyste napoje najlepszej jakości”.

Podczas gdy ona sama popijała w Bad Nauheimie kawę, do której jej zdaniem dodano za dużo cykorii, i jadła twarogowe rogaliki, które nawet jako piętnastolatka mogłaby upiec lepiej, szwagierka niestrudzenie wracała do panującej zarazy ziemniaka. Kilka razy podkreśliła, że ze względu na rodzinę nie mogłaby zaryzykować oddania kartofli. Wprawne oko Josephy widziało już jednak, że ta naiwna drobnomieszczanka, która siedziała naprzeciw niej i małymi, prędkimi łykami piła trzecią filiżankę cykoriowej lury, była absolutnie zadurzona w koszmarnych zielonych szklankach z domu Sternbergów.

– Jeśli nie dostanę ziemniaków od ciebie, spróbuję po prostu u Rindermannów – oznajmiła przebiegle Josepha. – W takim razie – dodała, energicznie uderzając przy tym prawą ręką o lewą nogę – muszę zabrać te piękne szklanki i doskonałą marynarkę. Co innego mi pozostaje? – Szczwana lisica zataiła, rzecz jasna, że pan Sternberg, który wiedział przecież, co przystoi, a co nie, nie nosił tej marynarki, ponieważ w trzecim roku wojny żaden przyzwoity Niemiec nie chciałby się pokazać w wełnie ze szkockich owiec.

– Niech ci będzie – westchnęła przyszała właścicielka zielonych szklanek do kruszonu – zabieraj te ziemniaki i idź z Bogiem, krzyżyk na drogę. Potrafisz zagadać człowieka tak, że aż głowa pęka. Jak zwykle. Nic dziwnego, że ten twój puzonista wziął nogi za pas.

Pauli nigdy nie wystarczało, że miała ostatnie słowo. Kręcąc głową, zgarnęła okruchy ze stołu, zmarszczyła nos, jak gdyby przeczuwała wszystkie nieszczęścia świata, i bez żadnych ceregieli rozpoczęła tyradę przeciwko Żydom: sarkała, że właśnie żydowscy sprzedawcy podbijają ceny i robią to wyłącznie kosztem pracowitych włościan. Pieśń nienawiści była krótka i zakończyła się stwierdzeniem, że wszyscy Żydzi to tchórze i wszyscy bez wyjątku wymigują się od wojska.

– A nawet kiedy tam idą, i tak nie wysyła się ich na front – burzyła się Paula. Już jako młoda dziewczyna była znana z tego, że mówiąc, wpadała w zachwyty nad własnymi słowami, i od tamtej pory się tego nie oduczyła.

Zdumienie, upokorzenie i osłupienie Josephy trwało tylko moment. Po chwili zagotowało się w niej jak w zbyt mocno podgrzanym garnku. Najwolniej, jak potrafiła, wyszła na korytarz, w którym wisiały wykonane z poroża dzikich zwierząt wieszaki na ubrania. Tam kucharka Sternbergów założyła kapelusz, wyjęła z niego ostrą szpilkę i wróciła do salonu. Była już całkiem spokojna. Tylko jej oczy ciskały błyskawice. Niespiesznie, nie mówiąc ani słowa, podniosła stojący przy drzwiach mały worek z mąką, postawiła go na stole obok dzbanka z kawą i rozcięła szpilką do kapelusza. Pewną ręką, za którą pani Betsy zawsze swoją gospodynię podziwiała, gdyż potrafiła ona podnieść szklankę wypełnioną po brzegi i nie uрониć ani kropli, Josepha wysypała szwagierce drobną białą mąką na czarną wdowią suknię, którą ta nosiła już od siedmiu lat.

– I za taką wywłokę jak ty nasz Otto oddał życie – wykrzyczała. Wypadła z pokoju. Drewniana podłoga drżała pod jej krokiem. Josepha szła z ziemniakami, które zetrze na placki dla swego pupilka, a dla jego wrażliwego ojca stłucze na purée, oraz ze szlachetną tweedową marynarką, której nikt w rodzinie Pauli przecież nigdy by nie nosił.

Nie miała już czasu, by gdzie indziej wymienić marynarkę na pożywne skarby z doliny Wetterau,

ponieważ musiała zdążyć na jedyny pociąg, który wieczorem odjeżdżał do Frankfurtu. Siedziała w kolejce i myślała o urodzinowym cieście dla Alice, którego nie będzie już mogła upiec. Spoglądała tępo przez okno, ale nie dostrzegła ani jednego słupa telegraficznego czy kościelnej wieży. Mimo że nie było jej niedobrze fizycznie, brały ją mdłości, gdyż nie umiała pojąć, co się wydarzyło. Josepha Krause, która co noc modliła się, by ta przeklęta wojna się skończyła, zanim Erwin zostanie wezwany do wojska, pierwszy raz zetknęła się z formą nienawiści, którą świat nazywał antysemityzmem. Tego słowa jeszcze nie знаła.

Wróciła do domu o dziesiątej wieczorem. Zegar w holu bił po raz ostatni. Erwin wyszedł z toalety z książką w ręku, mimo że ojciec wielokrotnie zabraniał mu tam czytać. Chłopak przyłożył palec do ust Josephy, by przypomnieć jej o obietnicy milczenia, a ona przytuliła go tak mocno, jakby wrócił z Ameryki. Betsy, jak zawsze taktowna i dyskretna, lecz zarazem niespokojna i spięta, natychmiast zauważyła poruszenie malujące się na twarzy gospodyni i przywiezioną na powrót tweedową marynarkę. Wiedziała, że musiało nastąpić coś poważnego. Nalegała, by Josepha wypila filiżankę rumianku, i wpuściła do niego dwadzieścia kropli walerianowych. Nie zadawała pytań. Niezależnie od tego, że urodziny maleńkiej Alice były tuż-tuż.

Obecność potwierdził zarówno doktor Meyerbeer wraz z małżonką, która wykorzystywała każdą okazję, by poza domem zjeść jakiś wypiek, jak i siostra Grete Neger. W milczeniu, przygnębieniu i w złym humorze Josepha przyrządziła ciasto, które w nowo wydanej książce z wojennymi przepisami szumnie nazwano „czarnym plackiem z jabłkową pianką”. Smakowało, jak stwierdziła, spróbowałszy wyskrobanych z formy okruchów, głównie tak, jak wskazywał na to pierwszy człon nazwy.

W końcu, czternaście dni po urodzinach Alice, gdy nikt o czarnym placku nie powiedziałby już złego słowa, bo od tamtej pory o ciemny chleb, jeden ze składników ciasta, było jeszcze trudniej niż poprzednio, Josepha otworzyła się przed panem domu. Johann Isidor słuchał jej wówczas niezbyt uważnie, za co miał się jeszcze długo wstydzić, gdyż jej słowa mogły mu w odpowiednim czasie wskazać właściwą drogę. Plan, by przez „zmasowane wykorzystanie zasobów” dać się stacjonującym pod Verdun Francuzom wykrwawić, został właśnie wprowadzony z czyn. Po raz pierwszy wykorzystano niemieckie samoloty w zwartych szwadronach bojowych.

W naturze Johanna Isidora, strapionego niemieckiego patrioty, leżało to, że w ową wojnę na łaskę i niełaskę angażował się bardziej niż w rozmowę o utarczkach między kucharką a jej krewnymi. Należał do mężczyzn, którzy niechętnie dawali ucho błahym sprawom dnia codziennego. Również wymowna skarga Josephy nie uświadomiła mu, dlaczego na urodziny jego najmłodszej córki upieczono placek, który za czasów pokoju nie byłby nawet uznany za jadalny. Gdy Josepha przytaczała zaskakującą tyradę szwagierki z Bad Nauheimu, Johann Isidor przyglądał się jej wprawdzie z należną uwagą, ale chwilę później znów wertował gazetę. Zniewaga żydowskich żołnierzy przebywających na froncie, o której Josepha właśnie mu opowiedziała, wydała mu się nie znakiem ostrzegawczym, lecz tylko niechlubnym, odosobnionym postępkim.

– Nie zamartwiałybym się tak, Josepho – powiedział uspokajająco chlebobdawca. – Oboje jesteśmy przecież zgodni co do tego, że na świecie są ważniejsze sprawy niż złośliwa paplanina durnych bab. Podobne rzeczy niestety zawsze się działy.

Josepha miała pewne wątpliwości. Początkowo jednak rozwój wypadków przemawiał za

argumentacją pana domu. Cesarstwo stało w obliczu prawdziwej próby wytrzymałości. Stan zaopatrzenia w żywność, który już w tysiąc dziewięćset czternastym roku, ze względu na olbrzymie potrzeby wojska, dobry nie był i został dotkliwie nadszarpnięty przez brytyjską blokadę morską, w roku tysiąc dziewięćset piętnastym w okamgnieniu jeszcze się pogorszył. Przez cały rok tysiąc dziewięćset szesnasty brakowało wszystkich artykułów codziennego użytku, zwłaszcza podstawowych produktów spożywczych.

Johann Isidor nie miał powodu obawiać się ani o pomyślność własną, ani tym bardziej o pomyślność swojej rodziny. Kupiecki talent, dalekowzroczność oraz gotowość do podejmowania ryzyka, które w czasach pokoju przyniosły majątek, wyszły mu na dobre także podczas wojny. Nie lękał się przechytrzyć kontrolowanego przez państwo systemu dystrybucji i uczestniczył w handlu na czarnym rynku.

– Bóg – powiedział żonie, obdarowując ją funtem masła, funtem smalcu i trzema główkami białej kapusty – pomaga tylko tym, którzy sami sobie umieją pomóc.

Bogaci brali sprawy w swoje ręce, biedni głodowali. Z dnia na dzień coraz bardziej. Granica między żywicielami rodzin, którzy z oddaniem troszczyli się o bliskich, a osławionymi spekulantami wojennymi była cienka. Mimo że we własnym domu nigdy nie puścił płazem choćby najdrobniejszego żartu o Wilhelmie II, a ośmioletniej córce Victorii opowiadał o utworzeniu Rzeszy w Wersalu^[26] tak obrazowo, jak pozostali ojcowie o zamku Śpiącej Królowy, Johann Isidor Sternberg, oddany cesarzowi obywatel, zdołał zagłuszyć wyrzuty sumienia przez wzgląd na rodzinę. Tym bardziej trapiło go, że coraz więcej mówiło się o słabnącym morale narodu.

Sprytni dziennikarze, którzy potrafili zmyślnie wymknąć się cenzurze, wciąż sygnalizowali, że na tyłach frontu nie może już być mowy o zachwycie wojną ani patriotyzmie. Dało się to odczuć przede wszystkim we Frankfurcie. Jego mieszkańcy, przez lokalnych poetów wysławiani jako ludzie szczerzy, uparci i wykładający kawę na ławę, sarkając z niezadowoleniem, rozprawiali się z tą reputacją. Minęło ledwie półtora roku od mobilizacji i pojawienia się na niemieckich wagonach optymistycznych haseł „Na Boże Narodzenie z powrotem w domu”, lecz głód, przymusowe przemiany gospodarcze i bezradność urzędów sprawiły, że ludzie oprzytomnieli. Wściekłością i złorzeczeniem reagowały przede wszystkim kobiety, którym odebrano żywicieli. Stały w długich kolejkach przed sklepami i wracały do domu z pustymi rękami. Nie wiedziały, jak wykarmić własne dzieci. Urząd do spraw zaopatrzenia udzielał im absurdalnych porad – zalecał na przykład, żeby „dbać o lepsze spożytkowanie żywności, w ciągu trzydziestu minut konsumując trzydzieści kęsów, to jest przeżuwać dokładnie dwa i pół tysiąca razy”. Erwin narysował ogromnego przeżuwającego potwora z Krzyżem Żelaznym na piersi i malutkim kawałkiem ciasta na czarno-biało-czerwonym talerzu. Karykaturę przykleił do kredensu w kuchni. Nawet ojciec się śmiał.

– Powiedz jeszcze, że nadal chcesz zostać malarzem, mój synu.

– Owszem – odparł zuchwale chłopak wyznaczony na spadkobiercę.

Obowiązywały kartki na chleb, książeczki z kartami żywnościowymi i ustalone ceny na produkty zbożowe, było jednak coraz mniej mąki i chleba. Otwarto punkt dystrybucji ziemniaków, lecz te do dużych miast nie docierały prawie w ogóle. Już krótko po wybuchu wojny gospodarka rolna przestała sprawnie funkcjonować – rolników i parobków powołano do wojska, konie skonfiskowano na rzecz armii, a w gospodarstwach nie pozostał nikt, kto zreperowałby pług czy załatał dętkę. Nie można było już

liczyć na polskich robotników sezonowych, pracowały więc dziewczęta i kobiety w ciąży. Podupadło zaopatrzenie w mleko, masło i jajka. Mięso na czarnym rynku zniknęło natychmiast, a wraz z kiełbasą zniknęła także moralność; choć skarmianie bydła burakami cukrowymi zostało zabronione, zaopatrzenie w cukier także nie funkcjonowało. „Erzac” stał się najczęściej używanym słowem w niemieckich kuchniach. Stosowano erzac miodu, kawy, masła, a także kakao, sera i ryb.

– Niebawem będziemy mieli erzac płaszczy i głów – mruzczała Josepha.

– Nie powstanie jednak erzac tych, których nam odebrano, a z którymi nie mogliśmy się pożegnać – zauważył Johann Isidor w dwudzieste urodziny swego najstarszego syna. Zaczął prowadzić dziennik. Doradził mu to doktor Meyerbeer, znawca dusz. „Nie takim jak pan pomogło to porozumieć się ze sobą” – powiedział.

Nauczycielkom niższych klas zalecano wygłaszanie pogadarek o wierności i wytrwałości, o cnocie skromności oraz o uczciwości żołnierskiego serca. Victoria wróciła ze szkoły zatroskana. W domu miała napisać sześć porzekadeł związanych z oszczędzaniem, ale do głowy przychodziły jej tylko trzy.

– A te zna przecież każdy – zasmuciła się mała indywidualistka.

– Nie w czas oszczędzamy, gdy dna dobieramy – podpowiedziała matka obdarzona talentem pedagogicznym.

– Kto przestrzega oszczędności, ma dla siebie i dla gości – poradziła Josepha.

– Kto ciasto je, ten chleb oszczędza – wtórowała ciotka Jettchen. W odpowiedzi na to niewczesne bluźnierstwo pani domu posłała jej przerażone spojrzenie.

– To najpiękniejsze powiedzenie ze wszystkich – uznała Victoria. – Moja ciocia jest mądra jak sam cesarz.



– Jest jeszcze normalność na świecie. – Patriarcha rodu odetchnął z ulgą, gdy w piątkowy wieczór jego żona zapaliła świece w srebrnym świeczniku, a on kroił drożdżowy warkocz, który zaplotła; chałkę upieczono wprawdzie z ciemnej mąki z dodatkiem zmielonego suszonego grochu, lecz tak czy inaczej według przepisu pobożnej babki z Pforzheim. Na białym adamaszkowym obrusie stały kolorowe kieliszki do wina reńskiego. Od śmierci Ottona rodzina znów obchodziła szabas. Victoria znała już błogosławieństwa chleba i wina, mała Alice uderzała w dłonie, gdy tylko usłyszała hebrajskie słowa.

Na pierwszy rzut oka kuchnia nie zdradzała marazmu owych czasów. Piec błyszczał, niebiesko-białe firanki były czyste i wykrochmalone, okien nie szpeciła ani jedna smuga. Co tydzień pucowano na wysoki połysk miedziany kociołek i foremki do ciast, sztucce do sałaty i rogowe łyżki do jajek leżały owinięte w ściereczkę z filcu. W spiżarni stał gąsior z zeszłorocznym winem jabłkowym oraz dwa pełne po brzegi słoje z owocami w nalewce na rumie, bezwstydnie pachnącymi latem i słodkim życiem ludzi bez trosk. Mimo to głód czyhał również na pierwszym piętrze domu przy alei Rothschildów 9. Sens powiedzenia, że nie ma co do garnka włożyć, które wyższe klasy społeczne znały głównie z ksiąg niemieckich porzekadeł, zaczął docierać również do Sternbergów. Wszyscy poza małą Alice, która każdą czerstwą skórę chleba żuła z taką wesołością, jakby każdy kęs zbliżał ją do krainy szczęśliwości, wiedzieli, czym jest zaraza ziemniaka.

– Królestwo za kartofla – zadeklamował Erwin. Czytał wówczas *Ryszarda III*.

– A wcześniej mówiliśmy głupio – zadumała się ciotka Jettchen – że miejsce ziemniaka jest w spichlerzu, a nie na talerzu.

– Buta inna niż głupota, lecz ta sama ich istota – wyrecytowała skruszona Josepha, mieszając w garnku przyprawioną cebulą i skórką z kaszanki gęstą papkę, którą w nowej *Oszczędnej pani domu*, książce kucharskiej na czasy kryzysu, nazwano heską potrawką z kaszy. Josepha, pomimo zapewnień Betsy, że postąpiła odważniej i bardziej lojalnie, niż uczyniłaby większość osób w jej położeniu, wciąż robiła sobie wyrzuty, że nieodwołalnie zerwała chlebodajne kontakty z rodziną w Bad Nauheimie.

W piwnicy stała pusta skrzynia na ziemniaki. Nie było widoków na zimowe zapasy. Mayer, sprzedawca warzyw z Wiesenstrasse, który w Sternbergach przez piętnaście lat miał najlepszych klientów, a który aż do smutnego końca zawsze przynosił pani Betsy niespodzianki z jakiegoś tajemnego zakątka pawilonu, zamknął sklep z powodu braku towaru – „przejściowo”, jak to wówczas określano. W kwestii ziemniaków spasować musiał także Johann Isidor. Nie dało się ukradkiem przynieść tego nieporęcznego towaru do domu. Nieliczni krewni Johanna Isidora z Górnej Hesji rzadko już odpowiadali na jego listy, a jeśli to robili, narzekali na własną nędzę; w tamtych czasach doświadczyła tego większość mieszkańców dużych miast. Wyłącznie kilka gazet nie uszanowało powagi sytuacji i odważyło się na niestosowne żarty. Opublikowały one ilustrację przedstawiającą zuchwale wyszczerzonego ziemniaka w papierowej czapce, a do tego wiersz niejakiego Hansa Fallady:

Przetrwamy!

Niechże wrogowie grożą co rusz

głodem, najgorszą z trwóg.

Ostatni ziemniak zmobilizowany już

My, Niemcy, przetrwamy, da Bóg!

Nawet Johann Isidor, który wyłącznie własne dzieci potrafił krytykować ostro i nieulekłe i który zazwyczaj uważał, że powinno się dyplomatycznie trzymać język za zębami, uznał ten rysunek za oznakę złego smaku, a wiersz był jego zdaniem „nie na miejscu w tak trudnej chwili”. Niemiecki ziemniak faktycznie nie nadawał się już na obiekt żartów. Gdy sytuacja żywieniowa dramatycznie się pogorszyła, zastąpiony został przez brukiew, w niektórych rejonach nazywaną także karpiełą.

Według bełkotliwych okólników oraz książek kucharskich, których autorzy w żadnym razie nie wierzyli w to, co pisali, brukiew była w niemieckiej kuchni produktem niezastąpionym. Dodawano ją do ciasta chlebowego, dzieciom wmawiano, że jest musem jabłkowym, przygotowywano z niej surówki, zupę i kluski, gotowano ją, suszono i duszono. W magazynach, w których ku wściekłości gospodyń domowych w tysiąc dziewięćset piętnastym roku publikowano przepisy zawierające masło, smalec, sardelę, szafran oraz cytrusy, prezentowano od tamtej pory warzywnie zapiekanki, bezmięsne potrawy jednogarnkowe, grysikowe kluski, kaszki dla dzieci, smarowidła do chleba i wypieki z brukwi. Największą fantazją wykazano się w nazwie „brukwiowa zupa żebraka”. Zupę tę należało gotować z ziarnami kminku i resztkami ciemnego chleba; szczytem cynizmu była uwaga, że brukiew doprawiona odrobiną octu zamaskuje smak zmarzniętych kartofli.

Dla głodujących, którzy według urzędowych zarządzeń dziennie mieli prawo do trzydziestu pięciu

gramów mięsa (włącznie z kośćmi), ćwierci jajka, dwudziestu pięciu gramów cukru oraz dwustu siedemdziesięciu gramów chleba, w listopadzie tysiąc dziewięćset szesnastego roku rozpoczęła się zima brukwiowa.

Nigdy nie zapomniał jej ten, kto jej doświadczył. Wielu ludzi w związku z niedostatkiem pożywienia nie odzyskało sił psychicznych ani fizycznych. Zima brukwiowa stała się symbolem biedy i śmierci głodowej.

Johann Isidor Sternberg też miał ją na zawsze zachować w pamięci, lecz to nie jego żołądek stał się źródłem tych wspomnień. Stało się nim serce. Wierne cesarzowi, gotowe do poświęceń serce Johanna Isidora Sternberga pękło dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset szesnastego roku, dokładnie dwa lata po tym jak dowiedział się, że jego osiemnastoletni syn zginął za ojczyznę. W październiku tysiąc dziewięćset szesnastego roku niemiecki minister obrony zarządził bowiem badanie statystyczne dotyczące „liczby Żydów wśród niemieckich żołnierzy”.

Johann Isidor Sternberg, mężczyzna o analitycznym umyśle, mimo sentymentalnej natury całe życie baczący na ataki z ukrycia, nie potrzebował nawet pięciu minut, by język niemieckiej biurokracji zdemaskować jako wrogi Żydom. Jego zraniona dusza potrzebowała jednak niezliczonych bezsennych nocy, aby naprawdę zdołała pojąć, co jego ukochane cesarstwo uczyniło swym żydowskim obywatelom. W dniach początkowej bezsilności i paralizującego bólu wywołanego owym spostrzeżeniem Johanna Isidora najmocniej przygnębiało to, że nie potrafił rozmawiać o zadanej mu ranie. Gniew rozpałał mu policzki, a bezradność wysuszała język, gdy spoglądał w twarz żony. Unikał wzroku syna jak gdyby w poczuciu winy. Gdy był sam, łzy napływały mu do oczu.

Pewnego piątkowego wieczoru nie mógł już znieść własnego upadającego milczenia. Zwierzył się w końcu Betsy. Stół uprzątnięto. Podczas szabasu podano zupę z kostki rosółowej i każdy otrzymał po kawałku smażonej wątrobianki, którą dzień wcześniej pan domu dostał u pewnego rzeźnika przy Braubachstrasse w zamian za metr lamówki z brukselskiej koronki. Bliźnięta, mrugnawszy do siebie porozumiewawczo, gdzieś się zaszyły, w pokoju obok ciotka Jettchen czytała na głos: „Pif-paf, co za broń! Rosjanin padł jak w toni!”, a Victoria gromko się śmiała.

Josepha złożyła biały obrus.

– Dobranoc – powiedziała. – Dobrego szabasu – dodała, stojąc w drzwiach, jakby przez całe życie była Żydówką. Świece szabasowe prawie się wypaliły, pan domu wpatrywał się w dogasające światło. Odchrząknął jak zwykle, gdy miał do powiedzenia coś ważnego, i sprawdził, czy prosto zapiął guziki przy kamizelce. Wstydził się trochę, że patrzy na paznokcie u prawej ręki zamiast na żonę, lecz w porę odzyskał równowagę.

– Domyślam się – zaczął – że już słyszałaś o spisie Żydów.

– A co to znaczy? – zdziwiła się żona.

– Chcą wiedzieć, ilu Żydów jest w wojsku. Albo ilu zginęło. Nazywają to spisem Żydów. To chyba jasne, Betsy, prawda? Czy może nadal nie rozumiesz, o co chodzi?

Betsy Sternberg nie rozumiała. I wiele innych osób, nie tylko kobiet, także. Ogłoszenie tego spisu stanowiło reakcję na coraz częściej i głośniejszy wyrażane zarzuty antysemitów, że Żydzi to tchórzliwi dekownicy, którzy robią wszystko, żeby wymigać się od służby na froncie i podejrzanie często są z niej zwalniani. Johann Isidor Sternberg, dla którego „ojczyzna” była najświętszym słowem w języku jego

ojców, nie miał złudzeń. Już po tym pierwszym ciosie zrozumiał, jak dalece się mylił i jak naiwne okazały się jego wyobrażenia o przyjacielskim nastawieniu cesarstwa do Żydów. Czuł się niczym oszukane dziecko, romantyczny marzyciel, struś z głową w piasku. Przez lojalność wobec tradycji i wdzięczną pamięć o ojcu i matce nigdy nie chciał zmienić wyznania na chrześcijaństwo, ale słowa „asymilacja” i „emancypacja” były dla niego cudownymi narkotykami. Odurzony nimi, śnił odwieczny sen niemieckich Żydów o tym, że któregoś dnia zostaną uznani przez pozostałych obywateli za równych wśród równych. Słowa cesarza wypowiedziane na początku wojny wprawiały go w rausz. Zdania takiego jak to, które Wilhelm II wykrzyknął z balkonu berlińskiego zamku miejskiego, serca niemieckich Żydów łaknęły od początków oświecenia.

Od sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku mowa balkonowa, przez sekretarza pasmanterii spisana drukowanymi literami na kremowym papierze czerpanym, wisiała w srebrnej ramie na ścianie gabinetu, w którym Johann Isidor Sternberg podejmował gości. Jako patriota w rocznicę bitwy pod Sedanem i w dniu cesarskich urodzin obwieszał dom flagami niemieckimi, a w synagodze modlił się o pomyślność dla władcy i szczęśliwy obrót spraw na wojnie. Ani przez chwilę nie wątpił w to, że państwo niemieckie kocha go tak samo, jak i on je kocha, aż po dzień, w którym okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

Pomimo swoich iluzji zachował rozsądek. Nie potrafił na dłuższą metę się oszukiwać. Choć początkowo wzbraniał się przed przyjęciem do wiadomości ostatnich dowodów na wrogość wobec Żydów, powoli stwierdzał, że antysemityzm w Niemczech rozwija się równie szybko jak powszechna bieda. Z dnia na dzień coraz jaśniejsze stawało się, że zgodnie ze starym obyczajem głodujący potrzebowali kozła ofiarnego winnego ich nędzy i że wybrali na niego właśnie ludność żydowską. „Historia stara jak świat” – zgodził się z doktorem Meyerbeerem.

Nie spodziewał się jednak takiego upokorzenia jak spis Żydów. O planowanej akcji dowiedział się dopiero z komentarza w „Frankfurter Zeitung”. Redaktor ostro sprzeciwiał się wypytywaniu o przynależność wyznaniową w niemieckiej armii. Czytając artykuł, Johann Isidor Sternberg, lojalny obywatel Niemiec, siedział odprężony w masywnym, obitym zieloną skórą fotelu winchester, przed nim stał kojec najmłodszej córki. Dziewczynka bawiła się szmacianym osiołkiem, któremu wypadło oboje oczu.

– Tata Otto – radowała się Alice, gdy gazeta wypadła ojcu z rąk. Podała mu ślepego osiołka i bąknęła: „fuj”.

Nie widział zabawki ani nie był świadomy subtelnej ironii losu. Najpierw stężała mu twarz, później całe ciało, a w końcu także zdolność rozumienia i interpretowania słów. Po chwili jego oczy zasły łzami, lecz spostrzegł to za późno. Powodowany pierwszym szokiem, Johann Isidor postanowił, że z nikim nie będzie rozmawiał o tym, co przeczytał, i przed wszystkimi będzie skrywać swą duchową nędzę. W tamten piątkowy wieczór, kiedy pękło mu serce, zrozumiał, że dłużej nie znieśnie własnego milczenia, a żonie wyznał, że już nigdy nie będzie tym mężczyzną, którym kiedyś był, i wtedy zapłakał po raz drugi.

– Wydaje mi się, że powinieneś porozmawiać z naszymi – poradziła roztropnie Betsy, wyłączając światło w sypialni. Jeszcze nigdy nie mówiła o „naszych”, lecz wiedziała, dlaczego wówczas to zrobiła. Jej mąż też wiedział, choć z łagodną naganą odparł:

– Że też wy, kobiety, macie zawsze takie pomysły.

Poszedł za radą żony i wziął udział w zebraniu protestacyjnym zorganizowanym przez frankfurcki oddział Centralnego Związku Obywateli Niemieckich Wyznania Mojżeszowego. Pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku w Berlinie wydał on bardzo znaną odezwę: „Bracia w wierze, wzywamy was, byście ponad miarę obowiązku ofiarowali ojczyźnie swe siły. Dobrowolnie spieszcie pod sztandary”. Ten, którego serce biło z taką dumą, gdy jego syn chwycił za sztandar, siedział wówczas przygarbiony w kącie sali. Przeszywały go dreszcze. Czuł się tak, jakby wyłącznie on musiał się tłumaczyć z dręczącej go kwestii, która stała się tematem wieczoru. Słyszał mowy tych, którzy przejeździ i protestowali przeciwko podłym insynuacjom pod adresem niemieckich Żydów o ich rzekomym tchórzostwie i dekownictwie, lecz nie wiedział, jak on, Johann Isidor Sternberg, miałby porzucić marzenie swego życia i nie umrzeć. Jak sercu, które potrafiło jedynie kochać ojczyznę niczym rodzoną matkę, wydrzeć miłość do niej?

Odarty ze złudzeń mężczyzna czuł, jak buzuje w nim gniew, jak wzburzenie dusi jego wiarę, nadzieję i miłość, a z niego samego czyni człowieka przegranego, którego przyszłość przepadła, tak jak innym ludziom przepadają szal czy chusteczka. Myślał o kanonierze Ottonie Wilhelmie Samuelu Sternbergu, który osiągnął wiek osiemnastu lat i ani miesiąca więcej, i który teraz umarł po raz drugi. Tym razem został stracony przez nienawiść rodaków, zarzucających Żydom, że nie bronili ojczyzny, gdy nadeszła godzina niedoli, lecz siedzieli w ciepłych izbach, licząc wojenne zyski.

Johann Isidor zamknął oczy. Ukazała mu się chłopięca twarz Ottona, już naznaczona męskim pragnieniem wykazania się, a jeszcze pełna dziecięcego lęku przed porzuceniem. Ojciec widział, jak jego najstarszy syn stoi na Dworcu Wschodnim, rozgląda się niczym wytrawny podróżnik, który zabłądził i boi się przyznać przed sobą, że zboczył z drogi. W kłapę zabawnego uczniowskiego tornistra wetknięta była czarno-biało-czerwona chorągiewka, podobna do tych, którymi wymachiwali chłopcy bawiący się w wojnę pod drzewami w alei Rothschildów. Johann Isidor wprawdzie w porę dojrzał syna, który wychylił się z przedziału i otworzył usta, by wypowiedzieć słowa pożegnania. Ojciec ma przecież do niego prawo w ostatniej chwili, która obydwóm pozostała. Gdy jednak pociąg ruszył, ojciec ochotnika Sternberga usłyszał tylko własny głos. Wołał: „Bądź zdrów!”, a oba słowa bolały w gardle tak, jakby naszpikowano je igłami.

Te wspomnienia odurzyły go. Wabiły chwiejącego się mężczyznę coraz dalej w głąb piekła spowitego czarnymi chmurami i wypełnionego wrzącą lawą. Czuł, jak jego ręce stawały się ciężkie, a nogi słabe. Głowa napuchła mu niczym balon, czerwony, wydrwiwający go głośno balon, który pękłby przy pierwszym skierowanym w niego podmuchu wiatru. W ostatnim momencie Johannowi Isidorowi udało się jednak szeroko otworzyć oczy. Dostrzegł jedyne syna, który mu jeszcze pozostał.

Początkowo ten chłopiec w szarym garniturze – w marynarce z przydługimi rękawami i w przykrótkich spodniach – wydawał mu się urojeniem, które obejmuje władzę nad chorymi, wygłodzonymi i wypalonymi, gdy padają oni łupem nadziei, co to mądrych ludzi zmienia w żalonych gamoni. Ze zdumieniem – początkowo nie potrafił choć spojrzeniem zareagować na to dziwne zjawisko – pojął, że w tej niedorzecznej grze zmysłów można było popełnić tylko jeden błąd: uwierzyć, że nie należy dawać wiary własnym oczom.

Erwin, którego Johann Isidor wciąż uważał za dziecko, zadziornego, przemądrzałego chłopaka,

zuchwałego, aroganckiego łobuziaka niemającego pojęcia o życiu, ten właśnie niedoceniony Erwin odłączył się od niewielkiej grupy rówieśników. Ze zwieszonymi rękami i z rozpaloną twarzą zmierzał w jego stronę. Ów niezależny, krnąbrny, rozumny szesnastolatek szedł powoli. Wyglądał, jakby liczył kroki, wpatrywał się w czarne buty z cholewami jak ktoś, komu życie nieustająco dostarczało upokorzeń, lecz wyciągając do ojca rękę, podniósł głowę wysoko.

Obaj czuli się zakłopotani, niepewni, obcy sobie, a mimo to połączeni na zawsze, bo jeden z nich był synem, a drugi ojcem. Obaj ostrożnie dobierali słowa, uważali na właściwe rozłożenie akcentów, aby uniknąć błędnych interpretacji, jakichkolwiek zarzutów. Każdy z nich strzegł się, by nie zranić drugiego, nie sprowokować do zerwania tej cienkiej nici, która ich łączyła.

Przez całe swoje życie ojciec i syn nigdy nie natrafili na siebie przypadkiem. Miejsca, w których przecinały się ich drogi, były ściśle wyznaczone: mieszkanie, synagoga i sporadycznie salony przyjaciół Sternbergów. Młodsze dzieci chodziły z rodzicami do zoo, w niedziele karmiły kaczki w Ostparku, wraz z ojcem liczyły ślady po kulach na blaszanym proporczyku zatkniętym na wieży Eschenheimer Turm, a z matką szklane kulki, które zdobyły podczas gry w marmurki. A gdy były już na tyle duże, że nie kompromitowały rodziców złymi manierami, mogły, gdy nadarzała się specjalna okazja, pójść wspólnie z nimi na kawałek wieńca frankfurckiego do café Oblubieniec, a w okresie bożonarodzeniowym zobaczyć z matką w operze *Wyprawę Piotrusia na Księżyc* czy *Jasia i Małgosię*. Konwenanse i przyzwyczajenia narzucały role synom i córkom z rodzin mieszczańskich. Rodzice decydowali, dzieci miały się podporządkować. Ojciec rozkazywał, dzieci słuchały.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał Johann Isidor, kiedy już się przywitani i wymienili parę uwag o niespotykanym jak na listopad chłodzie.

– Przeszedłem z domu – odparł Erwin. Przetarł czoło zmiętą chusteczką. Strach minął już podczas rozpraw meteorologicznych, tylko usta miał jeszcze zdrętwiałe.

– Skąd wiedziałeś o tym zebraniu? Nigdy przecież nie rozmawialiśmy o podobnych sprawach.

– My nie – przyznał Erwin. Odważył się zaakcentować pierwsze słowo. Odrobinę, nie prowokując, tylko gwoli prawdy. – Ale ja już od dwóch lat należę do młodzieżówki Związku. Dużo o tych sprawach rozmawiamy.

Czy jego spojrzenie było takie jak zwykle? Czyżby uśmiechał się równie szeroko jak przy stole, gdy widział, że ma sojusznika w Clarze? Czy ten chłopak, który wcześniej dorósł, buntował się, a jeśli tak, to przeciw komu? Czy nie był zawsze bardziej skryty niż jego brat i czy sam sobie nie wystarczał za towarzystwo? A teraz dojrzał, czego ojciec nie zauważył. Czas ograbiał ludzi nie tylko z apetytu na życie – mężczyznom odbierał również dzieci.

– Przykro mi, ojcie – powiedział Erwin.

– Co masz na myśli?

W oczach Johanna Isidora migotała bezsilność, od której nie ucieknie żaden ojciec dorastającego syna. Po raz pierwszy jednak syn zbił go z tropu i miał go odwagę strącić do głębokiej, ciemnej jamy, którą wykopał siłą i bezczelnością właściwą jedynie ludziom młodym. Otto nigdy nie był buntownikiem, nie pragnął poznać świata zbyt wcześnie. Wiedział, gdzie jego miejsce. Nie sprawiał, że ojciec tracił grunt pod nogami. Najstarszy syn Johanna Isidora wypełniał swoje obowiązki, nie mniej ani nie więcej. Nie zadawał wielu pytań ani też się nie wahał. Otto był synem, jakiego ojciec mógł sobie życzyć.

– Tę całą sprawę z liczeniem Żydów – wyjaśnił Erwin. – To musiało być dla ciebie trudne. Przecież wierzyłeś w Niemcy. Najpewniej ciągle wydaje ci się, że ludzie potępia ten spis i obronią nas przed tymi szujami antysemitami. Ja jednak nigdy nie byłem optymistą.

– Na Boga, masz przecież dopiero szesnaście lat. To nie jest odpowiedni wiek, aby mieć własne zdanie. Uczą was tego czarnowidztwa w młodzieżówce?

– Nie, tu nauczyłem się tylko myśleć. I widzieć. I mówić, co myślę.

– To, mój synu, umiałeś zawsze. Czy twoja matka wie właściwie, że chodzisz na spotkania tej grupy?

– Nie, ale moja siostra owszem.

– Która? Z tego, co wiem, masz trzy.

– Alice.

Był to pierwszy raz, gdy Johann Isidor pozwolił sobie na żart ze swoim drugim, a od dwóch lat jedynym synem. Zdał sobie z tego sprawę, gdy roześmiali się w tym samym momencie. Wrócili do domu razem, choć Erwin umówił się z dwoma kolegami ze stowarzyszenia, by porozmawiać o rzeczach, o których szesnastolatki właściwie nie powinny wiedzieć. Mówili niewiele, ponieważ nie nauczyli się jeszcze rozmawiać ze sobą tak, by ojciec nie narzucał przebiegu rozmowy. Lecz gdy tylko na siebie spojrzeli, ogarniało ich wewnętrzne ciepło, którego istnienia wcześniej nawet nie przeczuwali. Powietrze pachniało już śniegiem, który miał niebawem spaść. Kałuże zamarły i stały się gładkie jak lustra. Droga była uciążliwa, ale gdy jeden z nich się poślizgnął i prawie upadł, drugi – ojciec – wziął go w ramiona.

– Psiakrew – powiedział Erwin.

– Czy to współczesny erzac słowa „dziękuję”?

– Dużo, dużo więcej.

Pomału stawali się sobie coraz bliżsi. Początkowo, krótko po niespodziewanym spotkaniu na proteście, gdy mowa była o wojnie, hasłach bojowych i porażkach, ograniczali się do spojrzeń oraz subtelnych, tylko przez nich zauważalnych gestów. Pod koniec listopada z Wiednia nadeszła wiadomość, że zmarł sędziwy cesarz Franciszek Józef, a jego następcą Karol ma się zatroszczyć o pokój. „To początek końca” – skomentował Johann Isidor, gdy podczas kolacji opowiadał o tym żonie.

Syn odpowiedział: „Miejmy nadzieję”. Spojrzeli na siebie i nie tylko oni próbowali pojąć, co się z nimi stało.

Dopiero w marcu tysiąc dziewięćset siedemnastego roku Betsy wszystko zrozumiała. Weszła do gabinetu męża. W ręce trzymała ściereczkę do kurzu i chcąc zdjąć ze ściany niewielką pajęczynę, rozmyślała, czy przemarznęte marchewki smakują tak samo paskudnie jak przemarznęte ziemniaki. Wówczas zauważyła zasadniczą zmianę. Zniknęła sławna mowa balkonowa niemieckiego cesarza. Zamiast niej w srebrnej ramie wisiał wiersz Henriette Fürth, o której nigdy nie słyszała. Już sam tytuł *Spis Żydów* spowodował, że Betsy przeczytała wszystkie trzy zwrotki, co do słowa. Druga z nich brzmiała:

Dziś nas zliczacie. To nie do zniesienia.

Cośmy uczynili, że tak czynicie nam?

Kto wam dał prawo pytać o wierzenia?

Gdy obowiązku przyszedł dzień spełnienia

Bez pytań w bój za kraj poszedł każdy sam.

Tym razem to nie sekretarz pasmanterii wykaligrafował tekst pięknym, czytelnym pismem. Zrobił to, co ku swemu zdumieniu zauważyła Betsy, jej syn Erwin. Właśnie on odkrył ten wiersz odważnej działaczki politycznej Henriette Fürth z Socjaldemokratycznej Partii Niemiec i położył go ojcu na biurku. Johann Isidor obrał już wówczas drogę, której poszukiwał. Patriotą pozostać miał przez całe życie, bo tamto jedno rozczarowanie nie wystarczało, aby pogrzebać miłość do Niemiec. Postanowił, że nadal będzie kochać ten kraj, któremu przestał ufać. Gdy jego oczy zachodziły łzami, nie żałował już cesarskich żołnierzy, którzy ginęli na polu chwały, opłakiwał wyłącznie swojego syna. Od dnia, w którym pojawił się, co dla Żydów w Niemczech oznacza przeprowadzenie spisu, modlił się, by Bóg zakończył wojnę, zanim Erwin będzie musiał pójść do wojska.

Sternbergowi, prawomyślnemu, posłusznemu obywatelowi, nie było już tak pilno, by własną pracą wspierać kraj, który tak ochoczo poddawał się nagonce antysemitów. Ważniejsza niż taka ojczyzna była dla niego rodzina. Zastanawiał się, dlaczego potrzebował pięćdziesięciu sześciu lat, by dojść do tego wniosku. Któregoś razu zapytał o to Erwina.

– Prawdopodobnie dlatego, że nie miałeś takiego ojca jak ja – odparł refleksyjnie chłopak. – Takiego, który był gotowy przyznać się do własnych błędów.

– Dziękuję – powiedział Johann Isidor.

– Za prawdę się nie dziękuję, tak mówi nasz nauczyciel.

– W szkole?

– W stowarzyszeniu. W szkole wciąż powtarzają, że słodko jest umierać za ojczyznę.

Im gorsza panowała w Niemczech nędza i im dotkliwsze stawały się codzienne katastrofy, tym częściej Johann Isidor handlował na czarnym rynku. Nie zależało mu już na czystych rękach, dbał jedynie o to, by trzymać głód z dala od progu swego domu. Chociaż po przepisaniu działki na Fritzi Haferkorn nie miał już obowiązku troszczyć się o nią i córkę Annę, to kiedy tylko mógł, wysyłał na Textorstrasse posłańca z chlebem, mięsem, tłuszczem i ciepłymi ubrankami. Wśród jego służbowej korespondencji niekiedy znajdował się dziecięcy rysunek – w kopercie bez nadawcy.

Stopniowo Johann Isidor nastawiał się na to, że podczas wojny będzie żyć w duchowym pancerzu. Wiadomość z początku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku o tym, że cesarz Wilhelm II wzywał oddziały na polu bitwy do niestrudzonej walki, nie spotkała się z jego aprobatą. Na ścianach domów widział plakaty, które podpisem „Twoje pieniądze pomogą w walce. Zamienione w okręty podwodne będą trzymać granaty wroga z dala od ciebie” zachęcały do zakupu obligacji wojennych; nie zasubskrybował jednak ani jednej. Nie wymuszał mu się okrzyk radości, gdy niemiecki okręt podwodny zatopił brytyjski parowiec pasażerski „Laconia”, choć zachwyciło to nawet Josephę.

Po tym jak wycofano miedziane monety pięciofenigowe i zastąpiono je pieniędzmi aluminiowymi, ośmioletnia Victoria opowiadała, że swoje „porządne pięciofenigówki” schowała pod materacem, a razem z nimi jeszcze całe mnóstwo monet od Mariechen.

– Dałam jej za nie swoją książkę o dzielnych kanonierach – zaraportowała sprytna zdrajczyni ojczyzny.

Matka ostrzegawczo szturchnęła ją po stołem, jednakże ojciec powiedział:

– Brawo, moje dziecko. Masz głowę Sternbergów.

Johann Isidor ostatecznie potwierdził w ten sposób, że odstąpił od bycia niemieckim bohaterem. Po tym jak na nowo określił swoje miejsce w życiu, czuł się wprawdzie nadal jak koń bez jeźdźcy, był smętny i zawstydzony, zarazem jednak zadowolony. Pragnął pozostać dobrym mężem i troskliwym ojcem. To życzenie zostało spełnione. Tylko nieco inaczej, niż to sobie wyobrażał.

Pierwszego kwietnia przyszło mu podjąć najodważniejszą decyzję w życiu. Tamtego dnia, poświęconego pierwotnie durniom i kawalarzom, zmniejszono w Rzeszy racje chleba do stu siedemdziesięciu gramów na dzień. Z różnych niemieckich miast donoszono o przypadkach tyfusu głodowego oraz cholery. Wypowiedzenie Rzeszy wojny przez USA było tuż-tuż. Ciotka Jettchen, przed którą z uzasadnionych przyczyn zatajono tę smutną wiadomość, przez przejęzyczenie Josephy dowiedziała się, że odsunięty od władzy car, jego małżonka z Darmstadt oraz wszystkie dzieci przebywają w więzieniu. Ciotka, która widziała, jak caryca z Hesji wyrastała na piękność, w porze obiadowej nie mogła zjeść nawet niewielkiej porcji duszonej brukwi z sosem szczawiowym, którą dostała w przydziale. Johann Isidor tego nie widział. Wbrew oczekiwaniom domowników nie pojawił się przy stole.

Choć do pasmanterii nie dostarczano już nowych towarów, a popyt na humorystyczne kartki wojenne znacznie spadł, zachował on zwyczaj, by rankiem wyruszać do pracy. Zawsze szedł najpierw do wydawnictwa, a następnie do biura przy Hasengasse. Popołudniami załatwiał sprawunki, które nie wymagały kobiecej zręczności i rzutkości, lecz męskiej odwagi i opanowania. Pierwszego kwietnia do tego ostatniego punktu już nie dotarł.

Na srebrnej tacy pośród służbowej korespondencji do sprzedawcy wyrobów pasmanteryjnych Sternberga leżała koperta, która wywołała jego ciekawość. Adres, zapisany ołówkiem drukowanymi literami, wskazywał na niewprawną rękę. Nadawca zanotował na odwrocie jedynie swoje inicjały, jak mieli w zwyczaju ludzie proszący o pomoc. Tym większą ciekawość wzbudził adres. Autor korespondencji mieszkał przy Textorstrasse. Johann Isidor rozdarł kopertę. Już wtedy drżały mu ręce.

Fritzi Haferkorn, ten figiel Amora w letnią noc, młoda, radosna, beztroska kobieta, która tak cudownie radziła sobie z życiowymi zawilościami, zmarła. Mistrz malarski Anton Wallerstadt miał zamiar ją poślubić, ale „niestety to przesunął”. Informował „zaczynającego pana Sternberga” o jej śmierci i tłumaczył się z listu: „Moja nieboszczka na pewno tego by chciała. Bardzo pana ceniła”. On sam, pisał dalej, niebawem będzie prawdopodobnie musiał pójść do wojska. Jego odroczenie z powodu pracy w zakładzie produkującym towary dla armii miało upłynąć z końcem miesiąca. „Jeśli nie ma pan możliwości – pisał mistrz Anton – zaopiekować się swoim dzieckiem, czuję się niestety zmuszony oddać je do sierocińca. Innego wyjścia nie mam. Niech się pan nad wszystkim w spokoju zastanowi. Anna zostanie zabrana dopiero za dwa dni. Nie musi się pan obawiać przyjęcia jej do swojego zacnego domu. Fritzi nie miała żadnej zaraźliwej choroby. Tylko zakażenie krwi. Nie chciała pójść do lekarza. Byłbym panu bardzo zobowiązany, gdyby mógł pan pokryć część kosztów pochówku. Pastor także winien otrzymać ofiarę. Zadał sobie wiele trudu, żeby załatwić wszystkie sprawy na cmentarzu. Malarz zatrudniony w zakładzie produkującym towary dla armii zarabia zbyt mało, by żyć, i zbyt wiele, by umrzeć”.

Johann Isidor Sternberg dwie godziny siedział bez ruchu za biurkiem. Jego twarz zastygła niczym

maska, kołnierzyk koszuli przemókł od potu. Co rusz spoglądał w świeżo nawoskowany parkiet i czekał, aż podłoga się otworzy i odsłoni drogę do piekła. Czytał list tyle razy, że mógłby wyrecytować go z pamięci, przyłożył go do twarzy i słyszał śmiech Fritzi. A może to zapach jej mydła lawendowego tak go dręczył? Poczuł, że wkrótce dozna paraliżu lub też litościwy ogień przetopi go w karła. Gdy zapach lawendy wywietrzył z pokoju, a on siedział tak, ogłuszony ciszą, zobaczył Betsy.

Jej twarz przypominała jaskrawozieloną odpychającą maskę. Do Johanna Isidora dotarło od razu, że nigdy mu nie wybaczy. Gdy Betsy Sternberg, z domu Strauss, dumna, zamożna córka jubilera z Pforzheim, gdy kobieta tego pokroju dowie się, że ją zdradził i okłamał, do końca będzie już więźniem z ołowianą kulą przy nodze, kukielką, marionetką na sznurku.

Johann Isidor słyszał głosy swoich dzieci – okrzyki wojenne, które sprawiały, że odchodził od zmysłów. Victoria obcinała warkocze nożem masarskim, Clara, jego duma w stroju pielęgniarskim, zerwała z głowy czepek i rzuciła mu do nóg. Erwin poklepał go po ramieniu, niczym jeździec, który chce dodać otuchy kulejącemu koniowi. „Biedny tata” – powiedział chłopak, w którym ojciec dopiero niedawno znalazł zaufaną osobę, i pogłaskał go po głowie, jakby ten był salonowym pieskiem. „Nie pozwalaj sobie” – wzbraniał się zdemaskowany grzesznik. „Jeszcze nie jesteśmy tak blisko”.

Wsunął list od Antona Wallerstadta do kieszeni kamizelki. Jako człowiek honoru nie potrzebował aż dwóch dni, aby wzięły w nim górę poczucie przyzwoitości i zew krwi. Johannowi Isidorowi Sternbergowi wystarczyło dziewięćdziesiąt minut, aby zrozumieć, że jego córka nie może dorastać w sierocińcu. Miejsce Anny Haferkorn, której miał nadzieję kiedyś dać swoje nazwisko, było przy alei Rothschildów 9.

Solidny przedsiębiorca napisał czarnym atramentem na papierze jeszcze sprzed wojny list do uczciwego mistrza malarskiego. Złożył mu kondolencje z powodu śmierci Fritzi, podziękował za troskliwość, zapewnił o przejęciu kosztów pochówku i datku dla pastora. Na koniec oświadczył, że o szesnastej zjawi się u niego, by odebrać dziecko. „Proszę spakować wszystkie rzeczy, które córka chce zabrać. Jeśli to możliwe, także fotografię matki” – dodał. Następnie wezwał człowieka, którego zawsze posyłał na Textorstrasse. List, który miał bezpowrotnie obciążyć jego małżeństwo, polecił dostarczyć niezwłocznie. Gdy po południu szedł mostem Alte Brücke, powietrze było rześkie i ożywcze. Na wozie z węglem wygrzewał się czarno-biały pies. Johann Isidor postanowił, że latem przyjdzie ze swymi córkami nad Men. Musiał je policzyć w pamięci, by nie stracić orientacji.

Przed domem, do którego wchodził zawsze w kapeluszu nisko nasuniętym na czoło, stała Anna, obok niej brązowa skórzana walizka przewiązana złotym sznurem do zasłon z pasmanterii Sternberg przy Hasengasse. Ojciec dziewczynki był wzruszony. Sznur ten wydał mu się pępowiną łączącą go z przeszłością. Chciał poczuć skruchę, lecz delectował się wspomnieniem owego wieczoru, kiedy oddał się grzechowi.

Mała Anna była blada i przypominała zabłąkane w lesie dzieci z książek z obrazkami, lecz nie płakała. W ręku trzymała lalkę w niebieskim aksamitnym płaszczu z kapturem obszytym futrem. Jej ojciec spojrział na lalkę i z trudem powstrzymał jęk. Na krótko przed wojną kupił tę lalkę w Paryżu, a właściwie kupił dwie. Druga należała do Victorii, nazywała się Madeleine i siedziała na jej łóżku ramię w ramię z lalką chłopcem w mundurze feldgrau. Ku jeszcze większemu przerażeniu Johanna Isidora Anna pod rozpiętym płaszczem miała sukienkę w czarno-czerwonej kratce, z białym koronkowym kołnierzykiem oraz guzikami

w kształcie muchomorów. Taka sama wisiała w szafie Victorii. Dla ojca o tak silnym poczuciu sprawiedliwości konieczne było kupowanie obu córkom identycznych sukienek i lalek.

– Idziemy? – zapytał Johann Isidor.

Anna przytaknęła. Zauważył, że jej wargi drżą. Wziął dziewczynkę za rękę. Droga z dzielnicy Sachsenhausen do Nordendu była daleka, zwłaszcza dla ośmiolatki, której tydzień wcześniej umarła matka. Nie jeździły jednak prawie żadne dorożki, z których mogła korzystać ludność cywilna, tramwaje kursowały zaś nieregularnie, a czas, którym dysponował Johann Isidor od otrzymania listu, okazał się zbyt krótki, by mógł zorganizować jakiś transport.

– Potrafisz daleko chodzić? – zapytał.

Dziecko jeszcze nie odpowiadało, ale już się uśmiechało. Ojcu wydawało się, że ma oczy Fritzi. A może Victorii? Strapił się, że nie przychodziło mu na myśl, jak pocieszyć tę obcą córkę, która spoglądała na niego z powagą osoby dorosłej i która swoją lalkę ścisnęła tak kurczowo, jakby ta mogła wybawić ją od dziecięcych cierpień.

Jeszcze bardziej strapił się tym, że uległ żonie i nie założył telefonu. Betsy była temu przeciwna, podczas każdej dyskusji obruszała się, że dzieci nie należy narażać na nowoczesną technikę bardziej, niż to konieczne, a on potulnie przytakiwał i zamiast o telefonach, myślał o swoich obrotach i wydatkach. Miał teraz za swoje. Będzie musiał przyznać się do błędu w staromodny sposób – nie przez telefon, w chroniącej go masce, lecz twarzą w twarz. Stojąc w drzwiach z ośmioletnim dzieckiem za rękę! Był cudzołożnikiem, który sam sobie musiał wybudować pręgierz, pod którym stanie. Winowajca starał się wyobrazić sobie pierwsze zdanie tego dramatu, ale do głowy nie przychodziło mu nawet pierwsze słowo.

Choć walizka była ciężka, a kroki musiał dostosować do sił ośmiolatki, droga z Textorstrasse do Alte Brücke zajęła im tylko pół godziny. Men otulało blade, wieczorne słońce. Trawa przy brzegu już się zazieleniła. Na palach siedziały mewy, łabędzie kołysały się na wodzie. Choć brakowało pieczywa, jakaś staruszka karmiła ptaki dużymi kawałkami chleba. Wóz z węglem wciąż stał na swym miejscu.

– Pójdziemy tam? – zapytała Anna.

– Tak, nie boisz się chyba, że wpadniesz do wody?

– Ależ skąd. Co piątek jeździłam do Frankfurtu. Mamusia zawsze robiła zakupy w hali Schirn. Na Boże Narodzenie kupowała całe mnóstwo serdelków.

– Widzisz, a teraz będziesz mogła zamieszkać we Frankfurcie. Na stałe. A pewnego dnia znów uda się dostać serdelki.

Przeszli przez most. Ulżyło mu, że Anna przestała mówić do niego „wujku Johannie”. Konieczne wyjaśnienia uczyni to nieco prostszymi. Żonie z pewnością łatwiej przyjdzie wybaczenie mężowi jednorazowego przewinienia niż wieloletnich wizyt u nieślubnej córki. Jednonogi żołnierz z niedopałkiem papierosa w ustach sprzedawał maleńkie, wyrzeźbione z jasnego drewna owieczki.

Anna pokazała je swojej lalce i wyszeptła jej do ucha, że nie musi się bać. Ojciec kupił dwie. Jedną z nich włożył do kieszeni płaszcza, drugą podał dziewczynce. Lekko dygnęła i natychmiast powiedziała:

– Ojej, dziękuję bardzo, wujku Johannie.

Odezwała się znowu dopiero po frankfurckiej stronie Menu. Powiedziała Johannowi Isidorowi, że jej lalka miała zakażenie krwi, ale do niej lekarz przyszedł od razu. Tymi słowami, w pierwszej godzinie

swojego nowego życia, Anna złamała serce mężczyźnie, którego pewnego dnia nazywać będzie ojcem.

Nagle na jej twarzy pojawiły się kolory. Oczy błyszczały.

– Niech wujek spojrzy, to mój ojciec – krzyknęła podniecona.

– Co też ci przyszło do głowy? Kto ci takich rzeczy naopowiadał?

– Mamusia. Powiedziała, że mój ojciec był bardzo odważnym człowiekiem. Utopił się, ponieważ ratował pięciu mężczyzn z tonącego statku. Musiał to zrobić, był kapitanem.

– Twoja matka była mądrą kobietą. Nigdy jej nie zapomnimy, ani ty, ani ja. – Odstawił walizkę i schylił się do Anny; po raz drugi tego dnia poczuł woń lawendy, którą pachniała Fritzi, i odtąd wiedział, że wszystko się jakoś ułoży.

– Na Wszystkich Świętych zawsze w tym miejscu stawiałam ojcu świeczkę. Czy będę mogła to robić także gdy zamieszkałam u ciebie?

– Tak – wymamrotał Johann Isidor. Błagał Boga o wsparcie. – Chodź, chcemy przecież dotrzeć do domu, zanim zrobi się ciemno. W przeciwnym razie twoja lalka będzie się bała.

Ostatni odcinek drogi, krótka Höhenstrasse, wydał mu się dłuższy niż cała pozostała trasa. Znów zanosił do nieba modły, by przynajmniej dzieci nie zastał w domu i by to Betsy, a nie Josepha, otworzyła mu drzwi. Josepha nie potrafiła powstrzymać grymasów twarzy, gdy była rozgniewana czy rozczarowana. Betsy zawsze pozostawała damą.

Owego pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, w dniu głupców, Bóg pierwszy raz głupca wysłuchał.

Betsy stała na podwórzu, w siatce na zakupy miała cztery brykiety. Zobaczyła swego męża z walizką w prawej dłoni, a lewą trzymającego za rękę dziewczynkę, i w ułamku sekundy przeczuła prawdę, bo nawet w słabnym świetle dnia rozpoznała lalkę taką samą jak lalka Victorii. Gdy mała Anna zrobiła krok, Betsy zauważyła, że pod płaszczem ma taką samą sukienkę jak ta, którą na krótko przed wybuchem wojny jej mąż przywiózł Victorii z Paryża.

– Ach – westchnęła Betsy. Chciała wypowiedzieć coś więcej, ale zabrakło jej słów.

– Dowiedziałem się dopiero dzisiaj – wyjaśnił Johann Isidor. – Nie mogliśmy się zapowiedzieć. – Zbyt pospiesznie wypuścił dłoń Anny ze swojej. Dziecko potknęło się, musiał je złapać. – To jest Anna.

– Założę się – powiedziała Betsy – że wiem, jak ma na imię jej matka.

– Miała – cicho poprawił Johann Isidor. Skinął głową, jakby jego żona już postawiła to pytanie, którego się lękał. – Ach, Betsy, tak się cieszę, że tu jesteś. Mam ci piekielnie dużo do opowiedzenia. Życia mi to chyba nie starczy. Twój mąż jest ogromnym oczajduszą.

– Nie, głupcem – zaprzeczyła Betsy. I wówczas to ona wzięła Annę za rękę.

PRZYPISY

- [1] Taunus – niskie pasmo górskie w Hesji w sąsiedztwie doliny Menu.
- [2] Römerberg – plac ratuszowy we Frankfurcie.
- [3] Nawiązanie do słów wiersza Friedricha Schillera *Pieśń o dzwonie*: „Mąż już musi teraz / W żywioł iść złowrogi” (przeł. Andrzej Lam).
- [4] Czasy grynderskie – okres obejmujący lata 1871–1873, kiedy po wojnie francusko-pruskiej zakładano wiele niesolidnych przedsiębiorstw, które szybko bankrutowały.
- [5] Repetier – rodzaj sztucera.
- [6] Adler (niem.) – orzeł.
- [7] Wół zielonoświątkowy – nawiązanie do tradycji kultywowanej do XIX wieku, zgodnie z którą w Zielone Świątki najpiękniejszego wołu ozdabiano kwiatami, słomą, wstążkami i na czele stada prowadzano przez wieś.
- [8] *Taisez-vous* (fr.) – bądźcie cicho.
- [9] *Mademoiselle Cochon* (fr.) – panna Świnia.
- [10] Kark skrócić się winno piejącym dziewczętom – nawiązanie do niemieckiego porzekadła: „Kark skrócić się winno gwizdzącym dziewczętom, tak jak się to czyni piejącym kurczętom”.
- [11] *Quod licet Jovi, non licet bovi* (łac.) – dosł. co wolno Jowiszowi, tego nie wolno wołu.
- [12] Wierność Nibelungów – hasło nawiązujące do *Pieśni o Nibelungach*, oznacza wierność bezwarunkową, opartą na emocjach i często zgubną w skutkach.
- [13] *Tkacze* – dramat dotyczący powstania tkaczy śląskich z 1844 r. (przyp. red.).
- [14] Co strzał, to Rusek, co cios, to Francuz (niem. *Jeder Schuss ein Russ, jeder Stoss ein Franzos*) – hasło propagandowe z czasów I wojny światowej.
- [15] Siegfried – jeden z bohaterów *Pieśni o Nibelungach*, ucieleśnienie odwagi i męstwa.
- [16] Przeł. Zenon Przesmycki.
- [17] Tales – szal modlitewny (przyp. aut.).
- [18] Tefilin – rzemień modlitewny (przyp. aut.).
- [19] Przeł. Feliks Konopka.
- [20] Koach (jid.) – siła.
- [21] Mispach (jid.) – rodzina.
- [22] Christel – jedna z bohaterek *Ptasznika z Tyrolu*, operetki Karla Zellera.
- [23] Pismo Sütterlina – uproszczone pismo kaligraficzne stworzone do nauki pisania. Wprowadzono je w szkołach niemieckich od 1915 roku (przyp. red.).
- [24] Mowa o święcie obchodzonym za czasów Cesarstwa Niemieckiego drugiego września, w rocznicę kapitulacji armii francuskiej po przegranej bitwie pod Sedanem.
- [25] Gromiwoja – tytułowa bohaterka komedii Arystofanesa, ukazana jako kobieta odważna i przemyślna (przyp. red.).
- [26] Mowa o zjednoczeniu Niemiec i proklamacji II Rzeszy na mocy traktatu podpisanego w Wersalu w 1871 r. (przyp. red.).